

Moacyr Scliar

Kobieta, która napisała Biblię

Przekład: andsol

Florianópolis, 2014

W Jerozolimie, prawie trzy tysiące lat temu, ktoś napisał dzieło, które od owego czasu kształtowało świadomość duchową sporej części naszego świata [...]

Nie był to zawodowy skryba, raczej ktoś bardzo wyrafinowany, wykształcony i ironiczny, wyróżniająca się postać w elicie króla Salomona [...]; kobieta, która pisała dla swych współczesnych jako kobieta.

Harold Bloom, Księga J

Wiele osób pyta czemu zajmuję się terapią regresji przeszłego życia. Moja odpowiedź zależy od okoliczności. Gdy robią ze mną wywiad w tv czy w radio – a często robią ze mną wywiady – oświadczam, z celowymi niedomówieniami, że drogi przeznaczenia mnie do tego skierowały. Na ogół wynik tego jest bardzo dobry i przejawia się w okrzykach podziwu prowadzących wywiad i ewentualnej obecnej publiczności. Ludzie bardzo lubią słowo Przeznaczenie; kojarzą je z czymś ponadnaturalnym, z gwiazdami, takie rzeczy zawsze wywierają wrażenie. Wykorzystuję przebiegający dreszcz, idę dalej. Na początku z celową trudnością (przerwy pełne wahania, bolesne zmiłknięcia), lecz wkrótce z narastającym entuzjazmem, jak gdyby otwierały się wrota, wiesz, wrota emocji, ujawniam, że mój pierwotny zawód był inny: nauczyciel Historii. A to, znowu, jest zaskoczeniem: na ogół widzą mnie jako psychologa czy lekarza.

Nie opowiadam – bo nie interesuje to publiki, a nawet gdyby interesowało, to i tak bym nie opowiedział – jak wybrałem Historię. Zachęcił mnie do zajęcia się nią mój ojciec, odwieczny lewicowiec Aurélio Silva. Robotnik, który jako drukarz z trudem zarabiał na utrzymanie rodziny, żony i piątki dzieci. Lecz miał niezbitą wiarę w przyszłość, zawartą dlań w słowie jednym a magicznym: komunizm. Nigdy nie było i nie będzie równie wierzącego w ideał. Nie tylko był działaczem, ale i aktywnym badaczem doktryny. Pożerał wszystkie księgi, które mu pożyczali towarzysze. Ponieważ miał mało czasu, czytał je po

nocach, pomimo protestów mojej matki. I z rana z trudem potrafił pracować. Ze zmęczenia zdarzało mu się ślaniać się ze snu – i kiedyś doprowadziło to do tragicznego wypadku: gilotyna, przy której pracował, obcięła mu prawą rękę. Zwolniono go bez ceregieli jako inwalidę. Partyjni towarzysze załatwili mu pracę dozorca w związku zawodowym, ale jego życie zmieniło się raz na zawsze. Załamywał się byle czym, bez przyczyny wybuchał płaczem. Matka nie wiedziała, co z nim robić, a rodzeństwo nie miało wiele cierpliwości. A więc to ja musiałem jakoś go wspierać. Całymi godzinami rozmawialiśmy. A właściwie nie rozmawialiśmy, on mówił, a ja słuchałem. I zawsze wracał do swojej przeszłości działacza. Opowiadał z wilgotnymi oczami, że dzieło Marksa było dla niego olśnieniem. Co prawda przeczytał zaledwie streszczenie Kapitału, ale to wystarczyło. W jednej chwili prawda stanęła jasno przed jego oczami, Historia miała sens. Co więcej, miała prawa.

Czy wybrałem Historię z powodu tego gadania? Chyba tak. Bo w ten sposób, tak to widziałem, jakbym przekazywał mu odszkodowanie za utraconą rękę i za cierpienie... Gdy zdałem egzamin wstępny, płakał z radości: będziesz tym, mówił, kim ja nie mogłem zostać, wielkim intelektualistą, przywódcą Partii.

Pomylił się, biedak. Byłem lewicowcem, ale nie aktywistą: nigdy nie poddałem się partyjnym wymogom.

Na uniwersytecie uczestniczyłem w paru akcjach protestacyjnych; podpisywałem manifesty, rozdawałem ulotki,

ale po ukończeniu kursu nie interesowałem się więcej polityką. Miałem dyplom, musiałem zarabiać – wtedy ojciec już umarł i matka była na moim wyłącznym utrzymaniu, bo mieszkaliśmy razem. Lubilem uczyć, znalazłem więc posadę nauczyciela w szkole publicznej. Zarobki były mierne, szkoła biedna i brakowało materiałów naukowych, ale najbardziej przykre było to, że uczniowie zupełnie ignorowali mój przedmiot. A po co nam wiedza o Egipcjanach, pytali, o faraonach? Przecież ci goście już dawno umarli. Byli nudni jak flaki, ci uczniowie; zaczynałem być na nich wściekły i chciałem rzucić to wszystko w cholerę. Ale przed porzuceniem szkoły postanowiłem jeszcze raz spróbować. Wymyśliłem zabawę, taki teatrzyk: każdy uczeń miał przedstawić jakąś historyczną postać. Ku memu zdumieniu, ten pomysł wciągnął dzieciarnię. To była szkolna sensacja, królowie, książęta, generałowie; uczniowie nie rozmawiali o niczym innym. Inni nauczyciele, zaskoczeni, gratulowali mi pomysłu. I wtedy zdarzyło się to.

Jeden z uczniów, chłopak bardzo cichy, bardzo skromny, postanowił przedstawić jakiegoś księcia, nie pamiętam już którego. Wdał się w to całkowicie. Wyszukując informacji o owej postaci spędzał długie godziny w bibliotece, aż prowadząca bibliotekę musiała go wyganiać. Zmieniło się jego zachowanie, zaczął traktować kolegów w dziwny sposób, agresywnie. Wielu z nich skarżyło się, ale nie przejmowałem się tym: w końcu, to był nastolatek, a z nastolatkami tak właśnie bywa.

Pewnego dnia nasza sekretarka weszła do klasy i wywołała mnie na korytarz: w wejściowym hallu była jakaś kobieta i domagała się rozmowy ze mną – miała być wściekła, powiadomiła mnie zaniepokojona sekretarka, więc lepiej żebym tam poszedł. Poszedłem.

To była matka tego chłopca. Co pan wyrabia z moim synem, wrzeszczała gdy tylko mnie zobaczyła. Próbowałem ją uspokoić, prosiłem, żeby mi powiedziała co się stało. Wciąż rozdrażniona, powiedziała, że syn już jej więcej nie słuchał, stał się arogancki, despotyczny. Ani pomyślał, by posłać łóżko i zostawiał ubranie porozrzucane po domu, by inni je układali.

– To wszystko przez pana – oskarżała mnie. – Przez ten pański wymysł z klasą.

Chciała poskarżyć się u dyrektora, ale ją od tego odwołałem. Może zostawić to w moich rękach, zapewniałem ją, rozwiążę ten problem.

Wezwałem chłopca na rozmowę na uboczu. W istocie, to nie był ten sam Ludwiś, który przedtem rozmawiał ze mną nieśmiało, ze spuszczonej oczami. Przede mną stał ktoś w pozie księcia. Zapytałem go delikatnie czy zdawał sobie sprawę ze zmian, które zaszły i czemu je przypisywał. Zaczął odpowiadając arogancko, że nie miał obowiązku dawać wyjaśnień mnie, byle jakiemu belfrowi – ale znienacka otworzył się. Owszem, zdarzyło się coś, coś niezwykłego. On nie odgrywał po prostu jakiejś roli, ale stał się inną

istotą. Wrócił do przeszłości i tam odkrył, że w rzeczywistości wcale nie był tam – jak skromnie przypuszczał – jakimś księciem, ale królem, potężnym i okrutnym, jednym z tych władców, którzy nie wahali się, by nakazać zabijanie wrogów. Już zlikwidowałem ich ponad trzy tysiące, zapewnił mnie z dumą. Opowiedział mi w szczegółach jedną z tych egzekucji, wykonaną na wielkim dworcu królewskiego zamku w obecności przyglądającego się tłumy. Opisał mi jak kat ułożył szyję skazanego na kłodzie i jak jednym machnięciem siekiery odciął mu głowę, a krew tryśnęła na stojące z przodu osoby. Przyznam, że aż zaparło mi dech, bo chłopiec opowiadał jak gdyby naprawdę przeżywał tę scenę. Gdy skończył opowieść, podziękował mi wielkodusznie, za umożliwienie mu tej podróży w czasie, dzięki której odnalazł swoją prawdziwą istotę.

– Zostanie pan za to wynagrodzony – obiecał mi i odszedł.

Byłem oszołomiony i nie wiedziałem co myśleć o tym. Ale szybko zdałem sobie sprawę z niezwykłych możliwości, które się pojawiały dzięki przypadkowi tego chłopca. Otwierał się przede mną nowy szlak: stawałem się terapeutą przeszłego życia.

Tak wygląda historia, którą opowiadam w wywiadach. A powtórzyłem ją tyle razy, że stała się dla mnie prawdą. Prawda czy zmyślenie, ważne jest to, że ludziom to się bardzo podoba, i to jest ważne. Później, rzecz jasna, zrobiłem kurs terapii przeszłego życia, ale używam mojej własnej

metody, opartej na wiedzy zdobytej przy studiowaniu Historii. Pacjenci wracają w przeszłość; gdy mają swoje wizje, wyjaśniam im: miejsce, w którym jesteś to pałac królewski, człowiek w zbroi stojący przed tobą to Fryderyk Wielki, ci inni to są jego dworzanie... Mawiam często, że spełniam rolę przewodnika, prowadzącego ludzi przez labirynty.

Sukces był natychmiastowy. Zacząłem od przyjmowania pacjentów w małej salce starego budynku w centrum miasta. W krótkim czasie rozniósł się wieść o mnie. Liczba chętnych rosła zdumiewająco, dochody też. Musiałem znaleźć lokal większy i wygodniejszy – bardziej stosowny dla odmiennej klienteli, która teraz pojawiała się. Pewien pośrednik nieruchomości wskazał mi starą posesję, na spokojnej ulicy na przedmieściu. Poszedłem tam i ledwie tam wszedłem, wiedziałem, że to idealne miejsce. Wejściowe schody upiękkszzone lwami, wykładzina ze szlachetnego drewna, na korytarzach portugalska ceramika, zabytkowe żyrandole, wszystko to nasuwało na myśl przeszłość. Była to więc idealna sceneria dla osób chcących dokonać powrotu w czasie. Przeprowadzka koronowała mój sukces, który wówczas był już niewątpliwy. Szukali mnie przedsiębiorcy, artyści, aktorzy telewizyjni. Przeprowadziłem się do nowego mieszkania, kupiłem zagraniczny samochód. Dziennikarze ganiłi za mną. Wydawnictwa od samodoskonalenia się upraszały mnie o napisanie podręcznika.

I to wtedy ona się pojawiła.

Pewnego popołudnia sekretarka powiadomiła mnie, że

ktoś prosił o wyznaczenie terminu wizyty; była to dziewczyna, która widziała mnie w tv i doszła do wniosku, że terapia przeszłego życia była właśnie tym, czego potrzebowała.

– To córka plantatora – dorzuciła sekretarka mrugając. Czyli forszę dziewczyna miała. Nie było to najistotniejsze, ale, rzecz jasna, miało swoją wagę. Po rozmowie z nią przyjąłem ją na terapię.

W czasie pierwszej sesji płakała bez przerwy. Opowiadała o braku relacji z ojcem: on mnie nie rozumie, nigdy mnie nie rozumiał, nie był zdolny do jakichś zbliżeń – zwyyczajowa litania. Jeśli nie liczyć siostry, której mogła się zwierzać, żyła w samotności, w swoim małym światku – jak to sama określiła – wypełnionym fantazjami. Jej pociechą były lektury, czytała wiele. I pilnie studiowała, w szkole siostr zakonnych, do której chodziła, była uważana za jedną z najlepszych uczennic i zdobywała liczne nagrody za swoją znajomość problemów biblijnych. Na przykład, umiała na pamięć Pieśń nad Pieśniami.

Mniej więcej przed rokiem miała ciężkie przejście, które odmieniło jej życie. Zakochała się w pracowniku z plantacji, chłopcu przystojnym, ale dziwnym, trzymającym się z osobna. Było to niespodziewane: spotykali się od dziecka, ale zawsze z dala, aż znienacka pojawił się ten nagły, niewyjaśniony poryw, nie potrafiła myśleć o niczym innym, chciała tylko widzieć go, być razem z nim. Była pełna wątplenia: czy powiedzieć mu o swoich uczuciach? Zdawało

się, że odmiennie od innych, ten chłopak patrzył na nią z sympatią, a nawet z afektem. Zebrała w sobie odwagę i postanowiła: otworzy przed nim serce, opowie wszystko. Lecz tego dnia, gdy miała to uczynić, w rodzinie wybuchł skandal. Chłopak miał przygodę z jej siostrą, odebrał jej dziewictwo. Rozwścieczony plantator załatwił, by pobito złoczyńcę i wygnał go precz.

Jej cierpienie było tak wielkie – cierpienie, o którym nie miała komu opowiedzieć – że postanowiła opuścić swoje prowincjonalne miasteczko i przeniosta się do stolicy stanu. Załatwiła sobie posadę w wielkiej firmie. Praca wcale nie była zła i w biurze traktowano ją dobrze, ale ona nie była w stanie zapomnieć o tym, co przeszła. Wręcz odwrotnie, czuła się coraz gorzej. Przygnębiona, źle sypiała.

Wywiad, który zrobiono ze mną w tv był – w jej słowach – prawdziwym objawieniem. W terapii przeszłego życia odnajdywała rozwiązanie swego problemu. Powiedziała, że była przekonana, że mogłem jej dopomóc, prowadząc ją przez labirynty przeszłości, gdzie ukrywała się odpowiedź na jej niepokoje. Podchodziła do tego ochoczo, ale to ja ociągałem się. Coś mi mówiło, że nie miała to być pospolita terapia, że wchodziłem na zaminowany teren. Ale jednak jakoś to zaczęliśmy i wkrótce ona osuwała się w czasie aż dotarła w swoich wizjach do pałacu, który rozpoznawała ze snów, a był to pałac króla Salomona. Nawiasem, był to kłopot dla mnie, bo prawie nie znałem Biblii i musiałem w pośpiechu wgłębiać się w ten temat. Ona

była tam jedną z wielu żon monarchy, którego opisywała jako pięknego i zachwycającego; była naprawdę w nim zakochana. Co prawda ta miłość nie była odwzajemniona, ale nie przeszkadzało jej to wyobrażać sobie gorących scen na łożu Salomona, scen, które opisywała w fascynujących szczegółach.

Wkrótce odkryłem, że był w tym ukryty cel: była we mnie zakochana; to ku mnie były skierowane owe opisy. Raz spróbowała objąć mnie. Delikatnie ale stanowczo wstrzymałem ją przed tym, wyjaśniając, że było to nieporozumienie, że mieszała się jej terażniejszość i przeszłość. Byłoby dla mnie ryzykowne mieć przygodę z pacjentką, była to ostatnia rzecz, której bym potrzebował.

Ale był inny problem. Rzecz w tym, że jej historie mnie niepokoiły. Zaskoczyło mnie samego, że nie raz zerkąłem na jej piersi pojawiające się w niedopiętej bluzie. Piersi małe, śliczne, dwa harmonijne wzniesienia. Doliną między nimi chciałbym chodzić; wspinać się na nie, lizać jej sutki... Zatrwożyło mnie to i zawstydziło. A ona, choć może to się wydać nieprawdopodobne, nie zauważała niczego. Pogodziła się z moją odmową; poza tym cała jej energia była skoncentrowana na szalonych łowach jej umiłowanego Salomona. A ja nie miałem odwagi powiedzieć jej: zostawmy ten onanizm, ty tutaj jesteś i ja też, ważna jest terażniejszość, jak chcesz się kochać to kochajmy się teraz. Po każdej sesji żegnała się serdecznie ze mną i odchodziła i nic się nie działo. A ja? Zamykałem się w ła-

zience i się masturbowałem. Jak naiwny nastolatek.

Mój niepokój powiększył się gdy sekretarka powiedziała mi, że jakiś mężczyzna szukał jej w klinice, a przedtem w jej pracy. Opis nie zostawiał wątpliwości: to były pracownik z plantacji jej ojca, z pewnością chcący naprawić swój błąd i chwycić tę córkę, co trzeba. I nie była to wcale dobra nowina. Stojąc między królem Salomonem i owym pracownikiem, który stawał się uwodzicielem, miałem niewielkie szanse. Musiałem się pospieszyć. Musiałem walczyć nie tylko, by cofnąć się w czasie, walczyłem przeciwko przemijaniu czasu. Mój niepokój objawiał się w moich snach: stawałem się w nich Salomonem, ale na moim łóżu nie leżała moja pacjentka, a królowa Saby, która przyjechała z daleka, by mnie odwiedzić, i której miałem udzielić pomocy politycznej i seksualnej. Innymi słowy: pieprzyłem jedną kobietę myśląc o drugiej.

Budziłem się z tych snów pływając w pocie. I postanowiłem: musiałem jej wyznać moją miłość. Natychmiast. Ta historia życia przeszłego powoli mnie wykończyła. No ale jak to zrobić? Jak wymazać to, że ją odtrąciłem?

Pewnego dnia zadzwoniła i powiadomiła sekretarkę, że odwołuje wizytę. Ale zostawiła wiadomość, żebym po południu pojawił się w jej mieszkaniu, że będę tam miał niespodziankę.

Niespodzianka? O Boże, co to za niespodzianka mogła być? Co miałem napotkać gdy otworzą się drzwi –

drzwi przeznaczenia? Czy miała być tam ona, w czarnym negliżu, a jej śliczne piersi pulsowałyby dla mnie? Czy w końcu nadchodził ten wielki moment?

Tego popołudnia godziny wlokły się. Pacjenci mówili i mówili. Jednej kobiecie odcinano głowę w czasie Rewolucji Francuskiej, drugi mężczyzna żeglował po morzach w karaweli, inna starsza pani walczyła w amerykańskiej Wojnie Secesyjnej – a ja nie słuchałem niczego. Patrzyłem na zegar. O czwartej nie wytrzymałem więcej, oświadczyłem sekretarce, że wizyty zostają odwołane i pobiegłem do jej mieszkania, parę przecznic stąd. Gdy wychodziłem z rogu moje serce prawie się zatrzymało.

Wychodziła z bramy z mężczyzną, byli objęci i śmiali się, szczęśliwi. Nie znałem go, ale nie miałem chwili wątpliwości: to był ten gość, który pracował u jej ojca. Niósł walizkę, na pewno jej. Wsiedli do taksówki i odjechali.

Wszedłem do budynku, przywołałem windę, pojechałem do mieszkania, które wynajmowała z koleżanką z pracy. To ta dziewczyna otworzyła mi drzwi. Spytała czy to ja byłem owym terapeutą i gdy to potwierdziłem, oświadczyła, że miała coś dla mnie. To od pańskiej byłej pacjentki, powiedziała, ona wyjechała i już nie wróci, ale zostawiła to dla pana.

Wręczyła mi list i tekturową teczkę. To był pożegnalny list, z podziękowaniami, napisany w pośpiechu: moja rozważna pomoc doprowadziła ją do dość zaskakującego wy-

niku. Znikła złość na chłopca, który od niej wolał jej siostrę – i odnowiło się uprzednie uczucie miłości: to on był królem, monarchą, o którym śniła.

Co do teczki, była w niej spisana historia oparta na jej podróży w przeszłość. Zadedykowała ją mnie; miałem prawo zrobić z nią co chciałem. Nawet, o ile nie wymieniłbym jej imienia, mogłem przedstawić to publicznie.

Od kiedy ona odeszła, właśnie tę historię czytam, dniem i nocą. Szukam w niej siebie samego, mojej historii. Szukam w wierszach i między wierszami, szukam siebie w imionach własnych i w zwykłych nazwach, szukam siebie w czasownikach i w przysłówkach, kropkach, przecinkach i trzykropkach. I nie odnajduję siebie. Tak samo jak w ogóle nigdzie już się nie odnajduję. Jestem zagubiony.

Nadal przyjmuję wizyty w mojej klinice, ale poważnie myślę o zmianie kierunku, o powrocie do studiów Historii. Będę miał mniej pieniędzy i więcej przykrości, ale mam nadzieję, że uniknę rozczarowań. Chcę zapomnieć o niej.

I co jeszcze? Aha, to, że ona była brzydka.

Brzydota to podstawa, przynajmniej dla zrozumienia tej historii. Brzydka jest ta, która wam to opowiada. Bardzo brzydka. Brzydka stłumiona lub brzydka wściekła, zawstydzona albo pogodzona, skromna bądź dumna, smutna czy też wesoła, sfrustrowana lub zadowolona – to jednak brzydka, zawsze brzydka.

Od wczesnego dzieciństwa podejrzewałam, że jestem brzydka. Inne dziewczyny z wioski, na ogół ładne, nie chciały bawić się ze mną. Gdy podchodziłam, zawsze potrafiły jakoś się wymigać, z ukrywanym śmiechem. No nie, nie byłam kaleką, ani głupią. Dlaczego więc uciekały? To było coś, co we mnie widziały i o czym nie mówiły. I w ten sposób, choć może wydać się to nieprawdopodobne, odkryłam rozmiar mojej brzydoty dopiero gdy miałam osiemnaście lat. Przez ironię losu, dopomogła mi w tym moja młodsza siostra, która była moją przyjaciółką i powierniczką, i do której zawsze biegłam, gdy miałam coś do opowiedzenia.

Pewnego wieczoru weszłam do jej pokoju, a ona tam była. Myśląc, że jest sama przyglądała się sobie w lusterku.

Nie wiedziałam, że miała lusterko. Nikt nie wiedział, że siostra miała lusterko. Po pierwsze, lusterko było czymś droгим, tylko szlachetnie urodzeni albo bogaci mogli sobie na nie pozwolić. A nasz ojciec do nich nie należał. Chociaż był w na-

szym rodzie patriarchą, miał zaledwie stado kóz, i to nie największe we wsi. W istocie, do czasów dziadka nasz lud prowadził koczownicze życie. Krążył po pustyni za paszą dla kóz, żył w namiotach. Zawsze tak było i wydawało się, że miało tak być zawsze. Ale mój ojciec postanowił, że nasze plemię osiadzie w jednym miejscu. Śniło mu się, że od nas zacznie się rozwój wielkiego miasta, może stolicy przyszłego imperium. Ojciec był człowiekiem bardzo ambitnym, choć nie bardzo inteligentnym. I był nie do zniesienia: nie można mu się było sprzeciwić. Gdy go pytano jak wyobrażał sobie metropolię i imperium, ograniczał się do krótkiej odpowiedzi:

– Zobaczysz.

I niczego więcej nie mówił.

Póki wieszczona przezeń przyszłość nie nadchodziła, nadal mieszkaliśmy w małym i surowym domku. Niewiele mebli, żadnych wygód. Jakakolwiek rzecz pachnąca zbytkiem byłaby wstrętna. Dlatego nawet gdyby mógł kupić lustro, nie zrobiłby tego. To przedmiot szatana, mówił, za każdym lustrem kryje się Zło, gotowe wykorzystać próżność, by przyciągnąć ludzi do grzechu. To nie znaczy, że ojciec stanowił wzór cnót; był znanym kobieciarzem, z takich, co nie uszanują nawet kobiety bliźniego. Ponadto, wdawał się w potajemne interesy – część jego stada była (że użyję eufemizmu) wątpliwego pochodzenia. Ale to wszystko nie przeszkadzało mu występować w roli strażnika moralności. Wymagał od plemienia, a szczególnie od rodziny, nienagannego zachowania. Nie tolerował żadnego śladu próżności u córek.

I to jego postanowienie złamała moja siostra, gdy zdobyła (a później odkryłam w jaki sposób) małe okrągłe lusterko, to, w którym teraz się przeglądała. Zachwycała się sobą, i miała rację: była śliczna. Tak śliczna jak ja brzydka. Wielkie oczy, delikatny nosek, ładnie zarysowane usta... Śliczna, lecz nieostrożna: zapomniała zamknąć drzwi. I przyłapałam ją gdy dokonywała tego wykroczenia.

Gdy mnie ujrzała wystraszyła się i próbowała ukryć lusterko. Chwyciłam ją nim to zrobiła; daj mi to, krzyczałam wściekła, ja też chcę się zobaczyć. Natychmiast zdała sobie sprawę czym ryzykowałam i starała się zniechęcić mnie: nie rób tego, w tym lusterku jest zły duch, on mnie zaczarował i ciebie też zaczaruje, nasz ojciec ma rację, że zabrania tych rzeczy demona, proszę cię, nie patrz na nie, to jest próżność, ja już wpadłam w to, ty uchron się od tego.

Jej rozpacz i krzyk nic nie dały. Wiedziałam w głębi ducha, że chce mnie ochronić przed czymś, o czym jeszcze nie miałam pojęcia: przed miażdżącym ujawnieniem mojej brzydoty, którą w owym czasie zaledwie podejrzewałam. Ale zobaczywszy lusterko za żadną cenę nie zrezygnowałabym; to była pokusa nie do opanowania, zawrót głowy na skraju przepaści, że tak powiem. Nie miało dla mnie znaczenia, że ta przepaść mogła mnie pochłonąć, szukając prawdy chętnie bym się w nią rzuciła. Być może po cichu liczyłam na cud, że lusterko ujawni zdumiewająco piękną twarz, a przynajmniej nie tak całkiem brzydka. Może to było takie magiczne lusterko, oczywiście magiczne tylko dla mnie, nie dla innych. Lusterko mogące

zgrać się z czyimiś ukrytymi pożądaniami, potrafiące z psychicznej energii, branej na chwilę od kogoś, dokonać zupełnego przetworzenia – i upiększenia – linii twarzy, taka historia jak z ropuchą, która stawała się księciem. Nie pamiętam o czym myślałam i do czego dążyłam w owej chwili. Wiem tylko, że chciałam tego lusterka i zrobiłabym wszystko, żeby je dostać.

W popłochu, siostra próbowała uciec. Rzuciłam się za nią i ją przewróciłam. Walczyłyśmy, lecz krótko. Ile było we mnie brzydoty, tyle siły. Wygrałam, wyrwałam z jej ręki lusterko, i już. Teraz było moje.

To nie było żadne z tych dobrych zwierciadeł, ot, zwykły krążek wypolerowanego brązu, miernej jakości. Ale służyło do tego, do czego wszystkie lusterka mają służyć, ku szczęściu lub biedzie zerkających w nie osób: pokazywało twarz. Moją twarz.

Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. Mój Boże, więc to jestem ja?

Nie było tam, w tym obliczu, żadnej symetrii, choćby i groźnej symetrii tygrysięgo ryjka; nadaremnie szukałam jakiejś harmonii. Nie chodziło mi o wielką harmonię sfer, jakaś mała istota harmonijna już by mi wystarczała, ale nie znajdowałam tego, bo była niezgoda w tej twarzy. Usta klóciły się z nosem, uszy ze sobą, a oczy, które mogły uratować wszystko, miały zeza, jedno patrzyło na lusterko, a drugie, z zagubionym wyrazem, bezsilnie wpatrywało się w nieskończoność, być może, żeby nie dostrzegać okrutnego obrazu. I jeszcze szczegół (czy

po tym trzeba jeszcze wyszczególnić? Tak, trzeba wdać się w szczegóły, trzeba zejść aż do dna tej melancholijnej studni): brodawki. Rozsiane po twarzy, miałam ich – no nie wiem, nie liczyłam, ale myślę, że co najmniej ze dwa tuziny. Brodawki na pęczki, niedorzeczność brodawek, inflacyjny zalew brodawek. Z powodu ich różnorodności mogły posłużyć za temat traktatu z dermatologii. Miały różne wymiary i tonacje. Jedna z nich, najbardziej wystająca, wyjątkowo niepokoiła, wisiała i kiwała się w powietrzu. Przy silniejszym wietrze, a silne wiatry w naszych stronach były powszechne, oderwałaby się i poleciała gdzieś daleko. Gdyby padła między kamienie, uschłaby, gdyby padła na pustynny piasek, uschłaby, gdyby wpadła do krateru wulkanu miałaby swój koniec i spotykając swój koniec bardzo by mnie uradowała, ale gdyby padła na żyzną ziemię... Gdyby padła na żyzną ziemię, to by zakiełkowała i tylko Bóg wie co za roślina by z niej wyrosła, co za dziwne drzewo z gałęzi suchych i pokrętnych. I gdyby tej roślinie dano, dzięki intuicji, imię drzewa brzydoty, nie mogłabym się skarżyć. Jedyne, co mogłabym zrobić to wykarczować ją ciemną nocą.

Krótko mówiąc, tyle ujrzałam: a) uderzająca asymetria; b) brak harmonii; c) zez (choć umiarkowany); d) nadmiar brodawek. Brakuje dodać, że całość była oprawiona (oprawiona! Jak oprawa ślicznego obrazu, oprawiona!) w parę przyciemnionych i suchych włosów, zdolnych upokorzyć każdego fryzjera.

Tak więc, lusterko pokazywało mi coś podobnego do dziwnego zadreżonego krajobrazu, w którym nierówności terenu (a może to wąwozy) nie układały się w sensowną całość. Na

mojej twarzy zdarzyła się katastrofa, jakiś kataklizm sprzed narodzenia. Widziałam brzydotę archaiczną, brzydotę wielopokoleniową, brzydotę utrwaloną przez wieki, a może przez tysiąclecia.

Chowając twarz dłońmi moja siostra cichutko łkała. Wcale jej nie żałowałam, wręcz odwrotnie. Czułam wściekłość, olbrzymią, niepowstrzymaną wściekłość, skierowaną do niej, do drugiej siostry, do rodziców. Czemu nigdy mi przedtem nie powiedzieli, że byłam tak brzydka? Czemu mnie oszukiwali?

Zlitości, to najoczywistsza odpowiedź. Starali się uchronić mnie od upokarzającej rzeczywistości przez mozolny spisek. Przez długie lata byli aktorami w komedii z sukcesem przedstawianej dla widowni złożonej tylko ze mnie. „O, ona nadchodzi, będziemy udawali, że nic nie zauważamy w jej obliczu, będziemy udawali, że jest normalna, trochę i piękna – nie będziemy przesadzać z podziwem dla jej piękna, bo to może nie przejść, jak za dużo tego dobrego, to budzi podejrzenia, ale będziemy się zachowywać jakby wszystko grało, przełknij to spokojnie.” Byłam jedynym widzem, łatwo było mnie oszukać. Prawdą jest, że grali – teraz muszę to przyznać – pierwszorzędnie. Nikt nie mówił o moich rysach; na przykład nikt by nie powiedział, ach, jaka jesteś śliczna – ale i nikt nie powiedziałby jesteś okropna. Utrzymywali to w milczeniu albo uciekali się do zawikłanych pochwalnych wyrażen: jak ci ładnie w tej tunice. Stwierdzeniu „jesteś ładna” zawsze towarzyszyło łagodzące dopełnienie („w twojej tunice”), co łagodziło kłamstwo, czyniąc je dopuszczalnym w oczach Jehowy ale jednocześnie

podtrzymując litościwą iluzję.

Gdybym zwracała na to uwagę, dostrzegłabym oszustwo. Ale czy chciałam je dostrzec? A może ja sama uczestniczyłam w nim, oszukując się – po części aby nie psuć rodzinnego spektaklu, a po części, żeby nie odkryć przerażającej prawdy?

Teraz te wątpliwości nie miały już sensu. Farsa padła. Widząc rzeczywistość nie mogłabym uciec od niej. Ach, gdyby można było wrócić... Po co zerknęłam do tego lusterka, za-pytywałam siebie, bijąc się w piersi w niepowstrzymanej furii, czemu poddałam się przekłętej ciekawości? Czemu Jehowa nie wyrwał z mojej ręki tego przedmiotu ujawniającego prawdę lecz złowieszczego? A więc, Jehowo, czemu nie podjąłeś żadnych kroków, ty, który wie wszystko, który wszystko może? Mogłeś obrócić lusterko w proch, prostym aktem swojej woli. Czemu tego nie zrobiłeś? A może ciebie nie ma, co? Może jesteś tylko abstrakcją, iluzją uczuciowej optyki?

Zbędne krzyki, zbędne wyrzekania. Nic nie można już było uczynić. Patrzyłam w lustro i koniec; co zobaczyłam, nie mogłam zapomnieć. Lecz potrzebowałam jeśli nie pocieszenia, to przynajmniej wyjaśnienia. Musiałam poznać przyczynę, dla której moim udziałem była tak wielka porcja brzydoty. Natura nie mogła działać nadaremnie rzeźbiąc tak moją twarz. To była z pewnością odpowiedź na jakiś grzech, na zbrodnię. Ale jaki grzech, jaką zbrodnię popełniłam? Szukając odpowiedzi zwróciłam się ku memu dzieciństwu. To prawda, że źle się zachowywałam, ale nie gorzej niż przeciętne dziecko; biłam siostry, ale tylko czasami, a i wtedy nie do przesady: moja agre-

sywność mogła przynieść zadrapanie czy siniaka, ale nikomu nie wywichnęłam stawu, nie mówiąc już o łamaniu kości. Nie, nic w moim dawnym zachowaniu nie mogło wyjaśnić widoku, który ujrzałam i który tkwił teraz przed moimi oczami. Za moje dawne grzeszki może bym zasługiwała na kilka brodawek i to z tych niedużych. Albo leciutkiego zeza. Albo trochę za duże uszy. I nic poza tym. Cała reszta musiała mieć jakiś inny powód, jakąś odmienną przyczynę. Byłam ofiarą, a nie złoczyńcą. Ale czyją ofiarą?

Po długich rozważaniach znalazłam winną: moja matka. Ta cicha i strachliwa kobieta – bała się wszystkiego, wiatru, burzy, ale przede wszystkim żyła w lęku przed moim ojcem, który nie szczędził jej kopniaków – nigdy nie była mi bliska. Czasami opowiadała mi jakąś historię, czasami coś zanuciła swoim fałszującym głosem, jakąś tam kołysankę; czasami pogładziła moją twarz, ale ręką drżącą i szorstką. I do tego ograniczały się nasze relacje. Po zobaczeniu się w lusterku teraz potrafiłam podać motywy jej zachowania. Unikała mnie z powodu brzydoty, ale doszłam do wniosku po długich rozważaniach, że także z powodu poczucia winy, które musiała mieć, winy, którą sama brzydota zaświadczała.

Jaka wina? Szukając odpowiedzi na to pytanie przypomniałam sobie coś, co mi opowiadała gdy byłam jeszcze dzieckiem. Gdy mnie nosiła, miała zwyczaj patrzeć na górę, kamienistą górę z poszarpanym wykrojem, która panowała nad krajobrazem naszego pustynnego obszaru. Wspomniała to jakby od niechcienia ale w wymuszony sposób, tonem, który miał ma-

skować ukryty niepokój, z którego bez wątpienia nie zdawała sobie sprawy – ani ona, ani w owym czasie ja też. Ale ten niepokój, który teraz wykrywałam patrząc wstecz, był bardzo sugestywny i wymowny. Tam bowiem było wyjaśnienie mojej brzydoty, w owej górze. W tym wrogim zafałdowaniu geograficznym, które zresztą dobrze znałam, bowiem do tego miejsca będąc nietowarzyską dziewczyną często uciekałam – i teraz dociera do mnie, że być może byłam kierowana pewnym wybiórczym powinowactwem, bo okropne rysy mojej fizjonomii odpowiadały w pomniejszonej, ale nie gubiącej przez to okrucieństwa skali udreżonemu pejzażowi. Rozdziawiona skała była moim nosem; ciemne wejście do jednej z wielu jaskiń odpowiadało moim ustom. Wiele osób dostrzega twarze w chmurach; ja dostrzegałam w tej górze, pomniku udziwnienia, reprodukcję mojej własnej twarzy. Wrażenia, które moja matka doznała w czasie ciąży odbiły się w niezatarty sposób na twarzy córki. Z pewnością nie chciała tej córki, bo w owym czasie ojciec był zajęty inną kobietą. Zapłodnił żonę, żeby nie przeszkadzała mu w nikczemnym romansie. Zalana łzami, odsunięta ciężarna żona spędzała dni patrząc na górę wiedząc, że tam, ukryty w jakiejś grocie, był jej obleśny mąż pieprząc się bez przerwy; chciała przynajmniej pójść na jego spotkanie gdy on, zmęczony i zaspokojony, wychodziłby z kryjówki, by skierować ku niemu spojrzenie z naganą. Nawet zdołała to uczynić raz czy dwa, ale bez rezultatu, bo on miał w dupie jej naganę. Jednakże to obsesyjne śledzenie przyniosło nieoczekiwany skutek: widok góry został odbity na zawsze w mojej twarzy. To jak z matkami co jedzą truskawki i dziecko rodzi

się z znamieniem bardzo podobnym do truskawki.

Nieoczekiwany skutek... Hmm... Nie wiem czy tak bardzo nieoczekiwany. Czy moja matka nie była przypadkiem kierowana ukrytym celem w tym natrętnym zachowaniu? Ten kretyn mnie zdradza, więc zemszczę się zostawiając na twarzy młodego (bo chłopca chciał mój ojciec na pierworodnego; nawiasem, chciał tylko chłopców, ale Jehowa pokarał go dając mu trzy córki, a pierwszą okropną) te same znaki okrucieństwa, które zostawił w moim sercu; i myśląc tak wpatruje się wciąż w kamienie. Oby dziecko okropne się urodziło – to tego najbardziej chciała. Jego twarz, metaforyczna aluzja do góry, na której mój ojciec grzeszył, stanowiłaby wieczne upomnienie, natarczywe oskarżenie, zachowujący się protest przeciw niewierności, krótko mówiąc: manifest przeciw lubieżności. I udało się: narodziłam się okropna.

Ależ mój ojciec musiał odczuć strach gdy mnie wziął w ramiona. Strach i szok.

Pytanie: czemu mnie nie zabił? Mawiano u nas o rodzicach, którzy pozbywali się noworodków – rzucali je ze szczytu góry w przepaść, a po cichu mówiono, że w jej głębi było tyle kostek co kamyków. Dziewczyna jako pierworodna zawsze była, delikatnie mówiąc, niewygodą: nie było z niej następcy, nie pomagała w pracy i w dodatku trzeba było posagu, żeby móc ją wydać za mąż. A pierworodna z brzydotą to jeszcze gorzej, to klęska, z której wyjściem mogła być tylko przepaść.

Ojciec nie zabił mnie. Nie wiem czemu. Może i on cier-

pieł w poczuciu winy, bo wina to zasadniczy składnik naszej tradycji. We wszystkich historiach opowiadanych przez starszyzną zawsze jest jakiś bezlitosny bóg oskarżający nas o coś. A ponadto to całkiem możliwe, że ojciec czuł jakieś wyrzuty sumienia, bo – odmiennie od mojej matki – tamta kobieta zupełnie go nie szanowała i wygadywała, że był nic nie wartym kochankiem. Więc może przyjął nieme oskarżenie w postaci gęby noworodka.

Rosłam, coraz bardziej brzydząc. I nie wiedząc o mojej brzydocie. Rzecz jasna, w braku lusterka, ale ten brak mógł być czymś zastąpiony. Niemało jest w przyrodzie odbijających powierzchni: na przykład kałuża mogła służyć za lustro; to prawda, że z niedogodnym zniekształceniem (litościwym zniekształceniem, w moim przypadku) tworzonym przez rozchodzące się kręgi. A czy wzrok innych nie mógł mi pośrednio służyć za lustro? A wyraz zdumienia, a nawet przerażenia, który widziałam, albo którego domyślałam się na twarzach patrzących na mnie ludzi, czy to nie była wystarczająca wskazówka? Nawet gdybym była ślepa (a po zobaczeniu się w lusterku pożałowałam ślepoty), nic mi nie przeszkadzało, bym zdała sobie sprawę z rzeczywistości. Wystarczało dotknięcie mej twarzy, mogłam choć trochę zmyślnymi palcami natychmiast wyczuć groteskowe zakrzywienia, zastraszające asymetrie. Ale nigdy tego nie zrobiłam. Mam piękne ręce, (zresztą moje piersi i biodra też są piękne, jestem z tej zaskakującej odmiany zna-

nej jako brzydka-z-gęby-ale-z-dobrym-ciałem), i te ręce, jakby z własnej woli, odmawiały wycieczek po ponurej krainie twarzy. Staralam się je przekonać; no idźcie, ręce, odkryjcie usta, nos, nie bójcie się nieznanego, zaryzykujcie, świat należy do odważnych, kto nie spróbuje, nie konsumuje. Ale ręce były inteligentniejsze od ich właścicielki. Nie, mówiły, zostaniemy tam gdzie jesteśmy, twarz to nie nasza specjalność, nie chcemy wybierać się tam, żaden turystyczny pakiet nas nie przekona; wolimy zostać tu, zajęte codziennymi obowiązkami, gotowaniem, praniem, czyszczeniem – czy przy odrobinie szczęścia pieśczeniem piersi, tych pięknych i delikatnych zaokrągłych, z którymi mamy tyle wspólnego. I w ten sposób ręce dołączają się do tego udawania, zostaw na potem, wszystko w porządku, jakoś to idzie; czyli do konspiracji milczenia. Przebiegłe ręce. U nas obcinanie ich było powszechną karą dla złodziei i zbrojców seksualnych. Moje ręce nie popełniły tak poważnej zbrodni, ale ich uniki były bardzo naganne.

Doszłam do mojego osiemnastego roku życia nie wiedząc o mojej brzydocie. Widać tu jak bardzo istota ludzka, wspomagana przez innych czy też nie, jest w stanie się oszukiwać. I widać też jak silna jest pokusa litościwego okłamywania. Na przykład, moja siostra nie ustawała w wysiłkach, by odwrócić katastrofalne skutki incydentu z lusterkiem. Następnego ranka przyszła do mnie na rozmowę. Opowiedziała historię tak ożywioną dobrymi intencjami jak pokrętną, historię, która musiała kosztować ją bezsenność. Stwierdziła, że po staranym przebadaniu lusterka dostrzegła w nim rysy, których nie

zauważyła przedtem, ale one na pewno znacznie zaszkodziły w pokazaniu mojej podobizny. I dlatego nie powinnam przejmować się, wszystko co widziałam było błędnym odbiciem, które lustro lepszej jakości potrafiłoby poprawić.

Musiałam przyznać, że robiła co się da i czego się nie da, żeby mnie przekonać. Ale nie udało się to jej. Miała aż nadmiar współczucia (i poczucia winy), ale brakło jej zdolności kłamania. Jąkała się, unikała patrzenia na mnie. Więc i ja kłamałam, żeby ją oszczędzić. Tak, potwierdzałam, takie są skutki używania lusterek miernej jakości.

– Wiedziałam – ogłosiłam tonem niosącym dużo więcej przekonania niż jej głos – wiedziałam, że nie mogę być aż tak okropna.

To sprawiło, że ona poczuła ulgę i wdzięczność. Ale nie ja. Zostawiając kłamstwa na uboczu, mój los był zakreślony. Wiedziałam, że byłam brzydulą i że wszystko w moim życiu miało być wyznaczone przez tę brzydotę. Żaden mężczyzna by nie polubił mnie. Żaden mężczyzna nie wyśpiewywałby mego piękna w lirycznych liniach. Moje życie miłosne miało być tak jałowe jak pustynia, która nas otaczała.

Nie będę zaprzeczała: myślałam, że się zabiję. Musiałabym tylko wspiąć się na górę i rzucić się w przepaść. Moje ciało rozbiłoby się o skały; sępy pożarłyby mięso i wnętrzności, a kości wyblakłyby na słońcu w miejscu, które od zarania czasów było

dla mnie przeznaczone.

Nie zabiłam się. Po pierwsze, nie miałam odwagi. Z kolei, samobójstwo, nie tylko źle widziane (a to jest niewiarygodne, że nawet brzydkie przyswajają sobie pojęcia dominującej kultury), nie rozwiązałoby mojego problemu; przestałabym być brzydką żywą, ale nie było gwarancji, że brzydota nie skompromitowałaby także mojej czaszki. Nic by nie przeszkadzało, by w przyszłości ktoś, członek archeologicznej ekspedycji, wykopał mój czerep i wpatrując się z przestraczem mógł powiedzieć swemu towarzyszowi: jaka okropna musiała być ta kobieta, to nie twarz a obraza. Bezstronność naukowa nie wyklucza odczuć estetycznych.

Nie. Musiałem iść do końca z tą twarzą. Z pewnością samotnie – nie wytrzymałabym spojrzeń przerażenia, zdumienia, smutku, współczucia – ale owszem, miałam iść, aż do końca.

Stałam się pustelniczką. Na pół etatu, ale pustelniczką. Spałam z rodziną, bo nie było innego wyjścia, ale gdy rozjaśniał się dzień biegłam do góry, która dotąd była kryjówką kóz uciekających ze stada mego ojca (i jak już mówiłam w pewnych okolicznościach i jego samego). Jednak odmiennie od zwykłych pustelników, którzy szukają jedynie oddalenia od ludzkich istot, ja szukałam czegoś. I gdy to znalazłam, od razu wiedziałam, że było to właśnie tym, czego szukałam.

Kamień. Nieduży kamień.

Odmienny od odłamków skał z góry, był gładki i delikatny w dotyku. Aż zdumiewająco gładki: cóż za erozja zdołała

przeważać nad powszechną szorstkością?

A może to nie była erozja. Kto wie czy nie było to dzieło jakiegoś tajemniczego mieszkańca góry, jakiegoś gнома czy czarownika, który cierpliwie wygładzał chropowatą powierzchnię myśląc, że pewnego dnia górę odwiedzi zrozpaczona brzydula i w tym kamieniu znajdzie pocieszenie.

Nie wiem. Ważne jest to, że kamień, dzięki swemu wymiarowi, owalnemu kształtowi a przede wszystkim dzięki gładkości, nadawał się doskonale do tego, czego chciałam. Ten kamień miał mi zastąpić kochanka, którego ja, brzydka, nie miałam kiedykolwiek poznać. Wsunęty do pochwy miał mnie prowadzić do rozkoszy.

I udało się. Od tego momentu dobry kamień przysporzył mi wielu, wielu chwil gorzkiej i samotnej przyjemności. Schowany pod innymi kamieniami o wyglądzie zwykłym, pospolitym, oczekiwał mnie kochany kamyk. Oczekiwał tam niecierpliwie chwili dotarcia do tego małego wilgotnego zagłębienia i drżał z przyjemności. Co? Myślicie, że kamienie nie mają uczuć? Mylicie się, mężowie i kobiety małej wiary. Tak, kamienie czują, czują dużo więcej niż wiele osób, takich co mają twarde serca czy inne wady. Tyle, że nie ujawniają swoich uczuć. Nie krzyczą, nie płaczą, nie wołają do nieba. Ale są wdzięczne ręce, która je pieści, skupiają czułość jak bateria skupia energię i oddają ją potem. W moim przypadku, w przypadku mojego kochanego kamienia, było mi wszystko oddane, z odsetkami. Co za orgazmy, panie i panowie. Co za orgazmy. Prawdziwe trzęsienia cielesne, kończone przeszywającym

i z trudem tłumionym krzykiem.

Mogłam tak istnieć szczęśliwa, zrezygnowawszy ze świata i jego pułapek. Lecz nie, nie byłam nieczuła na pokusy. Skończyło się tym, że spadłam na sam spód, w dolinę ludzkich uczuć.

Zakochałam się.

Był sobie tam pastuszek, który pracował dla mego ojca i który tamtędy właśnie chadzał, po górskich ścieżkach. Dostrzegałam go tam codziennie. Był to piękny chłopak, wysoki i silny. Bardzo dźwięcznym głosem nucił nostalgiczne piosenki mówiące o niemożliwych miłościach. Nigdy nie zwracałam na niego uwagi, w naszej wsi uchodził za dziwaka. Inni pasterze kpili z niego, twierdzili, że pieprzy on swoje kozy, co zresztą było możliwe. Samotni muszą w jakiś sposób zaspokoić swoje pasje, koza czy kamień, wszystko jest dobre gdy fantazja pokonuje smutną rzeczywistość. Fantazja czy nie, pewne jest, że gość wydawał mi się bardzo daleki. Jeśli wszystkiego zamieniliśmy sześć słów to już było dużo.

Ale teraz widziałam pastuszka w innej scenerii. I to ta zmiana scenerii nasunęła mi pewne idee... Pewne nadzieje... My w dwójkę, sami, na górze, czy może nie poddałby się pokusie? Tak, byłam brzydka, ale nie brzydsza niż te jego kozy, za którymi chodził, nawet jeśli były tam jakieś całkiem sympatyczne samice, choć imienia ich rasy nie zapamiętałam. Ale byłam pewna, że zwyciężę konkurencję. Przynajmniej mogłam oddać mu jego uściski. Przynajmniej mogłam mu wymruczeć

do ucha czułe słowa miłości, czego żadna koza zrobić nie potrafi.

Pewnego dnia zebrałam się na odwagę i zagadnęłam go: słuchaj, chodź, pogadamy. Z początku wymigiwał się, mówił, że nie może, ale w końcu przystał na zaproszenie: siedliśmy i zaczęliśmy ożywioną gawędę. Ku memu zaskoczeniu, okazał się miłym gościem. I ciekawiło go co córka jego szefa robiła szukając schronienia na górze. Natychmiast coś wymyśliłam, zresztą całkiem piękną historię. Opowiedziałam, że we śnie pojawił mi się anioł przynosząc nowinę od Pana: miałam na górskich ścieżkach napotkać mężczyznę mego życia, a będzie on pasł kozy. Zaintrygowany, słuchał mnie, ale, głuptas, nie chwycił sugestii. Więc poszłam o krok dalej. Pokazując mu jaskinię powiedziałam, że to byłoby idealne miejsce na przeżycie wielkiej miłości.

Jego reakcja była zdumiewająca. Jaskinia, zakrzyknął, uderzając się w czoło, jak to może być, że wcześniej nie pomyślałam o jaskini, naprawdę osioł ze mnie, ale ten pomysł ją ucieszy. Kogo ją, zapytałam.

Jak to kogo. Oczywiście, moją siostrę. Pięknisię. Ślicznotkę. Nic o tym nie wiedziałam, nikt o tym nie wiedział, oni od dawna mieli się k'sobie. Zdobył ją przedmiotem, który zawsze chciała mieć i który był przyczyną mojej biedy: lusterko, które komuś złupił. Albowiem jak nadarzała się okazja to pastuchowie nie wahali się, by pozostawić swe stada i zająć się napadaniem na przechodzące tamtędy karawany.

Ich namiętność nie została jeszcze skonsumowana z jedyne­go powodu: zbrakło im miejsca gdzie by mogli bezpiecznie się spotkać. I tę lukę wypełniała doskonale jaskinia. I dlatego gdy ją wspomniałam był mi tak wdzięczny, że opowiedział całą historię i prosił, żebym im pomogła.

Zgodziłam się. Co miałam robić? Zgodziłam się. Natych­miast wyrzekłam się uczuć, no i zgodziłam się.

Tego samego wieczoru moja siostra wspięła się biegiem po górskiej ścieżce. Jak i jej umiłowany, dziękowała mi za po­moc, którą im okazywałam: Pan cię wynagrodzi, obiecywała mi, i ty na tej górze spotkasz tego ukochanego. (Kogo? Kogo, siostrzyczko, kogo? Gładkiego kamyka? Starego capa? Anioła przysłanego przez Pana? Ech, siostrzyczko, mogłabyś zaoszczędzić mi tych twoich współczujących ochów).

Poprosili mnie, bym śledziła ścieżki, by nikt im nie przeszkodził, czego dokonałam wyśmienicie. Stałam na straży przed wejściem do jaskini. Tam w jej głębi było zimno i pastuszek rozpa­lił ognisko. Widziałam tylko ich sylwetki, wycięte za pło­mieniami i wyginające się w seksualnej gimnastyce. I jęki, i krzyki, i śmiechy... A nikt nie dowiedział się o moich łzach.

Sprawa nie miała dobrego końca. Mój ojciec odkrył wszyst­ko; był wściekły gdy dowiedział się, że córkę rozprawiczył mu jego pastuch. Jako patriarcha zgromadził całą wioskę i prze­prowadził publiczną rozprawę w trybie doraźnym – był w nim

prokuratorem i sędzią (nie było adwokata obrony, nikt by się nie ośmielił podjąć tej roli). Uznano winę nieszczęsnego pastucha i został skazany na tradycyjną karę obowiązującą wśród pustynnych plemion: ukamienowanie. Natychmiast zgromadzono wielką ilość górskich kamieni. Chłopiec przywiązany do słupa był łatwym celem kamieni miotanych z furią przez ludzi z wioski. Patrzyłam na to nic nie mogąc zrobić, wspierając moją siostrę, także całkiem bezradną. Wreszcie skończyły się kamienie; na wpół żywego, ociekającego krwią chłopaka odwiązano i wygnano. Goń stąd, ogłosił mój ojciec, nigdy tu więcej nie chcę cię widzieć; jeśli pojawisz się znowu, zatłuczemy cię na śmierć. Zataczając się odszedł w dal.

Moja siostra szybko się pocieszyła, tym bardziej, że miała już na oku innego pastucha. Mój ojciec, spryciarz, obiecał mu dwadzieścia kóz jeśli uzna ojcostwo mającego narodzić się dziecka. Mieszkańcy wsi też nie rozpaczali nad ukaraniem złooczyńcy, bo sobie na to zasłużył. I wkrótce nikt już nie mówił o nim, nawet jego rodzice.

Jedyną osobą, która cierpiała, i to w milczeniu, byłam ja. Wraz z pastuszką znikła moja nadzieja, absurdalna nadzieja, że mogłabym kochać i być kochaną. Pozostałam sama, z moim kamykiem.

Czy tylko z tym zostałam, z masturbacją?

Nie. To znaczy: owszem, tak, dopóki nie zlitował się nade mną skryba.

Skryba był jedynym człowiekiem, którego mój ojciec szano-

wał. Przyczyna była prosta: wśród nas tylko on umiał czytać i pisać. A więc nie był zwykłym pracownikiem. Zarabiał więcej i miał pewne prawa; na przykład dostawał co miesiąc dziesięć serów kozich, bardzo cenionego specjału. Ale jego powinności też były szczególne. Mój ojciec doręczał skrybie przesłania, które przychodziły od króla. Były one rzadkie, ale zawsze zawierały żądania pilne i kategoryczne. I skryba miał dać na nie odpowiedź, co wymagało od niego nie tylko umiejętności pisania ale i politycznych zdolności: stosunki mego ojca z Koroną nie były najlepsze. Ponadto, skryba prowadził pewien rodzaj księgowości, tak stad jak i innych dóbr ojca i innych dochodów należnych patriarsze. Wieś traktowała skrybę z szacunkiem i bojaźnią: mieli go za jakiegoś czarownika.

No ale był stary i brzydki. O Boże, jaki on był brzydki. Zostawiwszy na boku naszą różnicę wieku, brzydotę mieliśmy równoważną. Może stąd brała się czułość, którą mi okazywał. Zawsze mi dawał prezenty: chleb, kawałek sera. I gdy tylko mógł, opowiadał mi historie; wiedział wszystko o przeszłości naszego plemienia.

Pewnego dnia zawołał mnie do namiotu, który mu służył za biuro. Chodź tu, powiedział z tajemniczą miną, chcę ci coś powiedzieć.

Wyznam, że w pierwszej chwili pomyślałam o czymś bezwstydnym. Nieco z obawą, ale i z lekka podniecona – czyżby przyszła pora, by zastąpić kamyk futem, prawdziwym choć starym? – weszłam do namiotu, gdzie był tylko mały stół i stołek. I staliśmy tak, a on patrzył na mnie w dziwny spo-

sób. Pomyślałam, że teraz każe mi ściągać ubranie. Ale było inaczej:

– Zamierzam – oświadczył głosem poważnym, choć nieco trzęsącym się – nauczyć cię pisać.

No tak, to było zdumiewające, najbardziej zdumiewająca rzecz, która mnie się w życiu przytrafiła. Pisanie było czymś dla nielicznych wtajemniczonych, dla osób docierających nieznanymi metodami do opanowania sztuki, którą my, pozostali, widzieliśmy prawie z religijnym szacunkiem. A w dodatku: kobieta, która pisze? Niemożliwe. Kobieta, nawet brzydka, miała dbać o dom, wyjść za męża, rodzić dzieci. Jego sugestia nie była wykroczeniem, ale była czymś niesłychanym. I co mogło go sporo kosztować. Wolałam nawet nie zastanawiać się co by powiedział mój ojciec gdyby dowiedział się o tym pomysle. Cenił skrybę, potrzebował go, ale gdy wchodził w grę jego autorytet, nie zawahałby się dać staremu przykładową nauczkę, choćby ukamienowanie czy jeszcze gorzej.

A jednak skryba mówił poważnie. Tak, chciał nauczyć mnie pisać. Nie wiem czemu. Może z litości: biedna dziewczyna jest brzydka, nigdy nie przyciągnie mężczyzny, musi mieć coś w zamian, jakieś ujście dla jej frustracji. A może coś przeczuwał – jak to się uwidoczni, przyszłość kryła dla mnie niespodziankę, którą mógł odgadywać. Jakby nie było, ważne, że posadził mnie przy stoliku, pokazał jak się używa materiały do pisania, patyk, barwniki, pergamin. I nim w pełni zrozumiałam co się działo, już byłam przy pierwszej literze alfabetu, alef, która jest początkiem wszystkiego.

Co za wzruszenie. Boże, co za wzruszenie. Patrzyłam na te chwiejne kreski z zadowoleniem artystki kończącej swoje pierwsze dzieło. Udawało mi się coś, o czym nigdy nie śniłam. Więcej: w tej krótkiej chwili odmieniłam się. Nie czułam się już tak brzydka. Miałam tę samą twarz, ale poczucie wewnętrznej brzydoty, poczucie, które towarzyszyło mi nawet we śnie i przejawiało się w koszmarach, z których budziłam się z krzykiem, to poczucie znacznie złagodniało. Byłam teraz ... brzydulą. Sytuacja całkiem do zniesienia i porównaniu z tym, co znosiłam, przedstawiała nawet stan nieoczekiwanej pogody, prawie szczęścia. Czułam się lekka i uwolniona, jak gdyby akt pisania, litera, jedyna litera, uwalniała mnie z przygnębiającej przeszłości. Zaczęłam jak opętana gadać, o moim dzieciństwie, o fantazjach, o dążeniach. Mówiłam i mówiłam. Skryba słu-chał uśmiechając się.

I oto, co mi się wtedy zdarzyło: w porywie pożądania – ta historia z pisaniem w jakiś dziwny sposób wyzwoliła we mnie chęci – rzuciłam się w jego ramiona, chciałam oddać się mu, bo miał prawo, by mnie posiadać. Powstrzymał mnie delikatnie: nie, nie mógł zadać się ze mną. Nie byłoby uczciwym korzystanie z mojej wdzięczności, a nawet gdyby chciał to uczynić, nie byłby w stanie; od dawna już nie pamiętał czym był seks. Jego pomoc nie miała ukrytych intencji; motywowała go tylko solidarność, sympatia, chęć nauczania. Był stary i chciał przekazać komuś swoje umiejętności i uważał, że byłam właściwą osobą.

Wszystko to brzmiało bardzo szlachetnie, ale podejrzewa-

łam, że na dnie nie leżała czysta bezinteresowność. Nierzadko dostrzegałam oznaki niechęci na jego twarzy gdy ojciec przekazywał mu jakieś rozkazy. Może starał się obalić rodzinny układ patriarchy, szkoląc jego brzydką pierworodną w sztuce zastrzeżonej dla mężczyzn – i tylko dla mężczyzn?

Mało mnie to obchodziło. Odkryłam świat pisanego słowa i byłam szczęśliwa. Chowałam się w górskiej jaskini, by moja umiejętność pozostała sekretem, zgodnie z zaleceniem samego skryby; spędzałam dni, pisząc przy nikłym świetle lampki. Co pisałam? Cokolwiek. Rozmyślenia. Wiersze. Historie, przede wszystkim historie. Historie, które wymyślałam i w których zawsze byłam piękną bohaterką, o względy której ubiegali się książęta, zaczarowani czy też nie. Prawdziwe historie, historie naszego ludu, które opowiadał mi skryba i które przenosiłam na pergamin.

Opowiadałam o moim ojcu, mężczyźnie przystojnym i energicznym, który prowadził swój lud przez pustynię do oazy u stóp góry: tam zbudowaliśmy nasze domy, tam założyliśmy wielkie miasto. Pisząc o moim ojcu w pewien sposób zdobywałam nad nim władzę; stawałam się kobietą mądrą i wpływową, a on – chłopcem bezradnym i zastraszone. Ale ta opowieść miała tylko początek; aby ją kontynuować potrzebowałam jego współdziałania, a tego nigdy bym nie otrzymała. Ta historia, on by rozeźlony powiedział, mieści się w mojej głowie i opowiem ją kiedy zechcę.

Nie miało to dla mnie znaczenia. Wystarczał mi akt pisania. Zachwycało mnie układanie na pergaminie litery po literze, słowa po słowie. Tworzyłam nie tylko tekst, ale piękno, piękno wywodzące się z porządku, z harmonii. Odkrywałam, że jedna litera przyciąga drugą, jedno słowo przyciąga drugie, a to ich powinowactwo tworzyło nie tylko tekst, ale i życie, wszechświat. Gdy kończyłam, widziałam na pergaminie mapę, jak te mapy nieba, wskazujące pozycje gwiazd i planet, pozycje nie biorące się z przypadku, ale z układu tajemniczych sił, tych samych, które w mniejszej skali prowadziły moją rękę gdy ona pozostawiała na pergaminie swoje znaki. Była w tym moc, moc, którą powoli brałam w moje ręce. Upajające doświadczenie, którego nie mogłam podzielić z nikim: gdyby o tym wiedziała, moja matka umarłaby ze strachu, a moje siostry z zazdrości. Chciało mi się opowiedzieć o tym, co się zdarzyło tylko pastuszkowi. Powiedziałabym mu, że teraz moje życie miało sens, znaczenie: choć brzydka, potrafiłam tworzyć piękno. Nie owe fałszywe piękno, które oszukańczo odbijają lustra, lecz piękno prawdziwe i trwałe, tekstów, które pisałam dzień po dniu, tydzień po tygodniu, jak gdybym trwała w stanie stałego i rozkosznego upojenia.

Tak, czułam się przeniesiona do innego świata, do innej rzeczywistości. Wszystko było zapomniane. Nawet kamyk? Tak, niewiarygodne to, nawet kamyk. Kamyk? Po co mi kamyk? Na cóż mi fantazje, jeśli teraz fantazja była w moim zasięgu, mogłam ją tworzyć w każdej chwili?

Rzadko myślałam teraz o kamyku, lecz gdy to czyniłam, od-

czuwałam wyrzuty sumienia; były tak intensywne, że pewnego razu nie wytrzymałam i poszłam do kryjówki, by sprawdzić czy ciągle był tam gdzie go położyłam. W pierwszej chwili nie znalazłam go i aż się wystraszyłam. Ktoś go sobie wziął, pomyślałam od razu. Ale kto? I po co? Czy ten kamyk, gładki, owalny, miał upiększać czyjś dom czy też inne miał zamiary ten, kto go posiadał? Tysiąc rzeczy przebiegło mi przez głowę: kamyk dotarł do rąk mojego ojca i on mnie woła rozwścieczony: poznajesz ten kamyk, a jak poznajesz, to co z nim robiłaś?

Nie, nikt mi nie zabrał kamyka. Pomyliło mi się miejsce. Gdy go odnalazłam, płakałam z radości: pocałowałam go i prosiłam o wybaczenie. Znienacka, owładnęło mnie pragnienie... Bolesny dylemat: z jednej strony kamyk i nikła, ale pewna pociecha, którą mi dawał, a z drugiej, moja nowa kondycja literacka, w oczywisty sposób nie do pogodzenia z tak prostackim postępowaniem. Jednak pokusa była zbyt silna i już miałam się jej poddać gdy właśnie w tym momencie dotarła do mnie z dołu, z wioski, wielka wrzawa. Pastuszek wrócił, pomyślałam natychmiast, pojawił się, by stawić czoła memu ojcu i wiosce, by wziąć mnie ze sobą, mnie, jedyną kobietę, którą naprawdę kochał. Pod wpływem tej szalonej idei cisnęłam kamyk do groty i pospieszyłam na dół.

Nie, to nie był powrót pastuszka. To był wysłannik króla w jednej z jego okresowych wizyt. Jego pojawienie się zawsze było wielkim wydarzeniem: pojawiał się w wiosce przy dźwię-

kach tręb i tamborów z karawaną wielbłądów, eskortowaną przez pełen wigoru oddział uzbrojonych żołnierzy. Witano go frenetycznymi oklaskami, z trudem ukrywającymi powszechny strach: prawie zawsze wysłannik przynosił złe wieści. Albo domagał się zaległych podatków, albo oznajmiał nowe prawa czy też powoływał młodzieńców na wojnę. Mimo to mój ojciec domagał się, by plemię dobrze traktowało tego człowieka, oddając mu hołd i prezenty. Nie chciał słyszeć o kłopotach z dworem, o nie. To by mogło bardzo drogo kosztować.

Gdy zadyszana dotarłam do wioski, wysłannik – mąż tłusty i spocony – zsiadał z dużą trudnością ze swego wielbłąda. Pozdrowił wszystkich obecnych i po chwili napięcia oznajmił uroczystym głosem, że przynosił królewskie posłanie. Jak wszyscy obecni, myślałam, że chodziło o zwyczajowe powiadomienia, szczególnie że był to okres płacenia danin. Jednak myliłam się. Wyciągnięty z jedwabnej i ozdobnie obszywanej sakwy pergamin miał odmienić moje życie.

Mój ojciec ujął zwój i, jak zwykle, podał go skrybie, który go rozwinął i czytał z uwagą.

Natychmiast pobladł, co jedynie powiększyło nasz niepokój: wyraźnie było to coś bardzo ważnego i chyba niezwykłego, skoro oznajmił zduszonym głosem, że musi porozmawiać z moim ojcem na osobności.

Wysłannikowi nie było to w smak. Oznajmił niecierpliwie, że zgodnie z rozkazem króla miał natychmiast powrócić.

– I to z wypełnioną misją – dodał tonem ukrytej groźby.

Ojciec wszedł do namiotu skryby i przez jakiś czas trwali tam odgradzeni od ludzi. Słyszałam przytłumione okrzyki, ale nie miałam najmniejszego pojęcia o czym mówili. Wreszcie mój ojciec wyszedł. Szedł w moim kierunku, wpatrując się we mnie w dziwny sposób, a jego wzrok przekazywał sprzeczne uczucia: radość, ale także zmartwienie i jakby nawet bunt. Próbował coś mi powiedzieć, ale nie zdołał. Z gniewnym gestem obrócił się do skryby i nakazał mu przekazanie nowiny, po czym oddalił się, prowadząc ze sobą wszystkich zebranych wokół. Teraz byłam nie tylko zaintrygowana, ale przerażona. W końcu, czy owo posłanie właśnie mnie dotyczyło? Ale czemu miał się zajmować mną, brzydką i nic nie znaczącą, potężny monarcha, który nami rządził?

Chodź ze mną, powiedział skryba i wprowadził mnie do namiotu. Co się stało, spytałam trzęsącym się głosem. W odpowiedzi podał mi pergamin, znakowany okazałą pieczęcią króla.

– Przeczytaj sama. Przecież już potrafisz.

Przeczytałam i w pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

„Zgodnie z tradycją i z prawem” – mówił list – „jesteś wezwany do oddania twej najstarszej córki na królewską żonę, by w ten sposób utrwalić związek między królewskim domem i plemieniem, któremu przewodzisz.” Najstarsza córka, czyli ja. Ja byłam wybrana, by stać się żoną króla. Ja, która nigdy nie poznałam mężczyzny, ja, która jeszcze przed paru minutami wahałam się między masturbacją a sublimacją, ja miałam wyjść

za mąż za najpotężniejszego człowieka w królestwie. A może i na świecie. Nie wiedziałam co powiedzieć, nie wiedziałam czy płakać czy śmiać się, czy skakać z radości czy rzucać się na ziemię w konwulsji lamentów. I stałam tak, nieruchoma, sparaliżowana.

Mój ojciec wrócił do namiotu i patrzył na mnie w milczeniu. Teraz mogłam zrozumieć mieszankę uczuć, które nim owładnęły i które przesyłało jego spojrzenie. Z jednej strony czuł wdzięczność i dumę. Jak list mówił, małżeństwo było związkiem politycznym, a związku z królem pożądał każdy szef plemienny, a on bardziej od innych, głównie dlatego, że stały przed nim wielorakie groźby, zewnętrzne i wewnętrzne. Od dawna obawiał się ataku sąsiednich plemion, zazdrosnych o nasze piękne kozy i owce. Z drugiej strony, jego przywództwo plemienia nie było zbyt solidne. Napotykał niemałą opozycję wielu szefów rodzin, nie mówiąc o otwartym braku szacunku niektórych młodzików. A zdarzenie z pastuszką było kroplą przepełniającą czarę. Zgoda, był to problem z niezrównoważonym chłopcem, ale w dawnych czasach nikt by się nie ośmielił rozdziewiczyć córkę patriarchy, a w dodatku w jaskini, której on sam używał w swoich wypadach, co też było przyczyną kpin. Jednak powiązawszy się z tronem cieszyłby się szczególną opieką; podniósłby się jego status, nie mówiąc już o długach, które z pewnością by zostały odpuszczone, a przynajmniej rozłożone na raty, z niskimi odsetkami, jakieś tam dwa czy trzy procent rocznie, zależnie, rzecz jasna, od ekonomicznej koniunktury. Jego córka pędziłaby w królewskim pałacu życie

w wygodach i zbytkach. Po prawdzie, byłaby jedną z setek żon i konkubin, i pozostałaby na resztę życia zamknięta w owej złotej klatce, z dala od wioski i od niego. Odczuwałby to jednak: przecież byłam jego córką, wychował mnie i pomimo naszych sporów w głębi było między nami uczucie, kto wie czy nawet, pomimo mej brzydoty, poczucie wspólnoty. A jednak, zważywszy wszystko, królewski nakaz przynosił wiele korzyści dla niego i być może też dla mnie.

Tyle, że był tu problem... Sprawa potencjalnie bardzo poważna: a gdyby król mnie oddalił? Gdyby mnie odesłał z powrotem mówiąc: nie chcę brzydkich, taka kobieta to nie żona, a złośliwość losu, nie biorę byle rupiecia jako zastawu za sojusz? Sytuacja stałaby się naprawdę trudna. Choćby to była królewska decyzja, mój ojciec nie mógłby zaakceptować zwrotu, bo nieuchronnie stanowiłoby to obrazę, nawet gorzej, drwinę – w końcu, jako córka byłam tworem jego, patriarchy. Protestowanie też by było skomplikowane, bo co mógłby zrobić, uciec się do obywatelskiego nieposłuszeństwa, odmówić płacenia podatków? Czy wdać się w otwartą rewoltę, związać się z grupami buntowników, którzy porozrzucani tu i tam walczyli z centralną władzą?

Ciernisty problem. Lecz mój ojciec – przecież nie na darmo był szefem, miał jakieś zdolności polityczne – starał się go z góry przewidzieć. W tej chwili najważniejsze było dojście ze mną, z jego córką, do ładu. Jasne, że jako ojciec mógł zdecydować, że mam poddać się jego woli i zostać żoną króla. Ale liczył na to, że uzyska moją zgodę, a co najmniej, że nie

wywołam awantury, a to by było bardzo niemiłe i wymagałoby odeń energicznych, a może i gwałtownych kroków, które nijak by nie pasowały do radosnego klimatu mającego, jak się zazwyczaj uważa, charakteryzować narzeczeństwo. Patrzył więc na mnie z oczekiwaniem: to do mnie należał następny ruch.

W owej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Poczułam się znowu dzieckiem płaczącym w nocy ze strachu przed ciemnością. Gdybym mogła, uczepiłabym się go w płaczu i błagała, proszę, chcę zostać z tobą, z mamą, z siostrzyczkami. Ale nie mogłam tego uczynić. Chciałam go oszczędzać, to jasne – był przecież moim ojcem – ale nie w tym była rzecz, chodziło o moją dumę. Od dawna umiałam już opanowywać moje uczucia. Wystarczało, że byłam brzydka; w płaczu zamieniałam się w straszdyło. Dlatego też ograniczyłam się do oświadczenia w sposób suchy i godny, że przyjmę jego decyzję.

Było to więcej, o wiele więcej niż mógł się spodziewać. Więc uścisnął mnie ze wzruszeniem. Nie był to taki uścisk, jaki zachowywał dla kobiet w jaskini, ale jednak to był uścisk i objęci wyszliśmy z namiotu, by obwieścić wszystkim dobrą nowinę. Co oczywiście było sensacją, wielkim wyróżnieniem dla naszej wioski. Wszyscy podchodzili, by mnie uścisnąć. Wiedziałam, że wszystko dobrze się skończy, wyszeptęła moja siostra. Udawała radość, ale z trudem ukrywała zazdrość: dla niej pastuch kupiony za dwadzieścia kóz, dla mnie za darmo król. Miałam teraz dostać wszelkie lustra, o których mogłam zamarzyć. Kto wie czy nawet nie mogłam stać się powabna, środków na to nie brakowało na dworze.

Wyznaczono odjazd na następny ranek. Wieczorem przygotowałam swój skromny dobytek i ostatni raz wspiełam się na górę, by z niej zobaczyć jak słońce zachodzi w pustyni. Poszłam do schowka, wzięłam kamyk i pożegnałam się z nim: już nie potrzebowałam tego dildo, które mi towarzyszyło wiernie w tylu fantazjach. Żegnaj, kochany kamyku, wyszeptałam wzruszona. Jako akt końcowego hołdu, złożyłam go w głębi jaskini, która była scenerią uniesień mojego ojca i pastuszka, a także moich uniesień, z powodu pisma.

Prawie nie spałam w nocy, taki był mój niepokój. Dopiero o świcie zwyciężyło znużenie, zdołałam zasnąć i miałam dziwny sen. Byłam w nieznanym miejscu, wielkiej sali, która musiała być salą tronową w pałacu królewskim, taki był jej przepych. W głębi na ścianie było olbrzymie lustro. Pobiełam, żeby się w nim ujrzeć, lecz nie zobaczyłam mego własnego odbicia, ale kobiety bardzo ode mnie odmiennej: wysokiej, ładnej, ciemnej karnacji i z zagadkowym uśmiechem. Chciałam ją zapytać kim była, ale nie zdążyłam: nieoczekiwanie mój ojciec obudził mnie. Wysłannik króla był gotów do odjazdu, karawana czekała tylko na mnie. Szybko ubrałam się, pożegnałam się pośpiesznie z rodziną i już po chwili byliśmy w drodze ku stolicy. Długa i trudna wyprawa, nie pozbawiona niebezpieczeństw: nędza w ostatnich czasach przyniosła wzmożone rabunki i napady band nieprzyjaznych królowi.

Zostałam schowana w małym namiocie ustawionym na grzbiecie wielbłąda, nikt nie mógł mnie oglądać, bowiem byłam własnością króla. Teoretycznie i ja nie mogłam na nic patrzeć, ale

już na drugi dzień zmęczyła mnie ta splendid isolation i odsłoniłam franki namiotu wystarczająco, by móc samej zerkać i nie być widzianą. Z początku widziałam tylko pustynię; jałowy pejzaż, który tak dobrze znałam. Na pustyni się urodziłam, na pustyni rosłam. Pustynia była moim podłożem, moim domem. Domem, który teraz opuszczałam.

Powoli krajobraz zmieniał się. Pojawiały się coraz większe osady, zaludnione przez ludzi z innych plemion, ludzi mi nieznanych, ubranych w odmienne stroje – wszystko to zaskakiwało i przestraszało. Boże, jaki ten świat jest wielki. I jak daleko byłam od domu. Dopiero w czwartym dniu wyprawy ujrzałam na drodze znaną mi postać, postać od której moje serce zabiło szybciej: to był pastuszek. Szedł z trudem, kulejąc. Co gorsza, twarz miał zdeformowaną rzucanymi weń kamieniami. Biedny chłopak, co z niego zostało z powodu bezlitosnej kary mego ojca! Miałam ochotę zawołać go, przygarnąć do mego małego namiotu. W tym miejscu dość przyjemnym zżylibyśmy się tak, jak od dawna o tym marzyłam. Długo byśmy rozmawiali, wymieniali spojrzenia i kto wie nawet...

Nie ma mowy. Teraz należałam do króla i musiałam zapomnieć o kochanym pastuszk. A w dodatku być może chłopak nie potrzebował mojej pomocy. Owszem, został upokorzony i pokaleczony i haniebnie oddalony, ale w zamian za to miał teraz swą wolność, mógł chodzić do woli ścieżkami świata, mógł kochać się ile zechciał z dziewczynami (czy kozami), a ja miałam być na zawsze zamknięta w pałacu królewskim. Nasze drogi rozchodziły się, a że wielbłądy były szybsze, wkrótce

chromy pastuszek został z tyłu.

W miarę jak przybliżaliśmy się do miejsca przeznaczenia, opadały mnie wątpliwości. Jakim będzie pałac? Jak będzie w haremie? I – przede wszystkim – jakim miał być ten człowiek, do którego wkrótce miało należeć moje ciało, moje życie? Nie miałam o tym żadnego pojęcia lecz niepokój mnie rozbudzał. Miałam przeżyć przygodę, przygodę odnawiającą się w każdej chwili. Odtąd wszystko miało być odmienne, wszystko miało przynosić radość. To odczucie potęgowało się w miarę jak droga zaczęła się wznosić i gdy zbliżaliśmy się do legendarnej stolicy, w oddali zostawała pustynia i samotna góra; w oddali zostawała moja przeszłość. Przede mną była przyszłość, złocista przyszłość. Z rana obudziłam się i ujrzałam ją na własne oczy, Jerozolimę, z jej wieżami i murami.

Jerozolima. Od dziecka ta nazwa rozbudzała moją wyobraźnię. Przede wszystkim dlatego, że jej nie znałam. Mój ojciec mówił o mieście wielkim i pięknym, miejscu, w którym życie było urozmaicone. Wraz z siostrami słuchałyśmy tego w milczeniu wypełnionym zachwytem i rezygnacją. Miałyśmy niewielkie szanse na tę prawie mityczną podróż; pielgrzymki do miasta króla, miasta Świątyni odbywali mężczyźni, nigdy kobiety. Szczęśliwe były córki Jerozolimy, w niej urodzone; inne musiały zadowolić się opowieściami podróżników. Ale teraz byłam tu i nie w roli jakiejś podróżniczki, ale jako żona wybrana przez króla. Córki Jerozolimy, miałam ochotę krzyknąć, kłaniajcie się przede mną.

Przybycie karawany wywołało harmider. Na wąskich ulicz-

kach, którymi posuwaliśmy się oglądał nas prawdziwy tłum. I nie zaprzeczę, że byłam bardzo dumna gdy pojęłam, że przyczyną tego zainteresowania i podniecenia był namiot, w którym byłam ja. Wszyscy wiedzieli, że w nim znajdowała się nowa żona króla. Z pewnością wyobrażali sobie ją jako piękną i uwodzicielską. Mylili się, ale nie mieli się kiedykolwiek o tym dowiedzieć, bo nie mieli mnie zobaczyć. Z królewskiego pałacu nie miałam nigdy wyjść.

Docieraliśmy teraz do owego pałacu, imponującego i pełnego przepychu. Minęliśmy odrzwia, pilnowane przez wartowników, dotarliśmy do wewnętrznego dworca i tam karawana zatrzymała się. Królewski wysłannik, z którym w czasie całej podróży nie zamieniłam ani słowa, podszedł i pomógł mi zsiąść, po czym przedstawił mnie zarządzającej haremem, która od tej chwili miała się mną zajmować. Ta wielka, gruba i silna kobieta, z męskim wyglądem (kto wie czy nie uczestniczyła w uciechach haremu) popatrzyła na mnie zaniepokojona. Wiem, co myślała: ależ ona brzydka, najbrzydsza w kolekcji. Lecz jeśli tak myślała, to jasne, że nic nie powiedziała: od tego momentu nikt nie miał już mnie nazwać brzydką, bo teraz byłam żoną króla. Ograniczyła się do pozdrowienia mnie słowami życzliwymi i konwencjonalnymi. Potem zapytała czy byłam bardzo zmęczona. Powiedziałam, że nie, że podróż była bardzo dobra.

No to możemy zaoszczędzić czas i załatwić nieco formalności, powiedziała.

Wyjaśniła, że ponieważ harem był bardzo duży, potrzebny

był jakiś rejestr, bo przecież król niewiele wiedział o swoich przyszłych żonach. Dała mi welon – od tej chwili żaden mężczyzna prócz króla lub kogoś mającego królewskie przyzwolenie nie miał widzieć mojej twarzy, i zaprowadziła mnie do sali głównego królewskiego skryby, skreconego starca (zaczynałam podejrzewać, że młodych nie dopuszczano do sztuki czytania i pisania, a ten, z wyglądem zrzędy, powiedział coś nosowym głosem, czego nie zrozumiałam. Poprosiłam, żeby powtórzył.

– Spytałem czy jesteś nowicjuską – wrzasnął. Potem, powściągnąwszy się przywitał mnie i spytał czy może założyć moją fiszkę, sprawa rutynowa, po czym znowu musiałam wysłuchać historii o potrzebie rejestru dla zorganizowania administracji tak wielkiego haremu, z tylu żonami i konkubinami. Powiedziałam, że tak, że chętnie podam mu wszystkie potrzebne mu informacje. Bardzo zadowolony, rozwinął pergamin na stole (to była ta jego fiszka), wziął patyk, zanurzył go w kałamarnicy i zaczął.

– Pełne imię.

Podaliśmy mu moje imię. I pytał: data urodzenia, rodzice, imiona rodzeństwa i innych krewnych, adres do korespondencji, takie zwyczajowe pytania, a innej nieco bardziej osobliwe, jak ulubione potrawy i kolory. Chciał też wiedzieć czy umiem śpiewać, tańczyć i deklamować wiersze. Prosił mnie jeszcze, żebym opowiedziała z grubsza mój ostatni sen, a gdybym go nie pamiętała, to mogła być jakakolwiek fantazja. Odpowiadałam gdy on, siedząc naprzeciwko mnie przy stoliku, spisywał to mozolnie. Zauważyłam, że napisał z błędem słowo „śniłam”

i po chwili wahania wskazałam mu jego błąd. Popatrzył na mnie jakbym była z innej planety i spytał osłupiały:

– To umiesz czytać i pisać?

Powiedziałam, że tak i wyjaśniłam jak do tego doszło, a on zrobił długą notatkę na ten temat i zaczął spoglądać na mnie z szacunkiem, ale i ze złością, co oczywiście dostrzegłam. Niech się wścieka, pomyślałam. Wkrótce moje małżeństwo z królem zostanie dopełnione i będę mogła nasrać na głowę tego starucha.

Po skończeniu z fiską zaprowadzono mnie do kapłana, kogoś ważnego w hierarchii w Świątyni; powiedział, że mam wejść i powiedział zarządzającej haremem, by zostawiła nas samych.

– Nie chcę, by nam przeszkadzano – powiedział surowym tonem.

Obrócił się ku mnie i spytał czy wiem czemu przyprowadzono mnie przed jego oblicze. Powiedziałam, że oczekiwałam instrukcji dotyczących ceremonii, bo wyobrażałam sobie, że wkrótce miała nastąpić, choć po prawdzie nie widziałam do niej wielkich przygotowań. Popatrzył na mnie z wyrazem wyższości i odparł, że nie o to chodziło. Miał inną misję. Musiał sprawdzić czy nie mam żadnych ran, oznak nieczystości, trądu, w ogóle jakichś chorób, które nosiciela wyklinały ze społeczności. Oczywiście musiałam się rozebrać, ale nie musiałam obawiać się niczego, bo stałam w obecności świętego człowieka,

kogoś, kto już dawno wyzbył się pożądlivosti. Nie zaważałam się – nie dyskutuje się z nakazami przychodzącymi od władz – i zdjęłam ubranie. Oglądał mnie od góry do dołu. Z oczywistych przyczyn nic nie powiedział, ale wiedziałam co myślał: dobre ciało, król będzie miał uciechę.

Zbadał mnie uważnie i niczego nie znalazł. Lecz przypomniał sobie, żeby mi przykazać ściągnięcie welonu, który, choć naga, miałam na sobie, jak poleciła mi zarządzająca haremem. I wtedy wzdrygnął się, wyraźnie wzdrygnął się i nie potrafił oderwać wzroku od mojej twarzy.

W jego wzroku widniała odraza i zafascynowanie. Odraza z powodu mojej brzydoty, zafascynowanie brodawkami, tym naskórkowym kalejdoskopem, którego nigdy nie widział, a co do uszkodzeń skóry był zapewne prawdziwą encyklopedią. Zajął się badaniem brodawek, jednej po drugiej, robiąc na pergaminie notatki i rysunki. Ja sama przestałam go interesować, ważna teraz była ta mała brodawka, której forma przypominała mu nieco owada, którego kiedyś zoczył na drzewie blisko jeziora w Galilei... Mówił i pisał, pisał i mówił. W końcu, zmęczona tym, przeprosiłam go, ubrałam się i wyszłam, ku jego wielkiemu rozczarowaniu, bowiem nie dokończył swych zapisków.

Zaprowadzono mnie do haremu, przyległego do pałacu i oddzielonego odeń małym podwórkiem z palmami i szumiącymi fontannami. Tak jak i pałac, swoim przepychem harem przekraczał wszystko, co mogłam sobie wyobrazić. Wielki pawilon, bogato ozdobiony jedwabnymi tkaninami, wazami z egzotycz-

nymi roślinami, miękkimi dywanami. A dekorację uzupełniały nawet pawie, te dumne ptaki.

I rzecz jasna były tam kobiety. Zatkanło mnie gdy je ujrzałam. Jasne, wiedziałam przedtem, że Salomon miał jeden z największych na świecie haremów, ale jedna sprawa to wiedzieć, a druga widzieć na własne oczy. O Boże, co za olbrzymi babiniec tam zgromadzono. Rozrzutność kobiet, kobiety na pęczki, kobiety hurtem, kobiety do brania i rozdawania, niedorzeczność kobiet, kobiecy potop. Kobiety stojące, siedzące i leżące; w rozmowie, śmiechu i uśmiechu; kobiety zamyślane a nawet (ale tylko jedna) zapłakana. Kobiety jadły, kobiety grały na flecie, kobiety wachały kwiaty. Kobiety samotne; kobiety parami i w grupkach. Kobiety w szwadronach, kobiety w formacji bojowej, kobiety w linii, w kółku, w trójkącie (równobocznych czy byle jakim). Kobiety gadatliwe, kobiety poważne, kobiety wzburzone, kobiety spokojne. Co do urody (a musiałam dostrzec ten detal), były cudowne, bardzo ładne, dość ładne, przyjemne. Ale brzydkiej nie było ani jednej. Dokładnie ani jednej. Może ten czy tamten nos mogłam określić jako niedoskonały, te czy tamte usta źle wykrojone, ale brzydoty takiej jak moja, kompletnej i zdecydowanej, tam nie było. Biedactwo ze mnie, byłam tam w tym jedyna.

Łatwo było odróżnić prawdziwe żony od konkubin, które miały prostsze ubiory i skromniejsze miny (choć czasami nieco kpiące, ale skromność przeważała). Być może skępowane, konkubiny nie zwracały na mnie uwagi. Ale żony tak, żony wpatrywały się we mnie z uwagą. Bez wątpienia obawiały się,

że ta nowa może stać się faworytką króla. Lecz nie miałam już welonu i starczyło szybkie spojrzenie na mnie by się przekonały, że nie byłam im wrogiem. W biegu do królewskiego serca nie stałam na pole position, wręcz odwrotnie, startowałam całkiem z tyłu i w bezruchu.

Odczuwszy ulgę, kobiety zaczęły się śmiać. Patrzyły na mnie, na moją twarz i śmiały się, jakby mówiąc: skąd to się wzięło? Na początek śmieszki, prześmieszki, potem gdażące napady śmiechu, zapluwanie się drwiną, zupełny brak szacunku, a solidarności, ça va sans dire, ani trochę. Patrzcie na to coś, to nie było urodzone a wysrane. Gdybym miała słabe serce, od razu bym umarła – i takie podobne uwagi.

Nic nie mówiłam. Mogłam zareagować, więcej powiem, mogłam obić z pół tuzina tych wymizdrzonych laleczek, bo czego mi brakowało w urodzie, miałam w nadmiarze w mięśniach i w wiosce wielu poznało siłę mojego ramienia. Ale nie miałam ochoty na konfuzję. Przynajmniej nie w tamtej chwili. Więc przełknęłam wściekłość i poszłam za zarządzającą haremem, która jak potrafiła pocieszała mnie: nie przejmuj się, to są zawistne typy, umieją tylko nabijać się z koleżanek. Zaprowadziła mnie do sali, w której parę niewolnic zajęło się mną, kąpiąc mnie i perfumując i ubierając jak prawdziwą odaliskę. Gdy skończyły, zarządzająca wskazała mi wielkie lustro tam umieszczone. Zawahałam się: kolejne rozczarowanie przed tą wypolerowaną powierzchnią byłoby dla mnie nie do wytrzymania. Ale ona nalegała: chodź, zobacz jak się zmieniłaś.

Z zamkniętymi oczami stanęłam przed lustrem. Odetchnę-

łam głęboko, policzyłam do trzech – i otworzyłam oczy.

W istocie, bo była niespodzianka, i to bardzo miła. Nie ma wątpliwości, dziewczyny wykonały świetnie swoje zadanie. Tkaniny jedwabne, półprzezroczyste, podkreślały zalety mego ciała, które, jak już mówiłam, nie było z tych najgorszych; a ponadto miałam welon, gęsty welon, który ukrywał moje rysy i chronił mnie tworząc uwodzicielski nastrój. Dobre zagranie z tym welonem.

Spytały mnie co o tym myślę. Muszę powiedzieć, że traktowały mnie z należyтым szacunkiem, w końcu byłam królewską żoną. Powiedziałam, że jestem w pełni zadowolona, że w istocie efekt przekroczył moje oczekiwania.

– Doskonale – rzekła zarządzająca. – Skoro wszystko jest tak jak byś chciała, to proszę, towarzysz mi do sali tronowej.

Nadchodził ten wielki moment. Idąc za nią długimi korytarzami zbliżałam się do sali tronowej i wszystko, cały mój dotychczasowy byt, pozostawał z tyłu. Ojciec, matka, rodzina, pastuszek, kamyk (biedny kamyk), wszystko było teraz zaledwie wspomnieniem. Zaczynało się nowe życie.

Wreszcie dotarłyśmy. Solidne drzwi, pilnowane przez uzbrojonych strażników, były zamknięte.

– Musimy chwilę poczekać – powiedziała kobieta.

Po jakimś czasie, nieznośnie długim dla mnie, otworzono drzwi i pojawił się człowiek z białą brodą w wykwintnym stroju.

– Czy to ona? – zapytał sucho.

– Tak, ona – odpowiedziała zarządzająca haremem. – Właśnie przybyła.

– Przyjrzał się mi uważnie, co zdawało się być zwyczajem w tym miejscu. Oczywiście starał się wyobrazić moją twarz ukrytą pod welonem. Wkrótce zrezygnował:

– Dobrze. Możecie wejść.

Weszliśmy. Król siedział na tronie, miał na sobie koronę i królewski płaszcz.

Gdy go ujrzałam, poczułam zawroty głowy. Aż się zatoczyłam i zarządzająca musiała mnie podtrzymać, żebym nie upadła.

O Boże, co za śliczny człowiek. Nigdy nie widziałam kogoś tak pięknego. Długa twarz, otoczona czarną brodą (z paru siwymi włosami), czarne głębokie oczy, pełne usta, lekko zagięty nos – na tyle, by mu dodać szczególnego uroku. I ta pańska postawa, męski wygląd... Piękny, piękny.

Natychmiast zakochałam się w nim. Ujarzmiające, głębokie uczucie, które mi dawało pewność, że będzie rządzić moim życiem. Błogosławiona niech będzie chwila, w której postanowił mnie przywołać. Błogosławiony list, który mi wysłał. Błogosławione usta, które słowa tego listu podyktowały, błogosławiony ten człowiek, piękny człowiek. Mogłam spędzić lata patrząc na niego, w niemym uwielbieniu. Nareszcie odkryłam miłość. Pastuszek? Nie, to była próba, trening. Z nim

moje serce przygotowywało się do wielkiego skoku w miłość. A byłam teraz tak jej blisko.

Salomon nie zdał sobie sprawy, że byłam tam, bo oddawał się temu, co (jak później odkryłam) było jednym z jego ulubionych zadań, czyli rozsądzaniem: odróżnianiem słusznego i mylnego, dobra i zła, decydowaniem kto miał, a kto nie miał racji. W owej chwili stały przed nim dwie kobiety. prostytutki, natychmiast to pojęłam. Nigdy w moim życiu nie widziałam ladacznic; takich kobiet nie było w naszej wsi – a gdyby odważyły się pojawić, mój ojciec by je wygnał z wściekłością, krzyżąc wstrętne, wstrętne (a może by je zamknął, na własny użytek, w jaskini). Ale nie miałam nawet chwili wątpliwości, że te kobiety to były pracownice seksu. Ich ubiór, krzykliwy makijaż... Dziwki, bez wątpienia dziwki. I brzydkie. Nie tak brzydkie jak ja, ale bardzo brzydkie, więc można było sobie wyobrazić, że miały nędzne zarobki i niską kategorię. Co najwyżej prostytutki z jedną gwiazdką. No, przy dobrej woli z dwiema. Dokładniej, jedna gwiazdka dla wyższej z nich, dwie gwiazdki dla niższej, bo miała ładne oczy. Czyli średnio półtora gwiazdki. Ale w owej chwili nie miał znaczenia ich ranking. Ważne było, że tam, w obecności potężnego króla, mającego boski mandat, stały dwie prostytutki. I zachowywały się w pałacu z pełną swobodą. Mówiły głośno i wytykały sobie grożąco palcami. Po sporej dozie tych wrzasków zrozumiałam w końcu o co chodziło. Obie twierdziły, że były matkami oseska, które jeden ze strażników całkiem niezgrabnie trzymał w objęciach. Obie rodziły w tym samym czasie,

jeden z niemowlaków umarł i miało miejsce jakieś zamieszanie i w jego wyniku były tu teraz obie spierając się o maleństwo.

To było dla mnie bardzo dziwne. A więc król, od którego zależała administracja kraju, spędzał czas rozwiązując problemki źle prowadzących się kobiet? Ale Salomonowi (ach, jaki on był piękny) wyraźnie nie w głowie było przejmowanie się takimi obiekcjami. Wyglądało na to, że prostytutki i inne osoby ze społecznych dołów miały stały dostęp do open house, w który okresowo zamieniała się sala tronowa. Co więcej, wyraźnie cieszyło go to, w co się wdawał. Słuchał ich uważnie, zadał trzy czy cztery pytania (bez znaczenia, w moim odczuciu, ale kim ja byłam, by decydować o ich znaczeniu); potem zamilkł i medytował. I w tym momencie czułam – sędzę, że wszyscy tam to czuli – że coś się działo. Coś zmieniło się. Nastrój był gęsty, ciężki, jakby nasycony niewidzialną parą. To była jego mądrość. Wydalał z siebie mądrość wszystkimi porami, nasyczał nas swoją mądrością. To było niecodzienne odczucie, dziwne, jakby coś łaskotało. Jedna z prostytutek, ta z jedną gwiazdką, nawet zadrapała sobie udo spiczastymi paznokciami. Wszystko to przepowiadało niechybny rozwój sytuacji: miał zapaść wyrok. I Salomon oznajmił go swym niskim, niespiesznym głosem (Boże, jak ten głos mnie podniecał, moja łechtaczka wibrowała z nim unisono). W pierwszej chwili jego decyzja zabrzmiała zdumiewająco, a nawet okrutnie: skoro nie jest możliwe ustalić kto jest rzeczywiście prawdziwą matką, dziecko zostanie przecięte na dwie połowy i każda z kobiet dostanie jedną z nich. Wszyscy zadrżeli, dworzanie

spojrzeli po sobie i słychać było jak jeden z nich wymruczał do stojącego przy nim: no nie, facet odstawia twarziela, zagranica źle to odbierze. Lecz Salomon, zdecydowany, przywołał żołnierza, by wypełniono jego rozkaz. Człowiek ten zbliżył się z obnażonym mieczem. Napięcie, krańcowe napięcie, nikt się nie ruszał, wstrzymane oddechy, któryś z dworzan przykrył ręką oczy. Jedna z kobiet, ta od dwóch gwiazdek, stała nieruchoma, milcząc, jakby pogodzona z wyrokiem; ale druga zareagowała w zdumiewający sposób. Podbiegła do żołnierza, uchwyciła jego wzniesione już ramię, gotowe do ciosu, i zduszonym głosem krzyczała, jeśli masz zabić moje dziecko to wolę, żeby je całe oddano tamtej kobiecie. Wstrząsnęło to wszystkimi na sali. Salomon podniósł się z tronu.

– Stój – nakazał żołnierzowi, który zamarł, jakby go zamroziło.

Zwrócił się do krzyczącej kobiety i rzekł:

– Tyś jest prawdziwą matką, krzyk, który słyszeliśmy był krzykiem twego macierzyństwa. Dziecko jest twoje, możesz je wziąć.

Żołnierz nieco rozczarowany (wyglądało, że klęska planu podzielenia dziecka na kromki go frustrowała) wręczył jej dziecko i rozległ się aplauz: bili brawo, krzyczano, gwizdano, kompletny szal. Król, zadowolony, uśmiechał się. Miał z czego być dumny: właśnie dał konkretny, ewidentny dowód swojej mądrości. Tej mądrości, o której fama miała pójść w świat i przekształcić go w żywą legendę, króla królów.

I znajdowałam się w obecności tego króla. Oczywiście mogłabym zastanowić się czy to, co tu właśnie widziałam było rzeczywiście dowodem mądrości. A gdyby kobietę, wskazaną jako matkę, zatkało z przerażenia, jak by wyglądał dowód macierzyństwa? Co by jej wtedy pozostało prócz czekania na ten wyrok, godząc się, że żołnierz przetnie dziecko na dwa kawałki? Zresztą ten barbarzyński akt nie rozwiązałby problemu: król musiał jeszcze zdecydować która połowa miała przypaść każdej z powódek. Nawet gdyby cięcie było podłużne, nic by nie zapewniało symetrii: wątroba jest z jednej strony, śledziona z drugiej, nie wspominając już tego, że połówki mózgu nie są równe.

Ale to były zaledwie hipotezy. Pewnym jest to, że Salomon trafił w dziesiątkę i potwierdził swą famę króla potężnego i mądrego, obdarzonego – o czym w naszej i w innych wioskach mawiano – nadnaturalnymi zdolnościami: potrafił siłą woli przenieść się natychmiast w jakiegokolwiek miejsce na świecie; rozumiał mowę ptaków, a one są najsprawniejszymi i najlepiej poinformowanymi stworzeniami; a także, za pomocą swego pierścienia – pierścienia z czterema cennymi kamieniami, które dostrzegałam z mojego oddalenia – nadawał siłę i kierunek wiatrom. I przed tym królem, przed tym człowiekiem, którego piękno wręcz oślepiało, stałam ja, jego najnowsza żona. I wkrótce miałam przytulić się do jego ramion, oprzeć twarz o tę pierś, wkrótce miałam całować tę twarz, te wargi, słyszeć ten głos szepczący do mego ucha, chodź, moja ptaszyno, wejdz do gniazda miłości. Stałam i czekałam na tę decydującą

chwile, która miała podzielić me życie na dwie części, pierwszą bez znaczenia, szorstką jak skalne kamienie (no, nie mówiąc tu o jednym małym wyjątku, który zresztą był już zapomniany), początkiem życia stanowiącym zaledwie biedny i rozstrojony prolog do symfonii miłości – i na drugą, prawdziwą i świetlaną egzystencję, która miała się zacząć za ... Za ile minut, za dziesięć, pięć? Za minutę?

Salomon nadal był zajęty. To był dzień publicznych audiencji, sala tronowa była wypełniona ludźmi, na ogół skromnymi osobami. Był sprytny, czynił cotygodniowe ustępstwo na rzecz populizmu. Więc rozwiązywał stereotypowe problemy, rodzinne kłótnie, dysputy własnościowe, a ja, w napięciu, czekałam w moim kącie.

Wreszcie zakończył przyjmowanie ludzi. Widać było jego zmęczenie, a może i irytację, co by nie było dziwne, po wypełnieniu tak przeładowanego harmonogramu. Wstał z lekkim stęknieniem – nie był już przecież tak młody, może miał kłopoty z kręgosłupem, nikomu nie uchodzi na sucho całodzienne siedzenie, choćby i na wspinałym tronie – i już miał wyjść gdy dworzanin zbliżył się do niego i coś mu wyszeptał do ucha. Ze ściśniętym sercem pojęłam, że jego pierwsza reakcja wyrażała strapienie; zrezygnowane, ale strapienie.

– Przybyła? Właśnie dzisiaj, przy tym całym galimatiasie?

Westchnął.

– No niech będzie. Gdzie jest jej kartoteka?

Kartoteka? Najpierw kartoteka? Ja tu czekam, ja, jego żona, która przybyła z oddali i oczekuje go, a on najpierw ma sprawdzić kartotekę? Dla kogo innego to by było ciosem, druzgocącym ciosem; ale z olbrzymią zdolnością brzydulek do oszukiwania się, starałam się wyjaśnić sobie, że to było normalne postępowanie; siedemset żon, trzysta konkubin, miał prawo dostać jakieś wstępne informacje o najnowszej członkini swego haremu: imię, wiek, rodzice, miejsce pochodzenia, takie tam sprawy. Ale to było wyraźną wskazówką, że jego życie małżeńskie stało się monotonna rutyną. Obiecałam sobie w tej chwili, że ze mną będzie inaczej: ze mną skończy się monotonia, ze mną na nowo odkryje miłość. A niech się dowie wszystkiego o mnie, niech zapamięta zwyczajowe dane. Ale to będzie jego ostatnie ustępstwo dla świata wzorców, kodów i regulaminów. Wkrótce zostanie uniesiony huraganem mojej namiętności i jego życie przekształci się w wibrujący nieład, w radosne szaleństwo.

– Kartoteka! – wrzasnął dworzanin. – Szybko, król chce zobaczyć kartotekę tej nowej!

Zza tronu ze zdumiewającą zwinnością wyskoczył stary skryba, z którym przedtem rozmawiałam. Usłużny gnom przedstawił królowi pergamin – oto jej fiszka, mój królu – a ja, z trudem panując nad niepokojem, na szczęście ukrywanym na mojej twarzy pod welonem, czekałam stojąc, w oddaleniu z pięciu metrów od tronu.

Salomon czytał dokument ze zmarszczonym czołem. Było oczywistym, że miał kłopot z przypomnieniem sobie: przypomnieniem dlaczego tam byłam, jaki układ czy transakcja wiązała się z moją obecnością w pałacu. I nie przychodziło mu to łatwo; wydaje się, że nadmiar mądrości kompensował brakiem pamięci. Zdając sobie z tego sprawę jeden z dworzan zbliżył się i coś mu wyszeptał do ucha. Wtedy jego twarz rozjaśniła się.

– Ach, tak... Córka tego człowieka z pustyni... Tak, to prawda, zawarłem z nim przymierze. A kiedy to było? Co, już ze trzy lata temu?

Jego głos wyrażał zaskoczenie. Mieszanka irytacji i rozba-
wienia.

– I dopiero teraz przysyła mi dziewczę? Po całym tym czekaniu? Mój Boże, o wszystko można go oskarżyć, ale nie o po-
śpiech.

Spełniając swój obowiązek dworzanie wybuchnęli śmiechem. Zadowolony z efektu swojej dowcipnej uwagi, ciągle siedząc na tronie, Salomon wręczył skrybie pergamin i nadal uśmiechając się zwrócił się ku żonie, którą właśnie otrzymywał – zwrócił się do mnie.

To był decydujący moment i czułam słabość w nogach i zaczęłam trząść się i pocić, i nie zemdlałam tylko dlatego, że w gruncie rzeczy, jak sądzę, jestem bardzo silna. On niczego nie zauważył, ani też nie starał się zauważyć; to było jeszcze jedno małżeństwo, po tylu innych. Ograniczył się do zwróce-

nia na mnie pytającego spojrzenia: – To ta, moja nowa żona? Przybliź się, chcę cię lepiej widzieć.

Zebrałam całą moją energię i zdołałam zrobić jeden krok w jego kierunku.

– Choć bliżej – nastawał z rozbawieniem – nie ugryzę cię.

Zaśmiał się, zartowniś:

– To znaczy: ugryzę cię, czemu nie, ale nie teraz.

Dworzanie cieszyli się, no nie, dobry kawał, ugryzie, ale nie teraz, świetne to. Co do mnie, niczego nie słyszałam, niczego nie dostrzegałam, moje oczy były tylko dla tego pięknego, wszystko czego w tej chwili chciałam to wpaść w jego ramiona, osłabła z pożądania. Lecz obiekt pożądania, w widoczny sposób zamroczony sformalizowaniem procedury małżeńskiej, bardziej podobnej do linii montażowej niż do czegoś innego, nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdy mnie badał wzrokiem, nie wydawał się zakochanym czy narzeczoną, a nawet nie małżonkiem z wysługą lat. Miał wygląd eksperta, jakiegoś serial husband; to, co robił, to była wycena. Nie taka, oczywiście, jak hodowcy idącego na targ zwierząt, by kupić krowy czy owce; nie, był zbyt wytworny na to i było nawet w jego oczach nieco sympatii. W każdym razie ocenił mnie, oglądając od góry do dołu; wydawało się, że to co zobaczył nie rozczarowało go, niezłe ciało, musiał pomyśleć. I chciałabym, by stanęło na tym, by ograniczył swą diagnozę do badania krzywych. Lecz wnet, jakby en passant, poprosił, bym zdjęła welon.

Ach, czemu to uczynił, czemu? Czyż najmądrzejszy wśród

śmiertelnych, człowiek, który rozmawiał z ptakami, nie wiedział, że są tajemnice, których nie należy obnażać, welony, których nie trzeba zdejmować? Co by mu szkodziło włączyć mnie do swego haremu z welonem, przecież to by nawet dodało czaru i znaczenia jego kolekcji kobiet: „a tę nazywam «Tajemnicza», bo nigdy nie widziałem jej twarzy, a mimo tego kocham ją bardzo, kocham ją szalenie, kocham ją bardziej niż cokolwiek, bo prawdziwa miłość właśnie jest taka, nie liczy się z pozorami”. Niestety, uległ pospolitej pokusie: dostał towar, musiał go zbadać in totum, au grand complet. Wyzywał się swej królewskiej kondycji, by zachować się jak jakiś sklepikarz. Strasznie mnie to rozeźliło. Miałam ochotę przyłożyć mu, skoczyć na niego i dołożyć mu parę razy krzycząc: wszystko zepsułeś, zasrańcze, myślisz, że z ciebie mędrzec, ale jesteś gównem a nie mędrzec, jesteś osłem i prostakiem. Ale nie mogłam tego zrobić. On był królem a ja posłuszną żoną, jeszcze jedną posłuszną żoną. Gwałtownym ruchem ściągnęłam welon i wystawiłam na ogląd moją twarz.

Wzdrygnął się. Tak samo jak ten kapłan, który mnie przedtem badał, wzdrygnął się ze zdumienia, strachu, z wszystkiego. Nie zdołał zapanować nad wyrazem twarzy, przekazywał on wiernie co myślał, to samo, co wszyscy tam myśleli: Boże, co to jest, co to za twarz, to niemożliwe, żeby ta kobieta była wybrana do królewskiego haremu, to musi być jakaś pomyłka.

Wreszcie zapanował nad sobą. Przecież nie dochodzi się do statusu potężnego monarchy nie posiadając choć odrobiny talentów politycznych. Stał przed swym dworem i musiał za-

chować wizerunek władcy rozważnego, opanowanego, osoby ponad sprawami doczesnymi, takimi jak godna pożałowania twarz kobiety. Nie wydał żadnego okrzyku, nie wyrwała mu się żadna uwaga. Zadowolili się przywołaniem stojącego obok dworzanina. Wymienili po cichu parę uwag. Nie słyszałam ich, ale mogłam odgadnąć co mówili. On: co za absurd, jak ten człowiek ośmiela się przysłać mi to stworzenie, przecież to nie kobieta a zniewaga. A skrępowany dworzanin: no ale to jego najstarsza córka, facet spełnił to, co było ustalone.

Przez chwilę milczał, z zachmurzoną miną i zagubionym wzrokiem. Wreszcie obrócił się ku mnie. Ze zmartwionym wyglądem i nie patrząc na mnie usprawiedliwił się, że nie przyjmuje mnie w bardziej stosowny sposób, bowiem był bardzo zmęczony; ale zostaną umieszczona w haremie i za dwa czy trzy dni, co zależało od jego agendy, przywoła mnie.

– Wiedz, że jesteś tu mile widziana – recytował, starając się brzmieć przyjaźnie – i otoczona moją miłością, jak i inne moje żony, które zresztą teraz poznasz. Wiele ich jest, lecz bądź pewna: dla wszystkich jest miejsce w moim sercu. I miejsce specjalne, rzecz jasna, dla ciebie.

Czyli konwencjonalne przemówienie, które już tyle razy powtórzył, że wychodziło mu zupełnie automatycznie. Po prostu, spełniał swój obowiązek. Ani mnie nie objął, ani nie pocałował – protokół tego nie przewidywał – ale zdołał skierować ku mnie uśmiech, czy półuśmiech, taki uśmiech gościa rozdartego między odrazą i chęcią sprawienia przyjemności. No i nic dziwnego, dzielenie (żołnierzu, podziel to dziecko na pół) wydawało

się formułką, do której często uciekał się, z pewnością zawsze skutecznie. Dzielił i podbijał. Dzielił się i podbijał.

Jeden z dworzan wysunął się przed tłum i ogłosił, że zakończyła się audiencja. Wszyscy skłonili się. Król Salomon podniósł się i z prawie niedostrzegalnym pozdrowieniem wyszedł bocznymi drzwiami prowadzącymi do jego pokojów.

Zapadła na chwilę cisza. Patrzyłam na dworzan. Niektórzy byli rzeczywiście zakłopotani. Inni, wręcz odwrotnie, niezbyt ukrywali sadystyczny uśmieszek. A ja, w moim absurdalnie wytworzonym stroju, z welonem wciąż trzymanym w ręce, co tu robiłam? Na co czekałam? Wreszcie któraś dwórka zbliżyła się i powiedziała, że powinnam udać się na pokoje żon: z pewnością byłam zmęczona po długiej podróży.

Nie słyszałam tego, co mówiła. Nie ciekawiło już mnie to. Teraz patrzyłam na tron.

Jak wszystko w pałacu, ten tron był cudowny, cały ze złota i kości słoniowej. Prowadziło do niego dwanaście schodów, od dwunastu plemion Izraela, ze strzegącymi go rzeźbami lwów. Ich głowy, teraz gdy króla nie było, poruszały się powoli, z góry do dołu, z boku na bok, jakby ostrzegając przybyszów, co by się przypadkiem pojawili nieproszeni: ten tron ma właściciela, nie ośmiel się go pożądać, bo zostaniesz pożarty. Te lwy były słynne; nawet w naszej wsi mówiono o nich: lwy Salomona cię zjedzą, to była stała pogróżka matek gdy dziecko było nieposłuszne. Mówiono, że były stworami ponadnaturalnymi, zrodzonymi magią Salomona. Ale były zaledwie, jak później to

odkryłam, mechanicznymi potworami. Uruchamiał je schowany pod schodami niewolnik; poruszał tryby, które zresztą wymyślił sam Salomon. Może i nie rozmawiał z ptakami, ale miał talent do mechaniki, szczególnie do mechaniki iluzji; tak, tego mu nie brakło.

Patrzyłam na tron i rosła we mnie gorycz. I wtedy, nie panując nad nagłą wściekłością, a może rozpaczą, z rozpędu przeskoczyłam parę stopni. Lecz nim dotarłam do szczytu, schwycił mnie dworzanin i siłą ściągnął stamtąd.

– Oszalałaś, kobieto? – krzyczał rozeźlony. – Oszalałaś, żeby siadać na tronie króla?

A tego właśnie chciałam, sięść na tronie króla Salomona: dziwaczna, groteskowa i nieszkodliwa próba wzniesienia się do władzy. Nie chodziło o osadzenie mnie samej na tronie, ale mojej brzydoty. Chciałam, by jej schlebiano, hołowano, by ją wychwalano. Chciałam brzydotę rozkazującą, chciałam brzydotę osądzającą – przetnijcie je na pół – chciałam brzydotę pouczającą, chciałam brzydotę srającą zasadami. Chciałam brzydotę rządzącą tak, jak rządził Salomon. Chciałam brzydotę uznaną, fetowaną, uwielbianą. Chciałam brzydotę tak potężną, by stała się pięknem.

Lecz ten mini-zamach był zaledwie częścią mojego celu. W gruncie rzeczy chciałam Salomona, chciałam mojego męża. I skoro nie mogłam go ścisnąć i całować, chciałam przynajmniej sięść tam gdzie on siadał. Chciałam czuć resztkę ciepła, którą tam zostawił. Chciałam, by mnie przenikło delikatnym

promieniowaniem, by mnie zapłodniło, jeśli nie dosłownie to przynajmniej metaforycznie. To był Salomon, owe ciepłko; część jego aury, magicznej aury, która rozprzestrzeniała się tak daleko, że docierała do odległych brzegów; w tej aurze, w tej ognistej atmosferze chciałam na zawsze grawitować, nawet gdybym miała przez to się w niej rozpuścić. Zrzekłabym się mojej osobowości, tak, rozszczepiłabym się na cząsteczki, jeśli te cząsteczki, ożywiane ciepłem Salomona, mogłyby z nim harmonijnie wibrować.

Dworzanin, któremu były obojętne me skomplikowane aspiracje, zmusił mnie do zejścia ze schodów i dostarczył zarządzającej haremem. Bez większych ceremonii, bo wtedy wszyscy już widzieli, że nie jestem silną kandydatką na królewską ulubienicę, kobieta złapała mnie za ramię i poprowadziła, a raczej pociągnęła przez korytarze do sypialni żon. Strażnicy otworzyli drzwi.

– Tu teraz będziesz mieszkała – oznajmiła nie bez cierpkiej ironii. – Tu spędzisz resztę twoich dni.

Była to obszerna sala cała ozdobiona zasłonkami, baldachimami i wazami z kwiatami, oświetlona wielu pochodniami. Bardzo wygodne łóżka stały w rzędzie, z numerkami od jedynki do siedemset (i znowu: godna uznania organizacja). Były tam wszystkie kobiety, niektóre leżały, inne poddawały się zabiegom niewolnic, inne rozmawiały skupione w grupki. Zapadało milczenie gdy przechodziłam przez to wielkie pomieszczenie, prowadzona przez zarządzającą. Milczenie wrogie, milczenie pogardliwe, milczenie ironiczne, milczenie zakłopotane, to mil-

czenie, do którego byłam już przyzwyczajona. Piękno otwiera usta, piękno wyrywa z osób entuzjastyczne okrzyki. Brzydota zatyka.

To będzie twoje miejsce, powiedziała zarządzająca, wskazując mi łoże. Popatrzyła na mnie, jakby oczekując jakichś narzekań. Ale w owym momencie już byłam zdecydowana na przyjęcie innej strategii: miałam udawać, że wszystko biegło zgodnie z przewidywaniami i że po prostu zajmowałam miejsce przynależne mi jako nowej żonie Salomona. Więc wyraziłam uznanie dla łoża, w istocie szerokiego i wygodnego. Ale wtedy ujrzałam na marmurowej posadzce parę sandałów. Spytałam do kogo należały.

– Do kobiety, która tutaj spała – powiedziała zarządzająca obojętnym tonem. – Umarła, biedaczka.

I dodała z ironicznym uśmiechem, przez który przebijał się jej gniew, gniew kobiety dbającej o łoża lecz nie mogącej leżeć na nich:

– Tu w haremie też się umiera.

To była ostatnia kropla, apogeum gorzkich frustracji. Czemu miało mnie dotyczyć łoże zmarłej? Czemu miałam spać w miejscu, w którym inna śniła – i wiedziałam dokładnie o czym śniła: o ciele Salomona, o pocałunkach Salomona), czemu miałam dziedziczyć gwałtownie przerwane iluzje, czemu miałam współżyć ze wspomnieniem skończoności, z bolesną świadomością czasu, który tak szybko przeciekał – nie znalazłszy dostępu do uścisku Salomona? Czemu nie dali mi od razu trumny czy

urny pogrzebowej? Czemu nie zabili mnie od razu?

Zacząłam cicho łkać. Kobiety, a muszę przyznać, że okazały się delikatne, udawały, że niczego nie dostrzegały. A zarządzająca, z rękami opartymi na biodrach, patrzyła na mnie w milczeniu. Gdy wreszcie uspokoiłam się, poruszyła się jakby odchodząc, lecz zatrzymałam ją. Zatuszowała niecierpliwość i spytała czy chciałam jeszcze czegoś.

Tak, chciałam. Chciałam wiedzieć kiedy miał nastąpić ślub. Ona w zdumieniu wytrzeszczyła oczy.

– Ślub? Jaki ślub?

– Mój ślub z Salomonem – wybełkotałam. – Kiedy będzie?

Nie ukrywała rozbawienia.

– Kochana, już zostałam poślubiona. W chwili gdy skryba wypełnił pergamin twoimi danymi, małżeństwo zostało zawarte. Teraz jesteś królewską żoną.

A więc to tak: byłam mężatką. Bez ceremonii, bez bankietu, ale po ślubie. Czy tak samo było z wszystkimi tymi kobietami? Chyba nie. Niektóre, a może liczne z nich musiały mieć weselisko, a przynajmniej weselątko. Ale ja nie zasługiwałam na wesele. Brzydka córka patriarchy z dalekiej wioski nie warta była tych starań, wydatku i wysiłku.

– Począwszy od teraz – kontynuowała kobieta – twoja rutyna będzie ta sama co i wszystkich żon. Wstawać będziesz wcześniej, bo król nie lubi leniwych; będziesz się gimnastykować, by zachować ciało młode i elastyczne. Potem przyjdzie

niewolnica, by cię uczesać, ubrać i przyozdobić. Dostaniesz posiłek – twoje pożywienie będzie starannie kontrolowane – i będziesz czekała.

– Czekala na co?

Z mojego pytania przebijał niepokój, obawa, której nie umiałam czy nie chciałam zamaskować, może w nadziei, że przeniknie to do jej serca i będzie ona po trosze współdziałać moją udrękę; że mnie pocieszy mówiąc: król cię kocha, zawsze cię kochał, zawsze o tobie śnił, byłaś kobietą zjawiającą się w jego najcudowniejszych wizjach; wiedział o twoim istnieniu jeszcze przed twoim urodzeniem, w istocie jesteś wytworem jego magii, on cię przywołał do istnienia biorąc z różnych miejsc Ziemi cząstki, które skupione w łonie twojej matki dały tobie początek – on cię od zawsze przygotowywał, byś stała się wielką kobietą jego życia. Ale jeśli odgadywała jakiej odpowiedzi oczekiwałam, udawała, że nie ma o tym pojęcia; wyrozumienia czy dobroćności nie miała w sobie ani kropli. Powiedziała tylko z mieszanką niezyczliwości i znudzenia:

– Jak to, czekała na co? Też historia, przecież będziesz czekała na zawołanie króla. Teraz żyjesz dla króla i tylko dla króla. Reszta nie ma znaczenia.

Już odchodziła, ale w ostatnim, rozpaczliwym usiłowaniu jeszcze raz ją powstrzymałam.

– A kiedy on mnie przywoła?

Wzruszyła ramionami.

– A bo ja wiem? Nikt nie wie, moja droga. Król cię przywoła kiedy zechce, kiedy sobie o tobie przypomni. To może być jutro, albo w przyszłym tygodniu, albo za dziesięć lat. Wiesz ile was ma, nie? Siedemset żon, plus trzysta konkubin, plus dodatkowe przypadki... Sporo. Nawet sam król nie da rady. – Uśmiechnęła się. – Jest potężny i rozmawia z ptakami... Ale koniec końców jest tylko człowiekiem, wiesz jak to jest. Jego pożądanie nie jest nieskończone.

Znowu zbierała się z odchodzeniem, znowu ją wstrzymałam, bo tym razem pytanie było decydujące, przedstawiało najgłębszą wątpliwość jaka się we mnie zrodziła.

– A czy to możliwe – niepokój wypełniał mi piersi, niepokój nie do wytrzymania – że mnie nigdy nie wezwie?

Zastanawiała się przez parę chwil. Chwil, w których bez wątpienia rozkoszowała się moim cierpieniem. I odrzekła z prawie niedostrzegalnym, a impertynenckim uśmieszkiem.

– Hmm.. Myślę, że to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Chociaż może i to się przytrafić. No bo...

Zachowała w sobie resztę, ale wiedziałam jaki był koniec tej frazy: bo jesteś bardzo brzydka, a przeznaczenie brzydkich jest nieznane. Ale kobieta nie była głupia. Byłam żoną króla i to położenie dawało mi pewną władzę; ułamek władzy, ale jednak władzy i z władzą nie zamierzała wdać się w potyczkę. Lepiej było nie zaczynać ze mną. Jeśli, na wpół oszalała, próbowałam się wspiąć na schody do tronu, równie dobrze mogło mi przyjść do głowy rzucić się na nią. Więc postanowiła mnie uspokoić.

Skłoniła się ku mnie i szepnęła tonem udającym przychylność i solidarność:

– Nie przejmuj się, kochana, król cię przywoła.

Pożegnała się i wyszła. Wtedy podeszła jedna z niewolnic, by mnie przygotować do snu. Próbowałam zadawać jej pytania, ale potrząsnęła głową, że nie odpowie. I otworzyła usta, by ujawnić przyczynę: obcięto jej język. Z pewnością za nadmierną rozmowność, za ujawnianie tajemnic haremu. Co tu się działo nie mogło opuścić pałacu. W milczeniu dziewczyna obmyła mnie, uczesała, rozebrała mnie, pomogła nałożyć koszulę nocną i położyć się, po czym odeszła. Zgaszono pochodnie i pomieszczenie ogarnęła zupełna ciemność.

Choć znużona, nie mogłam zasnąć. Przeszkadzały mi szepty i chichot i stłumione słowa, rozmowy kobiet. Siedziały na łóżkach i oceniały, wymieniały opinie. O czym? Jak to o czym. A o czym miały mówić jak nie o sensacji dnia, o przybyciu nowej? Brzydula była obiektem wszystkich komentarzy, ironicznych a nawet agresywnych: Boże, musiało źle się wieść królowi jeśli przyjmował takie kobiety, kto to widział, taka to obniża poziom haremu, a pomyśleć, że to już był najlepszy zestaw kobiet na Bliskim Wschodzie.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Ale nadszedł świt i z oddali usłyszałam czyjś śpiew, jakaś wieśniaczka szła doić krowy; jej śpiew był tak prosty i melodyjny, że wyzwolił z moich oczu szczere łzy. Płakałam długo z głową wtuloną w po-

duszki i wtedy poczułam się lepiej, gotowa z rezygnacją stawić czoło mojemu przeznaczeniu.

Jak powiedziała zarządzająca, niewiele było w haremie do robienia. Mogłyśmy jeść, mogłyśmy spać, mogłyśmy kąpać się, mogłyśmy spacerować po ogrodzie, pięknym ogrodzie z mnóstwem kwiatów i szumiących źródeł; no tak, mogłyśmy rozmawiać, ale ze mną nikt nie rozmawiał, kobiety nadal patrzyły w dziwny sposób. I tak minął pierwszy dzień. Król nie przywołał mnie.

Następnego dnia też nie przywołał mnie. Ani trzeciego dnia, ani czwartego. Zaczęłam się niepokoić – a nawet irytować. Co to za małżeństwo, pytałam się. Bo, koniec końców, to przecież było małżeństwo. Małżeństwo bez ślubu, małżeństwo pro forma, małżeństwo, które przedstawiało zaledwie przyjęcie do królewskiego konsorcjum żon, ale w każdym razie małżeństwo. Nie domagałam się niczego szczególnego chcąc, by król, mój małżonek, wypełnił swe małżeńskie obowiązki. Jasne, że oczekiwałam czegoś więcej niż wypełnienia obowiązku; liczyłam na co najmniej znające się na rzeczy zachowania w łóżku; oczekiwałam, że przeżyję momenty zachwyty, magii, oczekiwanie to pomnażała moja naiwność i brak doświadczenia. Cóż ja wiedziałam o seksie? Nic. W tej dziedzinie cała moja przeszłość sprowadzała się do fantazji. Co do praktyki, to tylko kombinowanie z kamykiem, który zresztą teraz wspominałam z pewną tęsknotą. Nasze życie seksualne, moje i kamyka, było na tyle zadowalające na ile to było możliwe. A że była to

skała wulkaniczna, kto wie czy w tworzącej ją lawie nie było malutkich skamielin ssaka czy płaza, czy choćby owadów, pochłoniętych przez wybuch w chwili gdy przygotowywały się do aktu rozmnażania, i ostatnia żądza owego życia gwałtownie urwanego w jakiś sposób zachowała się w minerałach jako źródło nikłej ale stałej lubieżnej energii; i ta energia, uruchomiona i powiększona rytmicznymi manewrami, rozpętywała nagłe i wybuchowe orgazmy, które do tej pory stanowiły moje jedyne, ale niezapomniane, doświadczenie w dziedzinie seksu. Salomon, piękny Salomon, postawny Salomon, na pewno poradziłby sobie lepiej niż enigmatyczny kamień. Gdy mówiono o jego mądrości, rozumiałam przez to zupełną mądrość, ogarniającą całą wiedzę i całą życiową praktykę. To znaczy, dla mnie w kwestii seksu miał on ukończony kurs ze specjalizacją, magisterium i doktoratem. Musiał być jednym z tych, co byli wprowadzeni w magiczną sztukę miłości, nie tylko dzięki ogromnej praktyce (siedemset żon, trzysta konkubin, to nie byle co), ale też dzięki otrzymywanemu z pewnością wsparciu – bo i po co by rozmawiał z ptakami i niezmordowanymi podróżnikami, jeśli nie właśnie po to? Przylatywała jaskółka i mówiła mu: Salomonie, kochany, nawet nie wyobrażasz sobie jakie pozycje wynaleźli na Wschodzie, musimy o tym porozmawiać. Zjawiał się kruk i szeptał: Salomonie, znam czarnoksiężnika, który robi zupełnie niesamowity napój miłosny, ostatni krzyk w tej dziedzinie. Inaczej mówiąc, wyobrażałam go sobie nie tylko jako króla Izraela, ale głównie jako króla alkowy, ogiera przelatującego świat znany i może nawet nieznan. Nie mogłam doczekać się chwili gdy miałam dzielić z nim łóżko.

Nie byłam osamotniona w tym namiętym oczekiwaniu. Współdzieliłam je, niechętnie, z wszystkimi pozostałymi kobietami. W tym haremie pożądanie wisiało w powietrzu, gęste, prawie namacalne. Widziało się je w zmarszczonych czołach, w półotwartych ustach, w różnych grymasach. I słyszało się (szczególnie nocą) w jękach i westchnieniach. I odczuwało nawet węchem: chroniczny nieprzyjemny zapach z ust przenikał powietrze. Żony starały się okiełznać ten niepokój na różne sposoby. Niektóre śpiewały chórem, inne tańczyły, a jeszcze inne próbowały ćwiczeń fizycznych. Ale czasami niepokój wyładowywał się w dramatyczny sposób. Kobiety wstawały w środku nocy krzycząc, zaczynały biegać jak szalone między łóżkami; musiano je zatrzymywać a nawet przywiązywać. Nie mówiąc o bójkach! Nierzadko się szarpały, tocząc po podłodze, bijąc i gryząc jedna drugą, krzycząc z wściekłości.

Ale czy tych kobiet nie przywoływano? Ależ tak. Znieznacka, mogło to być po północy, to często było po północy, przychodziła zarządzająca haremem, kierowała się ku którejś z nich, szeptała jej do ucha parę słów czy wzywała zwykłym gestem. No i załatwione: po stosownym przygotowaniu (były służki i makijażystki na stałym dyżurze), wybranka oddalała się promieniując uśmiechem i rozsyłając zwycięskie zerknięcia na prawo i lewo. Ale zostawało wielkie pytanie, jak została wybrana, dlaczego to ją wybrano?

Nie było określonej odpowiedzi na takie dociekania. Brak było nie tylko skali żon (i konkubin), w ogóle nie wiadano co kierowało królem, by wybrał tę czy tamtą kobietę. Jego

zamysły w tej kwestii zdawały się tak tajemnicze jak samego Jehowy. I kto wie czy nie to było jego zamiarem, będąc nieprzeniknionym stać się tak potężnym jak bóstwo. Ale on nie był Bogiem. Jego życzenia nie wiązały się z boską wszechwiedzą i wszechmocą; od stóp do głowy był zaledwie mężczyzną; królem, mędrcem, ale mężczyzną. Opierając się na tym rozumowaniu i rozważywszy to wszechstronnie (a czasu na myślenie jak raz mi nie brakowało) ustaliłam listę możliwych kryteriów selekcji:

a) cechy fizyczne: „dzisiaj chcę brunetkę ani wysoką, ani zbyt niską, z dużymi piersiami i szerokimi biodrami...”;

b) cechy psychologiczne: „Chciałbym jakąś introwertyczkę. Ale nie przygnębioną, tylko powściągliwą. Z tych, co długo myślą a potem ukrywają w sercu swe tajemnice...”;

c) czynniki polityczne: „Moje przymierze z tym królewiatkiem sypie się. Przyprowadźcie mi jego córę. Zaspokoję ją, by uczyć jej ojca...”;

d) upodobania artystyczne: „Przyprowadźcie mi tę, która pięknie śpiewa...”;

e) przegląd regionów: „Chcę jakąś z Południa. Od dawna już tam nie zabawiłem...”;

f) wybór losowy: „A wejdźcie tam i przyprowadźcie mi pierwszą napotkaną”.

Oszczędzę sobie mówienia, że nie miałam z kim przedyskutować tych kryteriów, a szczególnie z królem. Ale wyobraźmy

sobie, że przywołuje mnie i pyta, ty, przybyła tu niedawno, co myślisz o sposobie, w jaki wybieram sobie kobiety, więc gdyby to się zdarzyło, miałabym okazję do wygłoszenia błyskotliwego referatu na ten temat. I byłby tylko jeden wynik: widząc ten pokaz inteligencji, kultury, a nawet mądrości, wykrzyknąłby on, nie trzeba mi więcej żadnych kryteriów, pieprzyć kryteria, właśnie odszukałem mą ukochaną, i to kobietę mojej postury, to ta będzie moją wieczną towarzyszką. Sen, rojenie? Oczywiście. Ale co mogłam robić jak nie śnić i roić.

Kobiety robiły co się dało, by je zawołano. Większość stawała na wygląd, stale i pilnie wypracowywany i naczelną wskazówką było „zrobić się na bóstwo”. Niewolnice biegały z kąta w kąt z ręcznikami, miednicami, grzebieniami, lustrami, flakonikami perfum i kremami. Kobiety kąpały się, czesały się, robiły makijaże i perfumowały się, zanurzone we wrzawie, uczesz tu u góry, dodaj tu karminu, ściągaj stąd ten gówniany krem, wyglądam strasznie, strasznie, strasznie. Strasznie, strasznie, strasznie? Tak mówiły? No: strasznie, strasznie, strasznie. Ale to były figury retoryczne, przesada wywodząca się z jakiejś drobnej, nieistotnej niedoskonałości. Bo straszna to byłam tylko ja. I mimo tego, że i ja robiłam makijaż i się perfumowałam. A co miałam robić? Siedzieć i sycić się moją brzydota? Nie. Starłam się. Choćby szło o zabijanie czasu, starałam się zostać piękną. Starłam się, przy pomocy cichej i zrezygnowanej niemej niewolnicy. Bez wielkich wyników (biedna dziewczyna tonęła we łzach widząc nikłe rezultaty naszych przedsięwzięć z upiększaniem), bo moja gęba załamaby

nawet najbardziej wykwalifikowane kosmetyczki. Ale mimo wszystko, starałam się. Przez cały czas i z pełnym oddaniem, bo taka była zasada: bądź gotowa na zawołanie króla. To zawołanie było nakazem: wezwana kobieta miała iść i już. Nawet choroba nie była wymówką, jak raz to widziałam: wezwał kobietę leżącą w łóżku z gorączką. Zapłakała się, zrozpaczona: od dawna pragnęła nadejścia tej chwili a teraz, gdy padło na nią, była chora, nie mogąc wypełnić życzenia króla i w dodatku przygnębiona i zapuchnięta. Ale wyjaśnienia nic nie dały; przyszedł haremowy lekarz, zbadał biedaczkę, dał jej jakieś lekarstwo i oświadczył, że była w dobrym stanie. Zapewne dlatego, że były tam szczególne okoliczności. Jej ojciec, daleki władca, postawił się królowi i ten chciał pokazać, dosłownie, kto tu był górą.

Moja kolej nie nadchodziła. Dni mijały, jedno po drugim, a moja kolej nie nadchodziła.

Dla zabicia czasu zaczęłam badania nad pałacem – to znaczy dozwolonych miejsc, a oprócz haremu i jego ogrodu były jeszcze dwa. Jedno to pawilon synów i córek: były tam setki młodych. Do pewnego wieku matka mogła dbać o dziecko; potem wracała do swojej roli kobiety do dyspozycji o każdej porze, a zadanie wychowywania chłopców i dziewcząt przejmowali niewolnicy i wychowawcy. Był to olbrzymi pawilon, był nawet większy niż harem, ale surowy, bez żadnej dekoracji. Smutne otoczenie. I smutne były utkwione we mnie oczy.

Cierpiały bardziej niż ja, te dzieciaki. Ja przynajmniej miałam obecność ojca. Był bałamutem, ale był. A co miały te biedactwa z tego, że były dziećmi króla potężnego i mądrego? Nic. Król rozmawiał z ptakami, ale nie z nimi. To prawda, że nie rozmawiał, bo nie miał czasu, rządy go pochłaniało i wyczerpywało; ale przez to one czuły się sierotami. Sierotami, które nie były ślepe. Pewnego razu chciałam pogłaskać policzek chłopczyka a on nie pozwolił: nie dotykaj mnie, wiedźmo, nie dotykaj mnie. Wyszłam stamtąd wściekła – i smutna: nawet nieszczęśliwi byli silniejsi niż brzydki.

Równie przygnębiająca była wizyta w pawilonie znanym jako Ustronie. Umieszczano tam stare żony i konkubiny – „stara” znaczyło: ta, która doszła do menopauzy (przynajmniej tu było jakieś kryterium). Było ich w Ustroniu niewiele; od pewnej niewolnicy dowiedziałam się, że nie przeżywały długo po przyjeździe tam, codziennie którejś sprawiano pochówek. Tyle, że żadna z nich nie była żoną czy konkubiną Salomona, mężczyzny stosunkowo młodego; nie, ta grupa była spadkiem po jego ojcu, królu Dawidzie, i obiecał mu dbać o nie, co w istocie czynił z pewnym poświęceniem. Nigdy nie pojawiał się w haremie, ale w Ustroniu bywał regularnie. Naturalnie, nie po to, żeby sobie pobzykać, to by miało nieuchronne edypowe konotacje, ale na pogawędki, żeby posłuchać historyjek o rodzicielu, który – tego losu i on nie uniknął – był mu daleką postacią, zawsze zajętą sprawami królestwa. A starszki lubiły te odwiedziny, skłaniały je do miłych wspomnień: „Twój ojciec był wielkim jebaką, mój królu. Pewnego razu

zakochał się w żonie swego wojownika, Hetyty Uriasza...” – i król Salomon musiał wysłuchiwać tysięczny raz historię Dawida i Batszeby.

O ile w haremie klimatem emocjonalnym było oczekiwanie, o tyle w Ustroniu przeważała melancholia. Żyjemy wspomnieniami, szeptały staruszki, a te wspomnienia nie zawsze są przyjemne. Każda z nich przeszła przynajmniej raz przez królewskie łożo. Dla jednej było to chlubne zdarzenie, dla innej radosne; dla trzeciej – chlubne i radosne naraz. Niektóre, co prawda nieliczne, wspominały tę chwilę z wściekłością, ze smutkiem, z rozczarowaniem; był przypadek kobiety, którą wszyscy tam znali jako Szurnięta Dziewica. To był dokładnie jej problem, że nigdy nie była rozprawiczona. Przyczyny tego nie były jasne, szczególnie że na starość mówiła tak, że to się nie trzymało kupy – i stąd poszedł jej przydomek. Ale gdy schodziła na ten temat, zawsze się skarżyła: no i tak to mam, z tą błoną co mi już skamieniała – i kto mi niby w tym coś pomoże?

Kamienna błona, mówiąc o kamieniu (gdzie on był teraz, mój kamyk?): niezrozumiane aspiracje, nieujawnione emocje, niespełnione pożądanja. Czy i mnie był przeznaczony ten sam los, dziewictwa, powiązanego czy też nie z szaleństwem? Ta starucha była stara, ale nie była tak brzydka jak ja. A więc czemu nigdy nie miała stosunku? Moja diagnoza, oparta na tym, co zasłyszałam o niej, brzmiała: była oziębła. Wydaje się, że Dawid coś tam próbował, ale gwałtownie go odrzuciła, nawet prawiąc mu kazania – a Dawid był na to bardzo uczulony, po tym jak prorok Natan opieprzył go za pożądanje (i to

skuteczne) żony bliźniego swego.

Ale moja historia była inna. Nie byłam wcale oziębła. Całe szczęście: brak podniecenia, połączony z brakiem urody, sprowadziłby moje szanse u Salomona do zera, w tym klimacie utajonej, ale zacieklej konkurencji. Szczęście czy nieszczęście? Czy właśnie mając tak małe szanse zbliżenia z królem, oziębłość by nie była dla mnie dobrym rozwiązaniem, mniejszym złem, dzięki któremu uniknęłabym bolesnego konfliktu?

Nieistotne. Rzecz w tym, że byłam rozkochana w Salomonie, mogłam myśleć tylko o nim, wszystko, czego chciałam to położyć się z nim. Obawa, że tego nie zaznam, że umrę bez całowania go, pieszczenia jego twarzy, nie dotknę jego ciała, oraz sama nie poczuję dotyku jego rąk (on by mnie wprowadził w vibracje jak melodyjną harfę), ta perspektywa mnie zamartwiała, doprowadzała mnie do rozpacz. Lecz nie oddawałam się jej, musiałam walczyć do końca. Nie byłam kobietą, która mogła przyjąć z rezygnacją taki melancholijny los.

Postanowiłam podjąć inicjatywę: nie mogłam żyć zdana na przypadek, który z pewnością nie byłby mi przychylny. Skoro Mahomet nie przychodził do góry, góra (ze swoją lubieżną jaskinią) pójdzie do Salomona.

Dla tego celu potrzebowałam pomocy, wsparcia sprawniejszego niż to, którym służyłaby niema niewolnica, oddana lecz nieprzydatna. Musiałam dotrzeć do króla. Alternatywą było użycie nieformalnych kanałów komunikacji; kto wie czy przyjazny dworzanin nie zaszeptałby do ucha króla, słuchaj no Sa-

lomonie, czas byłby zlitować się nad brzydula, biedactwo nie sypia po nocach myśląc o tobie, uczyn ten akt miłosierdzia, Jehowa ci go odpłaci, to się wliczy paru punktami do twego cv na Sądzie Ostatecznym.

Ale były tu dwie trudności. Po pierwsze, nie znałam żadnego dworzanina, a nawet gdybym znała, wątpię, czy byłby skłonny wstawić się za mną; spojrzenia dworzan rzucały na mnie gdy pojawiłam się w pałacu wyrażały więcej drwiny niż sympatii. A po drugie, nie ubiegałam się o przysługi, a o moje prawa. Chciałam je odzyskać a nie wypraszać. Ale i do tego nie zdołałabym dotrzeć sama. Kto mógł mi w tym pomóc? Nagle przyszła mi na myśl odpowiedź: kobiety z haremu.

Z pozoru, idea absurdalna. Jeśli byłyśmy rywalkami, a tak się to bez wątpienia miało, dlaczego miałyby zaangażować się w kampanię na moją rzecz? I nawet gdyby zgodziły się, co to by była za kampania?

Myślałam o tym wiele spacerując po ogrodach. Tak nawiasem, to myślenie nie było dobrze widziane przez zarządzającą harem, która irytowała się za każdym razem gdy widziała mnie snującą się po alejkach z pochyloną głową. Za dużo myślisz, mówiła mi, dlatego jesteś taka brzydka, bo te myśli, które ci przychodzą do głowy marszczą ci czoło i usta, zaciskają oczy i twoja twarz ma coraz więcej marszczek; rozluźnij się, rozerwij się, zajmij się czymś niemądrym ale przyjemnym i zobaczysz, że będziesz lepiej wyglądała, choćby troszkę, na tyle przynajmniej, żeby nie wystraszyć znowu króla.

Ale nie mogłam zaprzestać myśleć i knułam mój plan. A był to plan zmobilizowania kobiet. Po co, żeby pracowały dla mnie? Żeby mi pomogły dotrzeć do łoża Salomona? Tak, ale nie tylko to. Znienacka, chciałam więcej. Chciałam solidarności, prawdziwej solidarności uciśnionych. I liczyłam, że dotrę do tego dzieląc z nimi tak szczerze i otwarcie jak tylko możliwe, moje niepokoje. Chciałam pokazać im, że moje dziewictwo było po części i ich dziewictwem (dowodząc, że nawet rozprawiczone pozostawały dziewicami psychologicznie i społecznie), że przez usunięcie mnie na margines one także były tam usunięte, że moja brzydota była także ich brzydota – jeśli nie brzydota zewnętrzną, to przynajmniej wewnętrzną, brzydota smutku, opuszczenia i tak dalej. Nie musiałyśmy konkurować; wręcz przeciwnie, tylko unia mogła nas wzmocnić, dać sens naszemu życiu tu, w haremie.

Jak dojść do tego? Miałam tu pewne plany. Zorganizowałybyśmy grupy dyskusyjne o sytuacji kobiet w haremie, a w każdej grupie by była koordynatorka oraz referentka; zrobiłybyśmy zgromadzenia plenarne; i na mocy rezolucji zgromadzenia, ja – jedyna piśmienna – napisałabym Kartę Haremu, natchniony dokument protestujący przeciw naszym warunkom życia; być może obiegłby tajnie świat, rozbudzając we wszystkich haremach świadomość uwięzionych w nich kobiet. Powstańcie, ofiary seksu!, brzmiałby krzyk buntu odbijający się echem z Północy na Południe, ze Wschodu na Zachód, docierając do uszu wszelkich władz. Końcowym celem ruchu byłoby nie tyle zniesienie instytucji haremu, bowiem wiele kobiet nie

potrafiłoby żyć na wolności, ale przynajmniej ustalenie listy praw. Na szczycie listy ustawiłabym minimalną ilość bzyknięć, którą ustalono by naukowo: po przeprowadzeniu studiów dokonań seksualnych królów i sułtanów, obliczono by średnią i służyłaby ona za parametr. Inny szczegół: zgodnie z wymogami demokratycznego życia seksualnego, każda kobieta miałaby prawo do tej samej liczby nocy w królewskim łożu. Nie mogłyby być wysuwane argumenty typu: mój ojciec jest potężnym monarchą, więc zasługuję na więcej. Mam więcej urody, jestem bardziej podniecona, nic z tego nie mogłoby być przyjęte. Ale byłby jakiś margines na negocjacje. Gdyby któraś kobieta chciała zrzec się na rok stosunków, mogłaby. Jeśli któraś kobieta wolała inną kobietę zamiast króla – w porządku. Dostawałyby one kredyty seksualne, które mogłyby użyć w innym czasie albo zamienić na inne formy gratyfikacji. Dziesięć nie użytych jebanek dawałoby prawo do podróży turystycznej po Morzu Śródziemnym, na wygodnym statku, z wszystkimi kosztami opłaconymi. Jeśli król oszczędzał seksualną energię, było słuszne, by wynagrodził te, którym to zawdzięczał.

No więc, piękny projekt, coś mogącego ustalić nowy paradygmat w relacjach między mężczyznami i kobietami, przynajmniej w zakresie haremu. Ale czy byłam szczerą tak go formułując czy też chciałam samą siebie przekonać, że byłam hojna, że miałam szeroką wizję społeczeństwa i świata, że byłam zdolna rozwinąć na wietrze sztandar równości i sprawiedliwości? Na to pytanie nie miałam odpowiedzi. Może ów ruch był zaledwie maską mego egoizmu. No i co z tego? Że

byłam wyrachowana? Dobrze, byłam wyrachowana. Świat, tłumaczyłam sobie, należy do tych co się ścigają, kto biegnie wolniej, odpada, a ja nie będę czekała tu aż ten król zechce łaskawie zwrócić na mnie uwagę. Czy z idealizmu, czy z innych przyczyn, musiałam wdać się w awanturę – rzecz jasna poczekawszy na stosowny moment psychologiczny.

A nadszedł on szybciej niż się spodziewałam. Minęły dwa tygodnie jak król nie przyzywał żadnej z kobiet, a to było rzadkością. Harem obrósł niepokojem. Uprowadzając rozejście się jakichś plotek, rozpuściłam – przy pomocy niewolnic, a nawet ta niema rozgłaszała to wydatnie; miała wyrazistą mimikę – moją własną wersję: król ogłosił na dworze, że znudził się kobietami z haremu, niekompetentnymi i z ograniczonym repertuarem seksualnym. I zamierza utworzyć nowy harem, w jakimś oddalonym miejscu, na przykład w pewnym rajku podatkowym, co by mu ułatwiło przelewy pieniężne.

Ku mojej satysfakcji, historia chwyciła. Cały harem był na wojennej stopie. Co za absurd, protestowały kobiety, że facet opowiada takie rzeczy, co on myśli, że kim jest, nawet król nie może nas tak traktować, staramy się, upiększamy się, wysilamy się, a facet tam siedzi i kpi sobie, mając nas za nic i opowiada kłamstwa tym jego dworskim ciotom.

To znaczy: moja wiadomość rozprzestrzeniała się jak ogień na suchym stepie i teraz płomienie protestu wzbijały się wysoko i zwycięsko. Wykorzystałam ten moment i zasugerowałam zebranie. Te kobiety, z którymi na początek rozmawiałam

o tym przelewały się: czy to nie byłby bunt? Wyjaśniłam, że nie: chodziło o spokojną, pokojową manifestację, nie miałyśmy powodu do obaw.

Zgromadziłyśmy się tego samego popołudnia. Frekwencja była wysoka, mniej-więcej osiemdziesiąt procent żon i pięćdziesiąt procent konkubin (te ostatnie, mając marnej jakości umowy o pracę, bały się podnosić głos). Wystarczyło mi zdrowego rozsądku, by nie chcieć przewodniczyć zebraniu; owszem, zamierzałam zabrać głos, ale we właściwym momencie. Rozwijały się debaty i wysuwano propozycje, nie mówiąc już o kwestiach porządkowych, ale nie pojawiało się nic konkretnego. No i nadeszła chwila gdy wydawało się, że te biedaczki straciły orientację: patrzyły na siebie zagubione i nie wiedziały co zrobić ani co mówić. Teraz ja, postanowiłam. Szybka jak górską koza, wspierałam się na obudowę malowniczej i szemrzącej fontanny w centrum haremu i rytmicznymi frazami (o Boże, byłam naprawdę natchniona, nie ma niczego lepszego jak tłumione od dawna pożądanie, by podsyć elokwencję) wezwałam je, byśmy powiedziały „basta” tej niegodziwości.

– Dosyć tego, byśmy były traktowane jako obiekty seksualne! Dosyć pokory! Dosyć opresji!

Odetchnęłam głęboko i rzuciłam hasło przewodnie:

– Niech żyje pełna równość praw seksualnych! Począwszy od teraz król ma przywołać każdą z nas!

Zabrzmiały oklaski. I wtedy – podjęłam ryzyko, ale było one dobrze przemyślane – wrzuciłam moją kartę:

– I ja będę pierwsza.

Zapanowało milczenie. Napięte milczenie. Teraz widziałam przed sobą, na twarzach, podejrzenie zamiast entuzjazmu; nieufność zamiast rewolucyjnego zapału. No i gdzieś z tyłu usłyszałam pytanie, zadane przez szczupłą ślicznotkę, o którym wiedziałam, że musi w pewnej chwili paść.

– Ty? A dlaczego ty?

Ale miałam gotową odpowiedź.

– Dlatego – powiedziałam – że jestem brzydka. Jeśli król mnie przyjmie, to nie ma żadnej wymówki, żeby nie przyjąć którejkolwiek z was.

Zmilkły znowu; wiele z nich – nie wszystkie były bystre – starały się zrozumieć mój argument. Ale pewna szatynka z rozpalonym wzrokiem przyszła mi z pomocą.

– Dokładnie! Brzydula to sprawdzian! Niech król przyjmie brzydulę!

Znienacka ta idea zachwyciła kobiety. Klaszcząc krzyczały chórem:

– Brzydula! Brzydula! Niech prześpi się z brzydulą! Brzydula! Brzydula! Niech prześpi się z brzydulą!

Brzydula? Nie. Nie byłam brzydulą. Nie w tej chwili. W tej wspaniałej, doniosłej chwili, w tej błogosławionej chwili, zdołałam na ułamek sekundy ujrzeć siebie samą jakbym była inną osobą. I widziałam kobietę stojącą na postumencie, ze wzniesioną pięścią, z rozwianymi włosami, a twarz – piękna twarz,

tak, piękna, bardzo piękna, odmiennym, ale niekwestionowanym pięknem – rozświetlona twarz... Ach, gdyby ta chwila się uwieczniła, gdyby to piękno utrzymało się na zawsze... Mogliby mnie nazywać brzydulą, ale używaliby tego zwrotu pieszczotliwie. Kochana brzydula, uwielbiana brzydula, odważna brzydula, szczodrobliva brzydula. Piękna brzydula.

Ekstaza nie trwała długo. Za chwilę pojawiła się w haremie zarządzająca, wściekła, w towarzystwie sług i dwóch żołnierzy.

– Co to za wrzaski, wasza mać? Myślicie, że gdzie jesteście, głupie kurwy, Wydaje się wam, że harem to burdel, zasrane poganki?

W powszechnym popłochu, pomimo moich krzyków – nie dajcie się, przyjaciółki, zewrzyjmy ramiona, nie mogą nas zwyciężyć – rozpierchły się na wszystkie strony. I w końcu zostałam sama, na tej obudowie.

– Złaż stamtąd – nakazała baba.

– Nie zejść. – Blefowałam, ale było to konieczne; stawką była ta odrobina, którą już zdobyłam. Gdyby chcieli użyć siły, to niech używają: słuch o tym nieuchronnie dotarłby do Salomona i wyszłoby to nawet na moją korzyść. Oczywiście o ile zdjeliby mnie w całości, bo z żołnierzami to nigdy nie wiadomo.

– Powiedziałam, że masz zejść – powtórzyła ona, ale już mniej pewnym głosem.

– Nie zejść. Będziesz musiała ściągnąć mnie siłą, ale wiedz,

że nie będzie lekko, rozumiesz? Nie będzie lekko. Ściągniesz mnie martwą.

Groźba zabrzmiała poważnie, bo zawahała się. Zabić żonę Salomona, choćby i brzydką, choćby i zbuntowaną, mogło okazać się grubym błędem. Zmieniła śpiewkę:

– Kochana, zostaw te wygłupy. Zejdź stamtąd i zapomnimy o wszystkim.

– To ty przestań się wygłupiać. Zejdę stąd tylko do królewskiego łóża. Dopóki on nie wypełni ze mną obowiązków małżeńskich, nie ma o czym mówić.

Teraz zarządzająca była zupełnie przerażona. W pałacu bawiła w owej chwili ważna delegacja zagraniczna. Co by się stało gdyby przyszło im do głowy, żeby poprosić o pokazanie haremu? Co by pomyśleli widząc kobietę z twarzą szalonej, nieruchomą na obudowie fontanny, z brzydotą podkreśloną groźną miną? To by bardzo zaszkodziło wizerunkowi królestwa, o który Salomon bardzo dbał. Musiano by mnie ściągnąć jak najszybciej. A że pokojowo to by jej się nie udało, musiałyby donieść o kłopotach królowi. Wstyd, bo w końcu jako zarządzająca powinna dbać właśnie o to, żeby haremowe konflikty nie docierały do tronu. Ale inne wyjście bez wątplenia byłoby jeszcze gorsze, bo w tym stanie rzeczy już by przypuszczalnie poinformowano Salomona o tym co się działo.

– No dobrze – westchnęła – porozmawiam z królem. Ale zrób mi łaskę i zejdź stamtąd.

– Mowy nie ma. Idź do niego, porozmawiaj z nim i wróć tu. Zależnie od tego, co powie, zejść. Albo nie.

Spojrzała na mnie z wściekłością – ta sztuka, nie dość, że brzydka, to jeszcze jest uparta jak muł – ale poszła. I stałam tam jak na straży, a kobiety patrzyły teraz na mnie z daleka w bojaźliwym oczekiwaniu.

Po dwóch godzinach zarządzająca wróciła z pojedynczym uśmiechem.

– Możesz zejść. Król przyjmie cię tej nocy.

Wyznam, że moje nogi się trzęsły. Wygrałam, uzyskałam to, czego chciałam: król miał mnie przyjąć, w końcu król miał mnie przyjąć. Ale ta myśl nie przyniosła mi ani radości, ani nawet podniecenia. Wręcz odwrotnie, poczułam się wystraszona, w tym momencie byłam zaledwie brzydką dziewczyną, bardzo brzydką, nieśmiałą dziewczyną, która miała być rozprawiona... och, Boże. Poczułam zawroty głowy i upadłabym gdyby sama zarządzająca nie podtrzymała mnie i pomogła zejść.

– Spokojnie, dziewczyno, spokojnie. Nic takiego się nie stanie. Wszystko skończy się dobrze, zobaczysz. Będiesz na zawsze szczęśliwa.

Nieco ironii, którą użyła, by się zemścić.

– Teraz mamy wiele rzeczy do zrobienia: muszę cię wykąpać, nałożyć makijaż. Wtedy król...

Nie dokończyła zdania, ale wiedziałam co miało przyjść po

tym: wtedy król nie będzie myślał, że jesteś taka brzydka. Od tego poczułam jak wraca we mnie fala buntu. Uwolniłam się z jej rąk szarpnięciem.

– Zostaw mnie. Nie chcę ani kąpać się ani malować. Pójdę tak jak stoję, taka, jaka jestem.

– Ale...

– Nie ma ale. Brzydka czy nie, król będzie musiał mnie zaakceptować. Jak nie, to wracam na obudowę i znowu będę wrzeszczała.

– Niech ci będzie, niech ci będzie, idź tak, jak stoisz – powiedziała ze źle ukrywaną wściekłością. – Ale potem nie mów, że cię nie ostrzegłam.

I poszła prychnając.

Brakowało paru godzin do nadejścia nocy. Nie zamierzałam kłaść się, ale ze zmęczenia przysiadłam przy fontannie. Słońce zakończyło swój przemarsz przez pustynię Judei i powoli zniknęło za horyzontem. Delikatne i przygaszone światło zmierzchu wypełniło harem. Parę kobiet zaczęło deklamować w nieznanym mi dialekcie nostalgiczną melopeję. Znużona przebiegiem zdarzeń usnęłam. I śniłam; śniło mi się, że znowu byłam w mojej wiosce, że byłam dzieckiem i że mój ojciec wyciągał do mnie ramiona i uśmiechnięty mówił: chodź, moja śliczna, chodź. I biegłam ku niemu, miałam go objąć, ale w tym momencie ktoś potrząsnął mną energicznie, a nawet brutalnie; to była zarządzająca.

– Czas już. Idziemy.

Obudzona tak grubiańsko wstałam, czując w głowie rozgardiasz. Kobieta zlustrowała mnie niechętnie.

– Okropnie wyglądasz, kochana. Zupełna rozpacz. Dużo gorzej niż zazwyczaj. Zobacz się zresztą sama.

Kazała przynieść lustro. Dobre, gładkie, tak, że nie mogłam łudzić się co do widzianego w nim mojego odbicia. Oglądałam się z lękiem. I były ku temu powody: to, co tam widziałam było okropne. Boże, jaka ja byłam brzydka. Rozczochrana głowa, obrzękła zaspana twarz – brzydota pomnożona przynajmniej dwukrotnie. Zauważywszy, że byłam przybita, zarządzająca spróbowała jeszcze raz:

– Chcesz, żebym zawołała makijażystkę? W pięć minut

– Nie ma mowy. – Teraz nie mogłam wycofać się. – Idziemy.

Poszłyśmy w stronę królewskich komnat, nasze kroki rozbrzmiewały zgodnym rytmem w pustych korytarzach. Czulałam się ... Jak właściwie się czułam? Jak skazana. Szłam, jak więźniarka pod strażą. A szłam na noc poślubną. W ramiona mego męża. Nie do wiary.

W końcu doszłyśmy. Zatrzymałyśmy się przed wielkimi drzwiami strzeżonymi przez uzbrojonych żołnierzy.

– Poczekaj tu – powiedziała zarządzająca. Zamieniła parę cichych słów ze strażnikami. Obejrzelik mnie – nie ukrywali zdumienia na twarzach – i otworzyli drzwi. Zarządzająca wśliżnęła się tam. Po paru minutach wróciła i powiedziała, że

mogę wejść.

– Teraz wszystko już zależy od ciebie – powiedziała z niezbyt dobrze maskowaną drwiną. – Zobacz co potrafisz.

Nie odpowiedziałam. Trzęsąc się weszłam do komnaty i od razu ujrzałam łożo. Olbrzymie, z wielkimi jedwabnymi zasłonami, nie wiem czemu przypomniało mi statek, którego nigdy przecież nie widziałam, ale tak właśnie sobie wyobrażałam. A więc stałam przed okrętem Salomona. Jakie miało być jego przeznaczenie? Czy miał płynąć ku wyspie Wiecznego Szczęścia, popychany słodkim wiatrem miłości, czy też miał zagubić się na wzburzonym i niebezpiecznym morzu Frustracji? Nie umiałabym odpowiedzieć. Brzydkim nie jest dane przepowiedać, brzydkie przyjmują to, co los im da.

Salomona nie było tam. A dokładniej, nie był w samej komnacie, ale na dużym tarasie, z którego roztaczał się widok na całą okolicę, oświetloną niesamowitym księżycem. Stał obrócony do mnie tyłem, patrzył na horyzont. O czym myślał? O nowych aliansach z dalekimi krajami, o nowych żonach, które miał włączyć do haremu? Czy czekał na rozwiązłego nocnego ptaka, który miał mu podsunąć pomysły na przygodę, w którą mieliśmy się wdać za chwilę?

Dłuższy czas czekałam tam, patrząc na tę wyniosłą sylwetkę, na te szerokie barki, na tę piękną głowę.

I poczułam pożądanie.

Trudno w to uwierzyć. Pełna wielkich obaw, nie wiedząc co miało mi się przydarzyć, poczułam jak kielkowała we mnie żą-

dza, i tak rosła, że za chwilę mogłabym wskoczyć mu na plecy i całować jego szyję... Ale nim do tego doszło, on odwrócił się. Popatrzył na mnie i wzdrygnął się. Znowu, wzdrygnął się. Powinnam była wściec się, że co to za historia, za każdym razem jak na mnie patrzy to ma drgawki? – ale pojawiło się zupełnie odwrotne odczucie, byłam w innej fazie, że tak powiem i ta jego drgawka tylko powiększyła moje podniecenie, które stawało się nie do wytrzymania.

On westchnął.

– A więc to dzisiaj – powiedział z widoczną rezygnacją. Być może dla zyskania paru chwil zamierzał wdać się w pogawędkę, ale zdał sobie sprawę, że ani nie pamiętał mego imienia, ani nie przypominał sobie kim byłam. Musiał mnie zidentyfikować; no i zaczął: ach jakże mogłem nie przypomnieć sobie ciebie, jesteś tak wyrazistą postacią – i poszły pytania o zdrowie ojca, o rodzinę i o wioskę; czyli gędzenie dla zabicia czasu, marnowanie energii – a co najgorsze, dręczył mnie, bo już nie mogłam wytrzymać. Wreszcie wskazał łóżce.

Zdejmij odzienie i połóż się, zaraz przyjdę.

Nadszedł ów moment. Błyskawicznie zdjęłam wszystko i położyłam się, przykrywszy się prześcieradłem.

Błąd. Zasadniczy błąd. Straciłam okazję, by mu pokazać moje ciało, moje piersi – to, co miałam najlepszego, to, co mogło go podniecić. On ciągle był niezdecydowany; miał też się położyć, ale zmienił zamiar, powiedział, że musi chwilę pomedytować – moje stanowisko tego wymaga, wyjaśnił, jakby

usprawiedliwiając się – i wrócił na taras.

Jak na mój gust, dużo było tego medytowania. Myślałam, że rzuci się na mnie, że potoczymy się jak szaleni po łóżku, a może nawet spadniemy na podłogę. Ale nie, on wolał cholerne taras. Czułam, że to się dobrze nie skończy.

No i w istocie. Kiedy w końcu położył się, ciągle w jedwabnej tkaninie, wcale nie wydawał się mężczyzną opanowanym przez namiętność. Ziewnął, podrapał się, ujął kielich wina spoczywający na stoliku, wypił jeden łyk, zrobił niezadowoloną minę (kwaskowate to wino, muszę kazać je zmienić) i dopiero wtedy obrócił się w moją stronę z miną chłopca, który musi odrobić zadanie domowe ale nie ma na to ochoty:

– No to zaczynamy. Otwórz nogi.

Dokładnie tak: zaczynamy, otwórz nogi. Żadnych czułych słówek, żadnych pieszczot, żadnej gry wstępnej. Wprost do rzeczy, jak jakiś karczmarz, który kładzie się z kobietą, żeby się zaspokoić a potem śpi. Lecz – złudzenia nie mają granic – dla mnie to zabrzmiało jak najśłodsza z elegii, jak delikatne zaproszenie do miłości; więc otworzyłam nogi. On położył się.

Położył się. Ale nic się nie działo. Czy miałam poczuć stal? Czy miałam krzyknąć z bólu i przyjemności? Zejść do piekieł, a potem jak rakieta wznieść się do nieba, do rajów rozkoszy? Nie poczułam żadnej stali, wcale nie krzyczałam, nigdzie nie zesłam ani się wspiełam, nic a nic. Nic nie weszło do mojej wilgotnej pochwy. Nie pojawił się oczekiwany gość.

– Coś tu nie działa – jęknął on, a miał już krople potu na

czole. Zirykowało mnie to, takie zamknięcie przedstawienia. W ten sposób miała zakończyć się oczekiwana noc namiętności, pojękiwaniem zamiast krzyku radości? Co to było? Postanowiłam sprawdzić to własnoręcznie. Skrajne rozczarowanie: królewski obrzezany ogon był tam gdzie miał być, ale wiotki i obwisły. Mój gest rozgniewał go.

– Kto ci pozwolił wsadzać tu łapę? Myślisz, że kim ty jesteś, co?

– Jestem twoją żoną – odpowiedziałam szorstko. – Jedną z wielu, ale jednak żoną. A ty jesteś mym mężem. I nie spełniasz swej roli.

Przez chwilę w milczeniu patrzył w sufit, a potem obrócił się ku mnie, przygnębiony i rozeźlony jednocześnie:

– No dobrze, chcesz wiedzieć? Opadł mi. Fiut mi zwisł. Nigdy przedtem nie zdarzyło się mnie to, a teraz zdarzyło. Klapa. Wstyd, ale muszę przyznać: klapa. Po siedmiuset żonach, trzyestu konkubinach i wielu przygodach, klapnął. Fiasko, zupełne fiasko.

Parsknął.

– A czyja to wina? Twoja. Kto ci kazał być tak brzydką? I w dodatku głupią. Mam okres wielkich trudności, pojawia się nawet groźba buntu. I czego w takich warunkach można oczekiwać od żony? Wyrozumiałości, cierpliwości. Ale nie, ty musiałaś robić próbę sił, nawet zrobiłaś wiecek, żeby zmusić mnie do przyjęcia ciebie. No i masz wynik: zwis. Ale sama poniesiesz konsekwencje tego: tak jak tu weszłaś, tak i wyj-

dziesz, nieprzeleciana. Dobrze ci tak. Masz karę, na którą zasługujesz.

To była kropla, która przepełniła czarę mojej rozpacz. Jęcząc i płacząc, nie rób ze mną tego, królu, proszę, nie zawstydzaj mnie, uczepiłam się go, całując jego pierś, jego brzuch i – doprowadzona do szaleństwa – chciałam uciec się do seksu oralnego, jak to robiła moja siostra z pastuszkiem w jaskini. Zanim zdążył zareagować, uchwyciłam w usta jego fiuta.

Kompletna głupota. Nie wiedziałam o tym, ale dowiedziałam się natychmiast: nie da się obciągnąć miękkiego fiuta. No i wynik był po prostu katastrofalny. Wskoczył z łoża przeobrażony; posiniały, utkwiał we mnie wzrok i trzęsącym się palcem wskazał drzwi:

– Wynoś się, obrzydliwa! Wynoś się stąd!

Zaalarmowani krzykiem wbiegli dwaj strażnicy z pochyłymi lancami – i zatrzymali się osłupiali, nie wiedząc co robić. A to już zupełnie rozwścieczyło króla:

– Kto wam, idioci, kazał tu wchodzić? Czy przypadkiem wołałam was?

Opanował się, zdawszy sobie sprawę z ryzykownej sytuacji: gdyby strażnicy rozgadali co się zdarzyło, jego reputacja raz na zawsze byłaby zniszczona. Więc natychmiast wymyślił stosowne rozwiązanie:

– Moja żona nie czuje się dziś dobrze. Odprowadźcie ją do haremu i powiedzcie zarządzającej, by się nią zaopiekowała.

Nie stawiając oporu pozwoliłam, by mnie poprowadzili.

Oczywiście żadna z kobiet nie poszła jeszcze spać. Gdy zobaczyły, że wracam jeszcze bardziej rozczochrana i rozmamłana niż poszłam i słysząc moje łkania zdały sobie sprawę z tego, co się zdarzyło. Zareagowały w bardzo godny sposób: mogły wyśmiać mnie, mogły mnie opieprzyć – popatrzcie co za przywódcę sobie wybrałyśmy, przecież ona to zupełny blamaż – ale nie, nic nie powiedziały, o nic nie zapytały. Dwie czy trzy pomogły mi położyć się, a jedna z nich zaczęła mi cichutko nucić, trochę fałszując ale wzruszająco, by mi pomóc zasnąć. A nastąpiło to po długiej sesji płaczu.

Następnego dnia nie mogłam nawet podnieść się z łóżka, tak źle się czułam. Przez cały dzień nie piłam, nie jadłam, tylko szlochałam cały czas. Szczerze przejęte kobiety z haremu otaczały mnie pytając, co mogą dla mnie zrobić. Czy chcesz jakiś owoc? Czy chcesz kwiaty? A może miały mi pośpiewać, by mnie pocieszyć?

Lecz nic nie mogło mnie pocieszyć. To znaczy, było coś, co mogło wyciągnąć mnie z tej rozpaczki – wezwanie Salomona. Gdyby przywołał mnie, gdyby przeprosił za niepowodzenie – wybaczyć, nie czułem się wtedy dobrze, ale chcę się zrehabilitować teraz, chcę przeżyć z tobą wiele miłosnych chwil – ach, gdyby to nastąpiło, ja, jak błyszczący Feniks, odrodziłabym się z własnych popiołów i pofrunęłabym do niego.

Salomon nie przywołał mnie. Co gorsza, w następnych dniach przywołał inne, wiele innych. Pięknych, najpiękniejszych. Widziałam w tym jasne przesłanie: brzydota to trucizna, brzydota gasi podniecenie, trzeba piękna jako lekarstwa.

Rosła we mnie olbrzymia wściekłość, olbrzymia i zimna wściekłość, zajmując miejsce smutku. Ten bezwstydnik potraktował mnie źle, bardzo źle. Na przykład, co to za historia, że przeze mnie mu zwiśło? Doszłam do wniosku, że Salomon po prostu znalazł wymówkę. Prawdziwy mężczyzna, z jajami, robiłby co trzeba nie przejmując się pięknem czy jego brakiem, zresztą jakie to miało znaczenie po ciemku? Co więcej, jeśli pastuszek mógł pieprzyć się z kozą, to król nie mógł pieprzyć się z brzydką? Musiałam sama znosić konsekwencje jego plajty. A dla mnie, najłagodniej mówiąc, było to głęboko niesprawiedliwe.

Ale nie zamierzałam zostawić tak tego. Powoli rodził się we mnie projekt zemsty.

On sam podsunął mi pomysł gdy mówił, że niepokoiły go wystąpienia przeciw tronowi. Było oczywiste, że najbardziej obawiał się spisku. No więc to właśnie musiałam zrobić: zorganizować spisek przeciw niemu. Nie po to, żeby go odsunąć od władzy – bo wtedy straciłabym pozycję królewskiej żony – ale żeby wymusić przywileje. Krok po kroku wypracowywałam plan tak śmiały i wyśmienity, że przerażał nawet mnie samą.

Chodziło o to, by – ni mniej, ni więcej – porwać Salomona. Porwać nie po to, by jako okup otrzymać klejnoty czy pieniądze.

dze, ale wypełnienie małżeńskich obowiązków wobec pogardzonej żony. Jebanie albo śmierć. Albo minimalny plan: jebiesz albo zostajesz bez jaj.

A kto by wykonał ten plan? Mój ojciec. Ojciec i ludzie z naszego plemienia. Wiedziałałam, że w przeszłości byli śmiałymi wojownikami. W istocie, przez długie dekady trzymali w stanie napięcia królewskie wojska, które zapuszczały się w tamte strony, by ich ujarzmić. Umieli atakować z zaskoczenia i zniszczyć, nim wróg doszedł do siebie. W tych potyczkach mój ojciec okazał się wybitnym dowódcą o wielkiej, nawet jeśli empirycznie nabytej, znajomości strategii. I ten jego talent, jak to teraz odkrywałam, odziedziczyłam po nim.

A czemu niby mój ojciec miałby wdać się w takie przedsięwzięcie? To proste: by odzyskać honor córki. Wprawdzie nigdy mnie nie lubił, ale był patriarchą wioski i patriarcha nie mógł przyzwolić, by ktoś, kto był ciałem z jego ciała, krwią z jego krwi, miał być tak znieważony. A słowo zniewaga nie oddaje tego, co przeszłam w komnacie Salomona. To było głębokie i zupełne upokorzenie, coś mogącego zniweczyć miłość własną każdej kobiety, a szczególnie brzydkiej.

Była tu i inna strona: małżeństwo nie zostało skonsumowane. Więc król mógł je unieważnić w każdej chwili, co oznaczałoby wycofanie poparcia dla mego ojca. Ryzyko, którego może dałoby się uniknąć przez cielesny związek. I taki byłby oczekiwany skutek spisku: po porwaniu Salomon musiałby ruchać się ze mną. Albo ponieść konsekwencje odmowy, ale nie tego chciałam, bo zresztą to by był zbyt bolesny koniec. Nie

szło mi o zemstę. Stawiałam na nieoczekiwany (dla Salomona, nie dla mnie) wynik tej polityczno-seksualnej napaści. Zgodnie z tym jak sobie rzecz przedstawiałam, Salomon w pierwszej chwili zesrałby się ze strachu: moja żono, ratuj mnie, proszę, uratuj mnie od tych fanatycznych szaleńców. Zaraz to załatwię, powiedziałabym. Łagodnie zaprowadziłabym go do pokoju. Poprosiłabym ojca i jego grupę, by czekali na dworze, zamknęłabym drzwi i powiedziałabym: zapomnijmy to, co się stało, kochany Salomonie, zaczniemy wszystko od początku. Czyli w tej chwili niepokoju odnalazłby w moich ramionach spokojne schronienie. Byłabym jego opiekunką, jego żoną i jego matką – kimże jest mężczyzna jak nie opuszczonym dzieckiem szukającym matczynego oparcia? Ciepło mego ciała przyniosłoby mu niespodziewaną pociechę; zalałoby go gorące uczucie, przerodzone w solidną erekcję – i stosunek nastąpiłby naturalnie. I nie byłoby to coś przejściowego. Zapamiętałby na zawsze, że osłaniałam go jak pasterka chroniąca zagrożone koźlątko. Gdy w przyszłości nadeszłyby chwile udręki (a z pewnością takie momenty nie byłyby rzadkie: groźby wielkich potęg, kryzysy finansowe powodowane nadmiernymi wydatkami przy budowie świątyni i innych, fizyczne problemy takie jak strach przed rakiem prostaty), zwracałby się do mnie, przyjaciółki i towarzyszki, gwiazdy prowadzącej go w ciemności, spokojnego portu dla statku ze złamanym masztem, którym pewnego dnia by się stał. I wtedy, ze łzami w oczach, wyrzekłby jedyne szczerze słowa w swoim życiu: „kocham cię, Gołębico”.

(Gołębica: tak, już postanowiłam, że tak miał mnie nazy-

wać. Lwy obok tronu, Gołębica w sercu, takie miało być jego życie. Nie potrzebowałyby więcej rozmawiać z jakimiś ptakami, tylko ze swoją Gołębicą).

Miałam już w głowie wszystkie szczegóły tej operacji. Zdałam sobie sprawę, że choć bardzo dobrze strzeżony, pałac miał swoje słabe punkty. Jednym z nich było Ustronie, nieodległe od komnat Salomona. Nie było tam ani jednego żołnierza. Pałacowa ochrona z pewnością uznała, że nie było potrzeby. Na co żołnierz, do pilnowania starych żon? A więc Ustronie nie było chronione. A wychodziło ono na opuszczony lasek oliwny. Grupa zdecydowanych mężczyzn wchodząc tędy mogłaby bez trudu dotrzeć do sali tronowej i po złamaniu niewielkiego oporu uczynić króla jeńcem.

Następnym krokiem było powiadomienie mojego ojca. Musiałam opowiedzieć mu całą historię, prosić o pomoc i przedstawić mój plan. I paradoksalnie ta część wydawała mi się najtrudniejsza. Nie chodziło tu tylko o nasze trudne relacje; kłopotem była sama komunikacja, jak porozmawiać z nim. Jako żona, a w dodatku żona zbuntowana, nie miałam najmniejszej możliwości, by wyjść z pałacu. I nie przewidywano przed upływem przynajmniej całego roku jakichś rodzinnych odwiedzin.

Musiałam więc wysłać mu list. Ale jak? Nie mogłam, rzecz jasna, liczyć na pocztę pałacową. Zaczęłam przedstawiać sobie jakieś zmyślne, choć nieco fantazyjne, sposoby na przesłanie ojcu wiadomości. Używając, na przykład, gołębi pocztowych.

A gołębi w pałacu nie brakowało. Były ich tysiące. W istocie, stanowiły kłopot z powodu brudów, które zostawiały, ale mimo tego chroniono i karmiono je. Chodziło o rozporządzenie samego Salomona. Nie było całkiem jasne czemu tak lubił gołębie. Wydaje się, że potrafiąc rozmawiać z ptakami, miał szczególnie łatwy dialog z tym gatunkiem i niejeden służący twierdził, że widziano go przy gołębnikach jak melodyjnie gruchał. Z drugiej strony, te symbolizujące miłość columbidae (czego dowodziły rozliczne sentymentalne pieśni), swoją obecnością, szczególnie w ogrodach haremu, stanowiły delikatne zaproszenie do miłosnych ślubów, a także neutralizujące uzupełnienie aroganckiej obecności pawi, które miały przypominać królewską moc, oraz złowieszczych kruków, które czasami pojawiały się z krakaniem.

Gołębie z ogrodu były łagodne i nie miałabym trudności ze złapaniem jakiegoś. Ale jak go przeszkolić? Jak go przeobrazić w powietrznego posłańca? Jak go nauczyć trasy, którą miał przebiec? Wpadło mi do głowy, by przyzwyczaić gołębia do jedzenia owocu tego rodzaju kaktusa, który rósł tylko w pobliżu naszej wsi. Przyzwyczajony do tego pożywienia, poleciałby szukając go i wraz z nim poleciałby mój komunikat. Bez wątplenia, dobra myśl, ale jak zdobyć owoc tego kaktusa? Mogłabym poprosić moich ludzi. Ale jak, za pomocą pocztowego gołębia?

Musiałam rozważyć i inne trudności. Wiadomość musiałaby być zapisana na pergaminie. A on ma sporą – jak na możliwości małego ptaka – wagę, bo pergamin nie jest porowatym

materiałem. Trzeba by było co najmniej czterech gołębi, trzymających w dziobach narożniki pergaminu, czyli musiałabym nauczyć je, by leciały jako eskadra. No więc wyglądało na to, że miałam nierozwiązalny problem. Ale wtedy zdarzyło się coś niewiarygodnego.

Pewnego dnia byłam w ogrodzie haremu gdy usłyszałam zza wysokiego muru, że ktoś grał na flecie. Była to znana mi melodia, od której serce zaczęło mi bić szybciej, bo słyszałam ją już w naszej wiosce. Rozejrzałam się, nie było nikogo w pobliżu. Wspięłam się na mur i zobaczyłam, że nie myliłam się: to był pastuszek. To on był tu, biedny chłopak, z twarzą poznaczoną bliznami, grając na flecie w oczekiwaniu, że ktoś mu da jałmużnę. Nie zaprzeczę, że ujrawszy go bardzo się wzruszyłam. Coś chwyciło mnie za gardło, zaparło dech, czyżby wracał dawny żar? Być może, ale nie chciałam nawet myśleć o tym. Moim mężczyzną, człowiekiem, którego chciałam podbić, był Salomon.

Przywołałam pastuszka. W pierwszej chwili przestraszył się, nawet chciał uciekać; ale rozpoznał mnie i przywitał mnie wylewnie: co za radość móc z tobą rozmawiać, wiedziałem, że byłaś w haremie, ale nie wyobrażałem sobie, bym mógł cię ujrzeć, mówili, że teraz żaden mężczyzna nie może cię widzieć. Zawahał się: czy nie popełniał wykroczenia obracając się do królewskiej żony? Odpowiedziałam mu, że łączący nas afekt był ponad jakimiś idiotycznymi zasadami: byliśmy przede wszystkim przyjaciółmi i przyjaciółmi zostaniemy na zawsze. Dziękował ze wzruszeniem: jesteś dobrą osobą, masz wielkie serce.

Westchnął:

– Ja za to nic nie jestem wart, do niczego się nie nadaję.

Zapomnij o tym, powiedziałam mu, popełniłeś błąd, to się zdarza. I zanim zdołał zanurzyć się w smutku, zmieniłam temat pytając co robił po opuszczeniu wioski. Wzruszył ramionami.

– Nic, o czym by nawet warto było mówić.

Opowiedział, że nachodziwszy się wiele po drogach dotarł do Jerozolimy i postanowił pozostać w niej. Początkowo, dzięki pewnym kontaktom (nie chciał wdać się w szczegóły, a ja nie czułam się upoważniona do pytania o nie) wiodło mu się dobrze i zarabiał duże sumy. Ale obecnie nie miał już pracy, spał na otwartym powietrzu i żył z jałmużny.

– Ciężko jest – powiedział zduszonym głosem. – Bardzo ciężko.

Zawahał się przez chwilę i spytał czy mogę załatwić mu coś do jedzenia – od trzech dni już pościł. Choć zasmucona, natychmiast zdałam sobie sprawę, że tu była moja wielka szansa.

– Mogę zrobić o wiele więcej dla ciebie – odpowiedziałam.
– Mogę ci zapewnić spore pieniądze.

A po chwili dodałam.

– O ile mi oddasz pewną przysługę.

– Jaką przysługę? – zapytał z nadzieją.

– Chcę, żebyś dostarczył memu ojcu list. On dobrze cię za

to wynagrodzi.

– Twojemu ojcu?– spojrział na mnie wyraźnie wystraszony. Było to zrozumiałe: miał jeszcze blizny po ukamienowaniu. – Ależ twój ojciec chce obedrzeć mnie ze skóry... Wszystko przez zbłądzenie z twoją siostrą, niech imię jej będzie przekłete.

Zdumiało mnie jak mówił o niej, ale można to było zrozumieć. Z pewnością uważał, że go zdradziła. Nie tylko nie stanęła przy nim w chwili jego nieszczęścia, ale zastąpiła go kimś innym. Ale to nie była właściwa chwila, by mówić o tych rzeczach; musiałam go skłonić, by doręczył moje przesłanie. Więc nalegałam: gdy mój ojciec pozna zawartość listu, będzie ci bardzo wdzięczny. Może nawet przyjmie cię z powrotem w wiosce.

Jego oczy błyszczały; było oczywiste, że tego najbardziej pożądał. Natychmiast zdecydował:

– Dobrze, możesz na mnie liczyć. Gdzie ten list?

Wyjaśniłam, że muszę go dopiero napisać. Nie wiedział o tej mojej zdolności; otworzył szeroko oczy: kobieta, która pisze? Natychmiast urosłam w jego pojęciu; nie byłam już teraz brzydką córką patriarchy, byłam piśmienna – a w dodatku, żona króla. Naturalnie jego podziw był mi miły, ale nie mogłam marnować więcej czasu na błahostki. Ktoś mógł mnie tu dojrzeć i źle by się to dla mnie skończyło. Poprosiłam, by wrócił za trzy dni.

– A jak cię powiadomię, że wróciłem? – zapytał.

– Uczynisz to samo, co zrobiłeś dzisiaj: zagrasz na flecie. Tę samą melodię. A ja ci rzucę list. Załatwione?

– Załatwione. – Zawahał się przez chwilę i dodał tonem, w którym wyczuwałam niewątpliwą szczerłość:

– Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo cię lubię.

Czy to było wyznanie miłosne? A jeśli tak, czy ta miłość zrodziła się w tym momencie? A jeśli pojawiła się w tym momencie, czy powinnam ją podsycać? Ale jak? I po co?

Nie było jak odpowiedzieć na te pytania. Przede wszystkim, byłam zbyt psychicznie obolała, by przeżywać romans, w dodatku przyspieszony i utrzymany na brzegu muru. I było coś ważniejszego: miałam teraz męża, dziwnego męża, ale jednak męża, i tego męża chciałam podbić, a nie pastuszka. Ograniczyłam się więc do powiedzenia, że też go lubię i że zawsze będę go miała w moim sercu, po czym zeskoczyłam z muru. I to w dobrym momencie, bo właśnie nadchodziła zarządzająca na swój codzienny obchód.

– Co ty tu robisz? – spytała zaintrygowana i podejrzliwa; byłam teraz osobą, którą należało nadzorować, i to starannie.

Zaczęłam mówić o czymkolwiek, o spacerowaniu po ogrodzie. Patrzyła na mnie nieufnie – co tu jeszcze ta brzydka zamierza narozrabiać, przywiodła króla do impotencji, zbuntowała kobiety i jakby tego jej nie wystarczało chce jeszcze coś namotać – ale oddaliła się bez słowa.

A więc kwestia posłańca była rozwiązana. Musiałam teraz

napisać list. Ale jak załatwić potrzebny materiał? Nie było to łatwe, tylko skryby mogli go używać. Rzadko ich widywano: pracowali w odosobnieniu, w zamkniętej izbie i tylko król miał tam dostęp. Nawet gdybym zdołała porozmawiać z nimi, nie mogłam ot tak sobie prosić ich o pergamin, najłagodniej mówiąc byłoby to dziwne i zwracałoby uwagę. A zwracanie uwagi było ostatnią rzeczą, na którą miałam ochotę.

Nie było innego wyjścia, musiałam uciec się do przekupstwa. Jedynym wartościowym przedmiotem, który miałam, była bransoletka ze złota i kości słoniowej, dar mojej matki, a nie Salomona, bo on nie dawał prezentów żadnej żonie ani konkubinie. Wyjaśniał, że nie chciał nikogo wyróżniać. Mądrość czy skąpstwo, wszystko jedno, ale to była reguła. I od jednego ze strażników za tę bransoletkę dostałam pergamin, patyk i barwnik. Nocą, w świetle księżyca, napisałam list do ojca.

I co za list. Wspaniały list. Byłam natchniona. Nie ograniczyłam się do niedawnych zdarzeń. Oddaliłam się w czasie: wzgarda Salomona, której byłam ofiarą, nie była odosobnionym przypadkiem; wręcz odwrotnie, była częścią moich dziejów jako stworzenia brzydkiego i odrzuconego. Można było przewidzieć wynik kłopotliwej relacji autorytarnego, oddalonego ojca i wrażliwej, rozgoryczonej córki. Mówiłam o niepokojach i aspiracjach tej dziewczyny, o jej nadziejach złożonych w miłości do człowieka, któremu została przeznaczona na żonę. Opisałam w płomiennych słowach upokorzenie, które mnie spotkało i które dotykało całą rodzinę, kompromitujące

całe drzewo genealogiczne, aż do koniuszka najmniejszej gałązki. Zakończyłam prosząc ojca, by dopomógł mi w imię naszych przodków. Po długim i wzniosłym wstępie przeszłam do szczegółów praktycznych, wyjaśniając krok po kroku co należało zrobić, by dostać się do pałacu i porwać króla.

Zakończyłam pisanie w dniu, gdy pastuszek miał pojawić się pod pałacem. Spełnił obietnicę. O umówionej porze usłyszałam dźwięk fletu. Pobiegłam do ogrodu i przerzuciłam pergamin nad murem. Wieści zostały rzucone. Pierwszy raz od dawna pomodliłam się: prosiłam Jehowę, by mi pomógł, by list dotarł do swego przeznaczenia. Poczulałam się spokojna i pocieszona: uczyniłam to, co było do zrobienia. Teraz miałam tylko czekać. Ale miałam niespodziankę.

Gdy zapadała noc, zarządzająca haremem przyszła do mnie.
– Król kazał wezwać cię.

Nie wierzyłam własnym uszom. Król przyzywał mnie? Król, który przed paroma dniami wygnał mnie ze swojej komnaty? Król, który odrzucił mnie tak zdecydowanie i z irytacją? Czego chciał ode mnie król? W zamęcie nie wiedziałam co o tym myśleć. Czyżby Salomon zdecydował wreszcie wypełnić swoje obowiązki małżeńskie? Może tak. Zaufanie, które pokładano w monarsze, przyszłe traktaty, które miał zawierać, w dużej mierze zależały od jego małżeńskich poczynań. Kto wie czy nie podjął jakichś kroków, by ustrzec się przed nowym fiaskiem. Na przykład afrodyzjaki. Albo orgia, w czasie której, podniecony innymi kobietami, i mnie by jakoś zaliczył.

Była też i inna możliwość, ale wiązała się z cudami: czyżby nagle zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy to, co dla mnie czuł, było miłością? Czy wołał mnie, by mi powiedzieć, że wspomnienie moich rąk, mego ciała (choć nie twarzy) działa jak magiczny napój miłosny, choć o opóźnionym działaniu?

No i była, w końcu, trzecia możliwość, ponura, ale godząca się z machiawelicznymi cechami władzy królewskiej. A może Salomon w zadaniu mego rozprawiczenia zamierzał zastosować outsourcing, by inny podmiot przezeń wynajęty wypełnił misję jako tajemnicę stanu? Upokarzająca hipoteza, ale przyjąłabym nawet ideę męża zastępczego, chwilowego, o ile w stosownym czasie zostałby w swej roli przywrócony ukochany Salomon. Warto by było się poświęcić.

W każdym razie, jedno było pewne: pospieszyłam się wysyłając list do ojca, i pospieszyłam się prosząc o pocztową przysługę pastuszka. Najgorsze było to, że chłopak był już w drodze, pragnąc wypełnić swą misję, tę misję, która w jego przekonaniu miała go pojednać z moim ojcem. Musiałam go powstrzymać, ale jak? Biegnać za nim? Nie, nie tylko, że nie mogłam tego dokonać, ale i byłoby to nieudane, nigdy bym go nie dogoniła. Trzeba było po prostu udać się do króla. Gdy wszystko by było rozwiązane w pożądanym sposób (czyli po pełnej pasji stosunki z nim czy z kimś przez niego wybranym), opowiedziałabym mu co się zdarzyło, prosiłabym o wybaczenie i by mi pomógł uniknąć katastrofalnej napaści mojego ojca. W swojej mądrości, Salomon by mnie zrozumiał. Wysłałby swych chyżych jeźdźców za pastuszkiem; przesłanie zostałooby odzy-

skane, pastuszek by otrzymał jako rekompensatę stado kóz; wszystko by się dobrze zakończyło i bylibyśmy szczęśliwi na zawsze.

Mając te cudowne wizje przed sobą szybko się odziałam i poprosiłam o rychłe nadejście makijażystki.

– Nie ma potrzeby – przerwała mi zarządzająca. – Dzisiaj nie trzeba.

– Jak to: nie ma potrzeby? – zapytałam bezradnie. – Przecież król...

– Król powiedział, że nie ma potrzeby. Idziemy szybko, on już czeka na ciebie.

I znowu przechadzka po długich i mrocznych korytarzach, ale – zaskakujące – nie w stronę królewskiej komnaty. Zamiast tego skierowałyśmy się ku sali tronowej, a to natychmiast mnie zaintrygowało i zaniepokoiło. Czemu tu przyszłyśmy, zapytałam zarządzającą haremem. Zaraz zobaczysz, odpowiedziała. Otworzyła drzwi do sali i odeszła.

Dwaj dworzanie wprowadzili mnie. Król był tam, siedział na tronie. Ujrawszy go prawie zemdlałam: miał w dłoni pergamin. Mój pergamin. List, który napisałam do ojca.

Nie wiedziałam co czynić. Czy powinnam rzucić się na posadzkę, prosząc o wybaczenie? Czy powinnam wyjaśnić, nie, to wcale nie jest to, co Wasza Wysokość myśli, to taki dowcip, zabawa córki i ojca? Nie wiedziałam na co się zdecydować i stałam tam nieruchoma, z dworzanami obok mnie. A król

ograniczał się do patrzenia na mnie pytająco i w bezruchu. Milczenie w sali było nie do zniesienia. Była w nim groźba.

– Właśnie przechwyciłem twą korespondencję – powiedział wreszcie, zupełnie neutralnym tonem. – Przyznaję, że to grubiaństwo z mojej strony, ale skoro nie użyłaś pałacowej poczty, czułem, że miałem do tego prawo. W dodatku, musisz przyznać, że sprawa dotyczy bezpieczeństwa królestwa, więc musiałem to uczynić.

Pomimo paniki, zdołałam bez trudu odtworzyć zdarzenia. Gdy przerzucałam list przez mur, strażę właśnie zatrzymały pastuszka. Zamierzali wybadać co tam robi, gdy z nieba, że tak powiem, spadła osobliwa rzecz, pergamin owinięty taśmą. Strażnicy doręczyli go swemu komendantowi, a on, podejrzewając, że to poważna sprawa, zaniósł go do samego Salomona.

– Spisek przeciw tronowi – kontynuował Salomon. – Poważna sprawa. Mogę za to skazać cię na śmierć, wiesz o tym?

Jasne, że wiedziałam. Dla bardziej błahej przyczyny mój ojciec przykazał ukamienować pastuszka. W tym kraju prawo było bezwzględne, bardzo bezwzględne: oko za oko, ząb za ząb. Ale jeśli myślał, że rzucę się na ziemię płacząc i prosząc o wybaczenie, to się pomylił. Wypełniła się już moja czara upokorzeń. Mógł nakazać, by mnie zabili; miał do tego prawo. Ale umarłabym w milczeniu, z godnością.

Ale on nie zastanawiał się nad egzekucją. W jego spojrzeniu, które ku mnie kierował, nie było żadnej groźby; wręcz odwrotnie, zdawało się, że sytuacja go bawiła. I – jak wkrótce

miało się okazać – nasuwała mu pomysły.

Poprosił dworzan i żołnierzy, by zostawili nas samych. Podniósł się, zszedł z tronowych schodów i prowadząc mnie do wysłanej ławy poprosił, bym przy nim siadła. Znowu oglądałam pergamin.

– To jest doskonała redakcja. Dzieło, którego każdy skryba mógłby zazdrościć.

Wpatrzył się we mnie z uwagą.

– Ktoś ci to napisał?

Tym pytaniem spychał mnie do obrony. Czy szukał znaków pałacowego spisku? Tak czy inaczej, nie zamierzałam kłamać. Powiedziałam, że nie, że umiem czytać i pisać, że robię to już od dawna.

– Cudownie. Jesteś pierwszą piśmienną kobietą, którą napotkałem – stwierdził z podziwem, co, muszę przyznać, mile pogłaskało moje ego. Nikła namiastka innych, takich jak erotyczne, głośnić, ale w tej sytuacji nie mogłam więcej oczekiwać.

– Co więcej – kontynuował – piszesz bardzo dobrze. Nie zdołałem przerwać czytania. A wcale nie jestem zapalonym czytelnikiem. Moja mądrość bierze się z rozmyślań, nie z książek. I z tego, czego uczą mnie ptaki.

Podziękowałam za te zaskakujące pochwały, które odebrałam dość nieufnie: czy nie za dużo tego dobrego na moją biedną głowę. Czy coś się za tym nie chowało? Owszem, chowało.

– Chcę ci coś zaproponować – powiedział. – Ale przedtem, pozwól, że cię o coś zapytam. Czy znasz tę świątynię, którą wzniosłem? Świątynię Jerozolimską?

Tak, znałam ją – z zewnątrz, bo wstęp do niej był kobietom zakazany. Nie imponowała mi zbytnio ta wielka, luksusowa konstrukcja. Ale on, wręcz odwrotnie, miał ją za wielkie osiągnięcie swego królowania. Był to odwieczny sen, nie tylko jego lecz i poprzedzających go pokoleń, a jemu przypadło go zrealizować. Nie szczędził wysiłków, by tego dopiąć: w poszukiwaniu złota i cennego drewna jego okręty przemierzały morza i docierały do dalekich krain, do obszarów zamieszkałych przez ciemnoskórych ludzi chodzących nago, noszących ozdoby z ptasich piór i mówiących nieznanymi językami. Zgromadzono tysiące robotników, wydano olbrzymie sumy, a dzięki temu po trzynastu latach Świątynia stała niemal gotowa, poświadczając obecność Boga i przekształcając się w symbol religijnej jedności. Przyjeżdżali teraz pielgrzymi z całego kraju, by modlić się, by składać ofiary. Jerozolima, została nie tylko stolicą polityczną, ale i świętym miastem. Dla niego to był osobisty sukces, tytuł do sławy. Po prawdzie, zadanie miał ułatwione, dzięki idei jedyne boga. Dopomagał mu wielce zakaz wielbienia bożków, bo każde bóstwo jest wyrazicielem jakiejś grupy i każda grupa ma swe odrębne interesy. Świątynia przedstawiała przewyciężenie interesów grupowych, wyrażała narodową jedność.

– Ale – rozmyślał na głos, z nutą smutku – to dzieło fizyczne, materialne. Mam nadzieję, że przetrwa wiele wieków, lecz kto

zagwarantuje, że tak się stanie? Kto zapewni, że nie zostanie zniszczone? Nie chcę, by pamiętano mnie z powodu ruin. Chcę być pamiętany za coś, co jest na zawsze. Wiesz co?

Zamilkł na chwilę, popatrzył na mnie i oznajmił z powagą:

– Księga. Księga, która opowie historię rodzaju ludzkiego, naszego ludu. Księga, która stanie się podstawą cywilizacji. Oczywiście, książka to obiekt i też może być zniszczona. Ale nie jej zawartość. To przesłanie, które przechodzi z pokolenia na pokolenie, które zostaje w głowach ludzi. I które rozchodzi się po świecie. Książka jest dynamiczna. Książka rozprzestrzenia się jak nasiona unoszone przez wiatr.

Ujął mnie za rękę – o Boże, wziął mnie za rękę, mój ukochany wziął mnie za rękę, więc nadeszła ta chwila, Boże, Boże, spraw, by teraz powiedział, teraz!, że kocha mnie, uczyn to, Boże, proszę, Boże.

Nie.

– Chcę, żebyś napisała tę książkę. Chcę, żebyś opisała trajektorię, którą wyznaczył w czasie nasz lud. Chcę, byś mówiła o naszych patriarchach, o naszych prorokach, o naszych królach, o naszych kobietach. I chcę piękną narrację, tak doskonale napisaną jak ten list, który słałaś do twego ojca. Chcę książkę, którą pokolenia będą czytać z szacunkiem, ale i z zachwytem.

Byłam co najmniej przerażona.

Książkę? Tego chciał ode mnie? Książkę? A więc nie chciał

zaprowadzić mnie do łóża, nie chciał kochać się ze mną, a chciał książkę? Ta propozycja wzbudziła we mnie sprzeczne odczucia. Z jednej strony, było to rozczarowaniem, jeszcze jednym. Zamiast wyznania miłosnego, projekt wydawniczy. Ale z drugiej strony, pochlebiał mi jego wybór – dowodził, że dostrzegł we mnie jakąś wartość. Nie była to wartość, którą ja bym najbardziej ceniła; chciałabym być ceniona jako kobieta, jako kochanka. Ale tymczasem tego jeszcze nie dostałam. Cierpliwości. W każdym razie, była to odmiana, niezwykła odmiana: z odrzuconej, a nawet prawie skazanej, przechodziłam do kategorii współpracowników. A to mi dawało szczególną pozycję. Od tego chwili, w pewnym sensie, miałam stać obok niego, król i jego żona intelektualistka.

No, ale napisanie dzieła, o które prosił, było gigantycznym zadaniem. Nie miałam najmniejszego pojęcia co robić, nie wiedziałam nawet jak zacząć. Ogarnęło mnie nagłe zniechęcenie, a może i strach. Zdałam sobie sprawę, że ryzyko porażki było ogromne. A w tym stanie rzeczy porażki, kolejnej porażki, nie potrafiłabym znieść. Porażka pisarki, porażka żony, porażka kobiety – czy tylko to życie miało dla mnie w zapasie? Czemu nie zostawiło mnie ono w spokoju? Siedziałam tam spokojnie, mając w górze schronienie, ja z moją brzydota, ja z moim kamykiem; czemu życie wyrwało mnie stamtąd? Po to, żebym zaznała cierpień, rozczarowań, by stanąć przed wyzwaniem przekraczającym moje skromne siły?

Chyba nie dostrzegał mego niepokoju, bo kontynuował:

– Nie sądz, że chodzi o osobistą reklamę. Dla mnie samego

nie chcę więcej niż jednego rozdziału, może nawet być krótki. Coś prostego, synteza. Jasne, że musi tam wejść budowa Świątyni i to ze szczegółami. Ale nie ma potrzeby wspominać, że rozmawiam z ptakami. Sama tradycja zadba, by to zachować. Wystarczy, że opowiesz o moich dziełach, o moim umiłowaniu mądrości.

Popatrzył na mnie.

– Czy słuchasz mnie? Zwracasz uwagę na to, co ci wyjaśniam?

Odpowiedziałam, że tak, że słucham, że zwracam uwagę.

– Wydajesz się roztargniona – zauważył nieco zirytowany. – Chcę podkreślić, że mówimy tu o misji. I chcę ci przypomnieć, że ciąży na tobie oskarżenie.

Zdał sobie sprawę, że popełnił błąd: jeśli chciał mojej pomocy, nie otrzymałby jej naganami i groźbami.

– Możesz zastanawiać się – kontynuował tonem bardziej ugodowym – czemu zależy mi na twojej pomocy. Powiesz, że to niemożliwe, by król tak potężny jak ja nie miał nikogo do napisania pożądanej książki. Odpowiem ci, że wiele było mych starań. Nie masz pojęcia ile wysiłku...

Przerwał.

– Choć ze mną. Pokażę ci coś.

Przekroczyliśmy salę tronową i doszliśmy do małych drzwi, po części ukrytych przez kurtynę, za którą wchodziło się do dużej sali pachnącej pleśnią. Od sufitu od podłogi rozciągały się

półki pełne manuskryptów, a wokół wielkiego stołu siedziało sześciu zasuszonych starców, szóstka długich białych bród. Za ledwie weszliśmy, unieśli się i patrzyli na mnie z wyrazem urażonego zdumienia: kobiety nie były mile widziane w miejscu najwyraźniej stanowiącym ostoję pałacowej wiedzy. Lecz byłam z królem i tylko to miało znaczenie. Okrążyli go i nie zwracając uwagi na moją obecność zaczęli wszyscy jednocześnie mówić, nie można było tej gadaniny ani wytrzymać, ani zrozumieć. Salomon poprosił, by się uspokoili.

– W porządku, panowie, w porządku. Później omówimy te wszystkie kwestie.

Wyszliśmy i zamknął za sobą drzwi. Obrócił się ku mnie z melancholijnym uśmiechem.

– Widziałaś? To im przekazałem to zadanie. I oto co robią od dziesięciu lat: gadają, gadają, gadają, piszą, piszą, piszą – i nic z tego nie wychodzi. Wiedzą wszystko, co trzeba wiedzieć, ale tak się ze sobą kłócą, że nie potrafią pogodzić się co do końcowej redakcji. I dlatego wezwałem ciebie. Po pierwsze, niczym nie jesteś do nich podobna: jesteś kobietą, kobietą inteligentną i masz dobre chęci. A po drugie, piszesz dużo lepiej niż każdy z nich czy wszyscy oni razem wzięci. Twój list dowodzi tego. Przeczytałem go co najmniej trzy razy.

Przypomniał sobie coś, co go rozbawiło:

– Ta część, gdzie opisujesz mnie jako nieczułego męża... Świetne to było. Prawie i mnie przekonałaś, że jestem niegodziwcem. Lecz liczę, że zostanę zrehabilitowany dzięki misji,

którą ci powierzam.

O Boże, być może był impotentem, ale był też sprytny jak lis. Roztopiłam się cała od tych pochwał. Lecz zdołałam zachować zimną krew. A nawet więcej, powiem nieskromnie, byłam przebiegła, wcale nie mniej niż on. Mogłam powiedzieć: napiszę tę książkę, jeśli będziesz się ze mną kochał. Ale to nie była właściwa chwila na takie wymagania, byłby w tym oczywisty element grubiaństwa. Jeśli spełnię zadanie, jeśli wręczę mu ukończone dzieło mówiąc: masz tu, Salomonie, swą literacką świątynię, on nie oprze się i padnie w moje ramiona. I będę wtedy nie tylko jego wykształconą żoną, ale w istocie i wedle prawa królową.

I choć byłam zachwycona swoją własną przebiegłością, przemknęła mi przez umysł jedna wątpliwość. W tej naszej parze, kto tu kogo oszukiwał? Pytanie było całkiem na miejscu; przecież rozmawiałam z najmądrzejszym ze śmiertelnych, człowiekiem, który wiedział wszystko o strusiach i mówił językiem ptaków.

Ale nie zamierzałam brać udziału w turnieju forteli, choćby dlatego, że pociągała mnie i jego propozycja, i jego głębokie, czarne oczy. Pisząc tę książkę zaspokoilibym nie tylko jego, ale i moje ambicje. Nigdy bym nie zdołała wznieść świątyni, ale dzieło, o którym mówił, było w zasięgu moich możliwości, nawet gdybym musiała spędzić na pisaniu całe życie. I bylibyśmy wspólnie, on i ja, w tym przedsięwzięciu. Choć nie dzielilibyśmy łoża, przynajmniej dzielilibyśmy wspólny projekt. Ów tekst byłby schronieniem, w którym tylko on i ja przebywa-

libyśmy, z dala od siedmiuset żon i trzystu konkubin, z dala od tronu i jego lwów, z dala od gołębi, które wszystko obsrywały, z dala od politycznych intryg i publicznych audiencji. Po prawdzie, perspektywa pisania książki wydawała mi się już tak podniecająca, że czułam wdzięczność za sam pomysł wciągnięcia mnie do tego, gdzie mogłam podążać linią opowieści idąc jakby to był trop w labiryncie. W nieznanym terenie, na który wkrótce miałam wkroczyć, może zdołałabym poruszać się tak śmiało jak chodząc samotnie po górskich ścieżkach. No i kto wie czy po drodze nie znalazłabym jakiejś jaskini... I gdyby mistrz Salomon zechciał do tej jaskini wejść razem ze mną...

Czyli karty leżały na stole (choć, rzecz jasna, były karty w rękawie, różne karty w różnych rękawach, ale one by były użyte później). I już podjęłam decyzję. A więc, gdy zapytał mnie, uprzejmie jak zwykle, czy zamierzam wziąć udział w tym przedsięwzięciu, bez wahania odpowiedziałam, że podejmuję się tego. I ośmieliłam się dodać:

– Jeśli trzeba, mogę zacząć natychmiast.

Uśmiechnął się i w tej chwili byłam pewna, że nie uważał mnie za tak brzydką, że odkrył we mnie ukryte piękno, piękno inteligencji, kultury.

– Wiedziałem, że będę mógł liczyć na ciebie. Powiadomię starców, że poczynszy od teraz jesteś oficjalnie redaktorką. Już jutro zaczniesz swoją pracę.

Gdy trzeba było działać, z królem nie było żartów. Następnego dnia zaprowadzono mnie do sali przygotowanej specjalnie dla mnie. Miałam przebywać tam aż do zakończenia dzieła; on sam mi wyjaśnił, nie chciał, bym się rozpraszała haremowymi plotkami. Co więcej, do chwili jej ukończenia, praca miała być utrzymana w tajemnicy. Wśród przyczyn skłaniających do tego była obawa przed plagiatorami i sposobami, na które mogli wykorzystać tekst. Jakiś przywódca opozycji, który by się przedstawił publicznie jako autor monumentalnej historii naszego ludu natychmiast stanąłby w poświęcenie czcigodności, mogącej przekształcić go w niebezpiecznego przeciwnika. I mądrość Salomona kazała mu bardziej obawiać się idei niż broni.

To było duże pomieszczenie. Oprócz łoża i szaf stał tu wielki stół, krzesła i półki pełne manuskryptów, które tego ranka przeniesiono z sali starców. To posunięcie stanowiło zrozumiałe przesłanie dla ich zespołu: przyjaciele, mamy nowe nabytki, dostosujcie się lub znikajcie.

Na stole wszystko potrzebne do pisania, wraz ze świeżym pergaminem. Powąchałam go: kozia skóra. Poświęcono ją, biedaczkę, by tańczące jeszcze w mojej głowie litery mogły przeinaczyć się w widzialne znaki, w słowa. Te litery, ustawione w kolejne wiersze, miały wytyczyć ścieżkę, która doprowadziłaby mnie do zwycięstwa – i do królewskiego serca. Błogosławiony pergamin. Na jego dziewiczej powierzchni widziałam moją przyszłość, przyszłość chlubną i porywającą.

Spędziłam ów, a także kolejne dni przekopując się przez zestawione przez starców materiały. Król miał rację: to był

bezład, poplątana mieszanka legend, historycznych faktów, nakazów religijnych, a wszystko bardzo źle zredagowane i nawet z błędami pisowni. Mogło to przydać się jako pomocnicze źródło, ale żeby mieć książkę pożądaną przez Salomona, musiałam zacząć od początku. Gdy zdałam sobie z tego sprawę, znowu zanikła moja odwaga. Znienacka przytłoczył mnie ogrom zadania; znienacka przestałam być pewną siebie, ufną kobietą, a stałam się opuszczoną dziewczynką i chciałam tylko, by moja matka wzięła mnie na kolana tak jak wtedy gdy byłam dzieckiem i miałam gorączkę. Odłożyłam pergaminy i przygnębiona położyłam się.

Lecz nie, nie mogłam poddać się zniechęceniu. Musiałam zwalczyć tę bezwładność, tę ciężącą jak ołów melancholię, która groziła, że mną zawładnie i uwięzi mnie, być może na zawsze. Miałam do opowiedzenia historię – miałam do opowiedzenia wspaniałą historię – i musiałam ją opowiedzieć. Wskoczyłam z łóżka jakby wyrzucona jakąś siłą, wróciłam do stołu i wzięłam do ręki patyk. Lecz zawahałam się. Jak zacząć? Zamknęłam oczy – i w tym momencie ujrzałam. Przedemną była olbrzymia, rozplywająca się postać, przezroczysty byt, nieruchomy nad nieskończonym, ciemnym oceanem. Tylko to ujrzałam, lecz to wystarczyło. W ułamku sekundy trwania tej wizji mogłam wyczuć w tej odległej postaci napięcie, wstrzymane na całą wieczność: napięcie wszechświata zrodzonego, lecz nie utworzonego, napięcie czasu powstrzymanego, gotowego do swego biegu. Nieskończenie mała drobinka tej nieobliczalnej energii jakoś przeniknęła mnie. To wystarczyło:

zamoczyłam patyk i napisałam: „Na początku”.

I tu zatrzymałam się, i znowu nie wiedziałam jak podążać. Między napięciem a działaniem zapadł cień, tajemnica. Na początku – no więc co nastąpiło na początku? W głowie miałam pustkę; nie pamiętałam już niczego, co wyczytałam w sterach manuskryptów; napisane przeze mnie słowa zdawały się bardziej enigmatyczne niż wszystko inne. Moje spojrzenie rozmyło się i nie wpatrywałam się już w litery, lecz w pergamin, w jego chropowatą powierzchnię.

Pergamin. Od niego powinnam wyruszyć ku początkom, od skóry zwierzęcia poświęconego po to, bym pewnego dnia mogła użyć jej do pisania. Skóra; przed skórą, koza; przed kozą, liście, które żuła; przed liśćmi, drzewo, Ziemia, wszechświat. Musiałam odtworzyć tę historię, a znaczyło to powrócić w czasie wieki i tysiąclecia, rzucić się w kosmiczny wir, który miał mnie unieść... Dokąd? Cholera, nie wiedziałam, i to doprowadzało mnie z przerażającą szybkością do szaleństwa, ale nie do szaleństwa pospolitego, lecz do szaleństwa egzystencjalnego, zjawiska poważnego, godnego filozofa, a nie brzydkiej dziewczyny. Co miałam robić? Zostanę Bogiem, pomyślałam zrozpaczona, i przyniosło mi to wielką ulgę. Bóg: mogłam w tej idei znaleźć oparcie. Nie, w tę ideę mogłam się wtopić, rozpuścić się w niej pełniej niż sól w wodzie. Niech w przeszłości rozlegnie się beczenie kozy, niech teraz skóra kozy mnie oskarży. Stanę się Bogiem. Czemu Bogiem a nie Boginią? Czemu Jehową, a nie Astarte, istotą uwielbianą przez wiele innych bogobojnych ludów? Czemu broda, a nie gładkie oblicze, co najwyżej z paru

zmarszczkami, a może i z wielu zmarszczkami? Z prostego i decydującego powodu: nie mogłam zacząć wielkiej księgi od kontrowersji, szczególnie z moim pracodawcą. Salomon mówił o Bogu, starcy mówili o Bogu, mój ojciec mówił o Bogu. Boże! – wołały skały w górach. Boże – wołały ptaki, pieśniarze i niemi. No więc Bóg. W moim pojęciu, Bóg miał być zaledwie twórczą energią, nie człekopodobną postacią, rządzącą swoimi tworam. A niech Salomon i inni widzą go jako mężczyznę, nie miało to dla mnie znaczenia. Moją niewiarę i mój protest wyrażę unikając opisywania boskości. A jeśli miano go sobie wyobrażać jako starca z białą brodą i surowym spojrzeniem, to już nie moja sprawa.

„Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię.” Gotowe: zostało to napisane. I z napisaną frazą załała mnie nagła euforia. Zaczęłam śmiać się. Śmiałam się tyle i tak głośno, że jeden ze starców – byli w sąsiedniej sali – wszedł, żeby zobaczyć co się dzieje. Wszedł bez stukania i – miał za swoje – ujrzał mnie siedzącą przy stole, z patykiem w ręce, przy pergaminie. W oczach jego było to urzeczywistnienie czegoś odrażającego: w istocie pisałam historię, która przedtem należała wyłącznie do nich, do starców. Nie zdołał opanować się, wydał nienawistny wrzask i uciekł.

Nie miało to dla mnie znaczenia. Skoro raz zaczęłam, mogłam już iść dalej. „Bóg rzekł: «Niechaj się stanie światłość!» I stała się światłość.” Świetnie, mamy już światłość, więc i ciemności, bo nie ma światłości bez mroku, bez cienia. W kolejnych akapitach zostały stworzone rośliny, gwiazdy, ryby

i ptaki... Wszystko szło szybko, co z jednej strony było dobre – szłam do przodu ze znaczną prędkością – ale z drugiej nie cieszyło mnie to zbyt. Chciałabym dodać szczegółów. Jak Bóg stworzył sałatę? A jak płotki? Chciałabym opisać jak Bóg wytwarzał jakąś rybę, wybierając łuski, wybierając płetwy, mówiąc, hm, nie bardzo mi się podoba ten format głowy, ogon mógłby być nieco większy. Ale trzeba przyznać: to by było bliższe gabinetowi osobliwości niż świętemu tekstowi. Synteza była konieczna, by narzucić szacunek. Nie mówiąc o tym, że nie miałam całego czasu świata. Zważywszy ogrom zadania, musiałam poruszać się zwinnie. Streściłam akt stworzenia do sześciu dni, włączając dzień siódmy na odpoczynek, podkreślając wyraźnie, że w tym przypadku pośpiech nie był wrogiem doskonałości: „I ujrzał Bóg ile uczynił, i widział, że było to bardzo dobre”. Nie chciałam wstawić „świateł”, czy „wyśmienite”, czy „cudowne”, bo w końcu nawet Wszechmogący musi być nieco skromny. Powiedzmy, że w skali od zera do dziesięciu on sam przyznał sobie osiem, z punktacją obniżoną za niedoskonałość gadów i brzyduli.

Ten wstęp był łatwy. Ale przewidywałam pojawienie się trudności. Rzecz w stworzeniu pierwszego mężczyzny i pierwszej kobiety. Starcy zapisali na ten temat sterty pergaminów – lektura jałowa, monotonna, wkrótce ją porzuciłam. W kwestii mężczyzny i kobiety, męskości i kobiecości, zamierzałam zdać się po prostu na to, co mi instynkt powie. I nie było trudne pozwolić mu mówić.

Wedle starców, Bóg najpierw stworzył mężczyznę, z gliny.

Nic nie miałam przeciw temu skromnemu tworzywu. Ale dlaczego najpierw mężczyznę, a nie kobietę? I dlaczego kobieta miała być stworzona w inny sposób? Historia z zębem wydawała się, najłagodniej mówiąc, głupiutka, a może i była zdecydowaną obrazą, zważywszy nieistotną rolę tego anatomicznego materiału.

Postanowiłam poprawić te nieporozumienia używając do tego wszystkie moje własne fantazje. Po stworzeniu, pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta zakochali się do szaleństwa w sobie i zamienili Eden w scenę porywającej namiętności. Pieprzyli się wszędzie, na trawie, na piasku, w cieniu drzew, na brzegu rzek. Pieprzyli się bez przerwy, jak gdyby wieczność poprzedzająca stworzenie nie zawierała niczego oprócz ich namiętności w formie niesłychanie skoncentrowanej energii. Tak więc, spotkanie tych dwojga było czymś takim jak Big-Bang seksu, wiele Big i wiele Bang. Użyli wszelkich pozycji, wypróbowali wszelkie warianty, pod zaciekawionymi spojrzeniami kóz i strusi, oraz pod życzliwym spojrzeniem Boga.

A w mojej wersji, on nie wyganiał ich z Raju; wręcz przeciwnie, dodawał im otuchy: teraz, gdy odkryliście miłość, możecie znieść życie takie jakim ono jest, życie pełne wrzasku i wściekłości.

Skończyłam ten rozdział i przeczytałam go znowu. Był bardzo dobry, tak dobry, że zrodziło to we mnie wątpliwość: czy to był rzeczywiście historyczny tekst? Czy czasem naprawdę nie przekazywałam posłania – Salomonowi? Coś w stylu, wiesz, ty klapnięty, to jest model, który masz naśladować i wiedz, że

kto jest gorący w piśmie, jest gorący w łóżku? Czy nie zamierałam go podniecić? Staralam się wmówić w siebie, że nie, że po prostu przejęłam się entuzjazmem w narracji o dwóch pierwszych kochankach w Raju – ale z pewną obawą, a także nadzieją, zniosłam królowi pergamin.

Salomon czytał w milczeniu. Potem odłożył na bok manuskrypt i przez parę chwil rozmyślał, z zagubionym spojrzeniem. Zgodnie z moimi ukrytymi obawami, kłopotąła go moja wersja. Więc postanowił odwlec rozwiązanie:

– No nie wiem – rzekł w końcu. – Będę musiał pomyśleć nieco o tym, co napisałaś.

A po chwili dodał:

– I będę chciał wysłuchać też opinii starców. Bo przecież w nich jest zdeponowana mądrość przeszłości.

Krew uderzyła mi do głowy.

– Posłuchaj, Salomonie – powiedziałam, z wysiłkiem utrzymując spokój – jeśli zamierzasz słuchać tych staruchów co myślą o moim tekście, to marnujemy czas. Ci faceci nigdy go nie zaaprobuja. Oni –

Chciałam powiedzieć, że oni są bandą impotentów, ale powstrzymałam się; nie mówi się o sznurze w domu powieszzonego.

– Oni mają inny styl narracji, wiesz o tym.

On nadal sugerował szukanie ugody:

– Wiem, wiem. Ale starajmy się wypośrodkować to, by

wszyscy byli zadowoleni. Choćby dlatego, że ci starcy przedstawiają pewną siłę. Wszyscy oni byli wskazani przez najwyższego kapłana ze Świątyni, a jak wiesz, z klerem nie ma żartów.

Nie było tu już niczego do powiedzenia. Pożegnałam się prosząc, by mnie wezwał gdy tylko przeanalizuje tę sprawę.

Wróciłam do mojego pomieszczenia i położyłam się. Nie zdołałam zasnąć z niepokoju. Gdy wreszcie prawie zapadałam w sen, zastukano do drzwi. Nie były to energiczne uderzenia strażników czy zarządzającej haremem. Nie, to było nieśmiałe, ukradkowe uderzenia, które bardziej mnie zaintrygowały niż przestraszyły: kto to mógł być o tej nocnej porze? Salomon? Salomon, który odkrył wreszcie swoją miłość do mnie i przychodził do mojego łóżka, na tak oczekiwaną noc poślubną? Nieprawdopodobne. Salomon nie potrzebował stuknąć do drzwi: był panem, panem pałacu, kobiet, wszystkiego. A jeśli to nie był Salomon, to mógł być jakikolwiek nudziarz. Rozeźlona, wstałam i z łuczywem w ręce otworzyłam.

Przede mną stał starzec, jeden z sześciu brodatych gnomów, którzy mieli kierować mną przy opracowywaniu tekstów. Nie znałam jego imienia. Zresztą nie znałam imion żadnego z nich; byli dla mnie wszyscy tacy sami, pomarszczone klony. Czemu ten odłączył się od ich grupy? Czemu stał w mych drzwiach, z idiotyczną gębą promieniującą uśmiechem, wybąkując przeprosiny za niewłaściwą porę wizyty?

– Przyszedłem z powodu pracy – oznajmił, pokazując per-

gamin; mój pergamin, pergamin, nad którym pracowałam. – Wiesz, praca, którą król zlecił nam.

Zlecił nam. Czyli byliśmy współnikami w tym dziele. Co było pewnym postępem. Wydawało się, że nieufność ustępowała – choć o dziwnej porze – współpracy.

– Czytałem do teraz twój tekst – wyjaśniał. – Jest dobry, bardzo dobry. Ale myślę, że parę szczegółów trzeba by, jak to powiedzieć, przedyskutować... Przy okazji, czy mogę wejść? Wiem, że jest późno, ale to ważna sprawa...

Zaczynało to dziwnie wyglądać. Omawiać tekst, w tej nocnej porze? Powiększała się moja podejrzliwość. Postanowiłam ukrócić tę gawędę.

– Czy to nie może poczekać do rana? Po prawdzie, jestem nieźle zmęczona.

– Proszę cię – teraz użył błagalnego tonu. – Rzecz w tym, że ja... Boję się, że zapomnę... Wiesz, to się zdarza...

Jeśli bał się, że zapomni, czemu nie zrobi sobie notatek? Nie brakowało na to pergaminu, zapas zostawiony do naszej dyspozycji przez Salomona był w praktyce nieskończony. Zdecydowanie w tej historii coś się nie zgadzało. Ale wydawał się takim bezradnym człowieczkiem, że w końcu zrobiło mi się go żal:

– Dobrze, wchodź.

Przekroczył próg w sporym pośpiechu. I gdy znalazł się w środku, rozluźnił się. Rozejrzał się badawczo dookoła.

– Bez wątpienia, jesteś tu dobrze zainstalowana. Lepiej niż my, dużo lepiej. Dobrze jest cieszyć się pewnymi łaskami króla, nie?

Do tego śmieszek, który przynieść naszą poufałość. Ale nie miał jej znaleźć u mnie. Patrzyłam na niego bez ruchu. Tracąc pewność siebie, zdecydował zmienić temat. Chciał zagrać na więzach przyjaźni. Gaduła:

– Wiesz, że znam twego ojca?

– Naprawdę?

– Naprawdę – radosny ton. – Byliśmy nawet bardzo zaprzyjaźnieni... Może on nie pamięta już mnie, ale ja zawsze bardzo go podziwiałem za jego energię... Jego przywódcze zdolności... Wielka postać, ten twój ojciec. Kobieciarz, ale co za postać. – Zdał sobie sprawę z gafy i próbował wycofać się: – Wybacz, nie chciałem cię urazić. Lecz byliśmy razem za młodu, twój ojciec i ja. Życie nas rozdzieliło, ale od czasu do czasu docierały do mnie wieści o nim: że ożenił się, że miał córkę inteligentną, utalentowaną...

Ale nie ładną. Nawet schlebiając, nie doszedłby do tego stopnia. Mógł przykleić mi etykietkę inteligentnej, utalentowanej, ale unikał wspomniania mego wyglądu, i było to całkiem zabawne. Zabawne czy nie, całe to gadanie zaczynało mi działać na nerwy.

– Wybacz, świetnie nam się gada, ale jak ci już powiedziałam, jestem zmęczona a jutro mam sporo roboty. Więc gdybyś mógł przejść wprost do rzeczy...

– Wprost do rzeczy. – Zdawało się, że rozmawia z niewidocznym świadkiem. – Ona chce, żebym szedł wprost do rzeczy... No dobra, to idźmy wprost do rzeczy, co na to można poradzić? Idziemy wprost do rzeczy. Chodzi o coś takiego: jak wiesz, król przekazał nam twój tekst, żebyśmy go ocenili i przedłożyli naszą opinię.

Hm. To mogło być ważne: z pewnością Salomon weźmie pod rozwagę opinię staruchów. Całe szczęście, że już wcześniej o tym dowiedziałam się. Ale nie zamierzałam ujawnić przed tym człowieczkiem jak to mnie interesuje. Spytałam, tak letnim tonem na jaki mnie było stać, jaka jest ich opinia. Uśmiechnął się triumfalnie – ach, mam, cię, kobieto, znalazłem twój słaby punkt.

– Jeszcze jej nie zredagowaliśmy. I dlatego teraz tu jestem. Jak ci mówiłem, chcę omówić parę szczegółów, które mi, obojście, wydawały się – jakby to powiedzieć – dość intrygujące.

Intrygujące? Co mogło być intrygującego w tym tekście tak jasnym i bezpośrednim – choć dość poetyckim? On z pewnością dostrzegł moją skrzywioną minę, bo szybko dodał:

– Intrygujące, dla mnie, rzecz jasna. Intrygujące, ale... – znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu – ...fascynujące. Nigdy nie czytałem czegoś w tym stylu.

Przerwał, wpatrzył się we mnie jakby badając moją reakcję i podjął temat:

– Jak na tak młodą kobietę, ujawniasz znakomitą znajomość życia. – Puścił oczko. – Ta wiedza to z własnego doświadcze-

nia?

Ach, tak, byliśmy więc w obszarach zwykłej obleśności. Niezbyt mnie to w tym momencie przejęło, staruszek miał prawo do swojej dawki sprośności. Jak odpali te swoje dwa czy trzy szpasy i pójdzie sobie, to wszystko będzie w porządku, no bo wcale nie chciałam kłótni z gnomami. Więc i ja uśmiechnęłam się.

– To po prostu kobiecy instynkt.

– Aha – zerknął frywolnie z ukosa. – Kobiecy instynkt. Rozumiem.

I stał bez ruchu, gapiąc się na mnie, z drwiącą miną. Zaczynałam już mieć tego dosyć. Wkurzyła mnie ta idiotyczna gadka. A w dodatku miałam pełny pęcherz, chciałam załatwić się, a ten karzeł ani myślał o wychodzeniu. Postanowiłam przyspieszyć akcję.

– No to w końcu co takiego osobliwego jest w tym, co napisałam?

Nie odpowiedział od razu. Opuścił nieco głowę i tak stał, w jego łysinie odbijało się światło pochodni. W końcu podniósł oczy i był w jego wzroku jakiś blask. Na Boga, bardzo dziwny.

– Wzburzył mnie ten twój tekst. Bardzo mnie wzburzył. Ta część gdzie piszesz jak Adam i Ewa kochają się na wilgotnej trawie... Ożeż kurwa, ten kawałek jest odłotowy. Tam jest...

Przerwał i niespodziewanym gestem uniósł tunikę.

Co za okropność: sterczał mu kutas. Jego penis był ol-

brzymi, komicznie nieproporcjonalny w zestawieniu z malutką postacią człowieka, wielka pała, od której, powiedziałabym, mógł się przewrócić. Chciało mi się śmiać, wybuchnąć salwą śmiechu, pęknąć ze śmiechu od tej komicznej sceny. Ale nie była to dobra chwila na śmiechy, trzeba było skończyć z tym wszystkim, bo to naprawdę przekraczało już wszelkie granice.

– Co to za historia, starcze? – krzyknęłam. – Co ty sobie wyobrażasz? Czy myślisz, że jak ci król ufa to możesz sobie na wszystko pozwolić? Jestem żoną Salomona, ty świntuchu. Jak opowiem o tym mojemu mężowi, to każe rozkroić cię na dwie połowy. To, co robisz jest wstętne, obrzydliwe! Jak...

Przerwał mi, wzburzony i nerwowo.

– Proszę cię – wyszeptał prawie z płaczem. – Proszę cię! Tak, wiem, że to szaleństwo, że mogę nawet zapłacić za to życiem, ale wiesz od kiedy mi nie stawał? Wiesz od kiedy? Od lat. Od dziesiątków lat. I to nie ze starości, nie, bo w mojej rodzinie nawet stulatki pieprzą. Zostałem zwisiorem przez moją żonę, tę zmiję. Nigdy nie chciała nawet słyszeć o seksie, odpychała mnie brutalnie jak próbowałem czegoś. Mówiła: idź studiować święte teksty. No to szedłem i studiowałem. I studiowałem, i studiowałem. I co z tego? Studiowałem, studiowałem. Wiedziałem wszystko o pokusie i grzechu, o cnocie i o występku. Szczególnie o występku. Tak, o tym wiedziałem wszystko. Jak zechcesz to ci zrobię szczegółowy spis, o wszystkich formach, możliwych i wymyślonych, tych występków. I co mi przyszło z tego studiowania? Byłem nieszczęśliwy, zakuwałem to na sucho, a marzyłem o dobrym pojebanku. Gdybym

mógł mieć trochę tych występków, myślałem sobie. A tu nic, występki tylko w książkach. A w prawdziwym życiu tylko smutek i frustracja. I raptem ty się pojawiłaś i paru zdaniem rozbudziłaś we mnie pożądanie, które wydawało się martwe i pogrzebane... To jest wspaniałe! To cud!

Nie wiedziałam co powiedzieć. Z jednej strony, to wyznanie napełniało mnie dumą. Może nie jako kobietę, ale jako pisarkę, która osiągnęła niebanalny triumf: rozbudziła nagłą i nieoczekiwaną namiętność. Owszem, pasję zgrzybiałego karła, ale właśnie dlatego, że chodziło o zgrzybiałego karła i półimpotentę, czyż to nie powiększało mego triumfu, szczególnie biorąc pod rozwagę moją brzydotę jako istotny *capitis diminutio*? Lecz istotne było to, że to mnie nie pociągało. Utracić dziewictwo z takim żalonym typem, tak – to by była obrzydliwość. Jednakże inna rzecz była najważniejszą: chciałam nie jego, a Salomona. Ach, gdyby w tym momencie król wszedł, zdałby sobie sprawę, że choć brzydka, to mogłam – choćby u starca, a może nawet u starca – usztywnić pałę. I może to by mu przyniosło inspirację; może, oburzony, przegoniłby starego mówiąc: nikt nie może tknąć mojej żoneczki, choć, kochana, zapomnij tego potworka, połóżmy się i kochajmy się. Ale to daremna nadzieja, Salomon nie miał się pojawić; być może tylko straż, gdybym krzyczała głośniej. Lecz nie chciałam głośno krzyżeć, nie chciałam zranić tego człowieka, bo w pewien sposób oddawał mi hołd. Więc powiedziałam mu, że bardzo mnie poruszyło jego oświadczenie i że w innych warunkach nie zawahałabym się, by przyjąć go w moim łóżu, ale

obecnie nie było to możliwe, bo byłam w całości oddana pracy, i tylko pracy.

Nie słuchał mnie. Przybliżył się powoli, z błyszczącymi oczami, trzęsąc się z pożądania. I z zaskakującą zręcznością próbował uchwycić mnie. Odepchnęłam go, delikatnie lecz stanowczo. Spróbował znowu i tym razem pchnęłam go tak silnie, że upadł i potoczył się po posadzce. Chciał podnieść się, zaplątał się w tunice i znowu upadł. Tak było to komiczne, tak patetyczne, że nie zdołałam się opanować i zanosłam się śmiechem. A to go doprowadziło do ataku furii. Wstał, i nadal zataczając się, wycelował we mnie swój gniewny paluch:

– Śmiejesz się, co? Śmiejesz się? Ze mnie się śmiejesz, ty pustynna suko? Śmiejesz się, bo chciałem cię przejechać, czego nikt inny nigdy nie zrobi, a szczególnie Salomon? Zobacz się w lustrze, kobieto. Jesteś śmieciem, jesteś potworem brzydoty. Ale uzaliłem się nad tobą i chciałem ci podarować seks. A ty to odrzuciłaś! Idiotka! Ale poczekaj, zobaczysz jeszcze.

Oglądnął mnie z triumfalną nienawiścią:

– Wiesz komu starcy zawierzyli przygotowanie ostatecznej opinii o twoim tekście? Wiesz komu? Mnie. Właśnie mnie. To ja jestem odpowiedzialny za opinię o tym gównie, które napisałaś. No to zgadnij jaka to będzie opinia! Zgadnij! To jest chała, ty miernoto! Właśnie to jest obrzydliwością!

Spróbował rozedrzeć pergamin – z pewnością po to, bo mi jego kawałki cisnąć w twarz – ale nie zdołał, bo skóra była wytrzymała. Próbował, próbował – i nic z tego. W końcu

rzucił go na podłogę i poszedł, miotając zniewagami.

Miałam poczucie wygranej: jakoś udało mi się zachować moją godność. Jakoś zemściłam się na lusterku i na wszystkich, którzy szydzili ze mnie. Zemsta dziwna, zemsta melancholijna, no ale jednak zemsta.

Był i inny powód do zadowolenia. Choć była to próba groteskowa, to jednak mój tekst został poddany próbie. Starzec był królikiem doświadczalnym. Skoro jego zdołałam doprowadzić do szaleństwa, to nie oprze się mi i Salomon. I musiałam właśnie to robić: iść dalej z lubieżnymi opisami, aż, zachwycony, wpadnie do mego pokoju wołając: już dłużej nie wytrzymam, chcę cię teraz, chcę cię dla siebie całą. I odpowiem mu wtedy: masz tu nie tylko tekst, masz też autorkę. I wtedy będziemy na zawsze szczęśliwi. Z tą pewnością zadowolona położyłam się do snu.

Wkrótce jednak miałam odkryć, że incydent ze starcem miał poważne następstwa. Obudziły mnie wcześnie uderzenia strażnika we drzwi – a tym razem były to uderzenia silne i zdecydowane. Salomon nakazywał, bym pojawiła się w sali tronowej. Poszłam i od razu miałam złe przeczucia.

Król siedział na tronie. Wokół niego stało tych sześciu ramoli z zapiekłymi minami: ten mój nocny gość musiał im o mnie niezłe naopowiadać. Byłam przygotowana, że mi się oberwie, ale to, co nastąpiło, było o wiele gorsze.

Starannie, jak zawsze, dobierając słowa Salomon powiedział, że posiadał już opinię dotyczącą opowieści, którą spisałam. Zalety mego stylu zostały docenione, lecz nie można było tego powiedzieć też o samej narracji, która zawierała pewne wypaczenia. Mając w pamięci wagę przygotowywanej księgi, należało przyjąć pewne wytyczne, aby uniknąć – jak to oględnie określił – potknięć na trasie. Począwszy od tej chwili miałam ograniczyć się wyłącznie do redagowania tekstu. Treść miała być ustalana przez starców, którzy dostawali także prawo weta dotyczące wszystkiego co pisałam. Gdy mówił to, patrzyłam na tego lubieżnego starca. Próbował zachować obojętny, rzeczowy wygląd, ale było oczywiste, że słowa króla przynosiły mu rozkosz.

Byłam pokonana, sromotnie pokonana. Rozpływała się we mgle moja nadzieja uwiedzenia Salomona za pomocą tekstu. Co gorsza, starcy zajmowali kierowniczą pozycję i nie miałam nikogo do obrony. Jak sam król mówił, starcy, ciesząc się famą mędrców, zdobytą w ciągu dziesiątków lat (bo wszyscy oni służyli jeszcze Dawidowi, ojcu Salomona), dzięki swoim wpływowym kontaktom byli ważnymi osobistościami. Nie zajmując stanowisk rządowych, tworzyli coś w rodzaju rady, najwyższej, choć nieformalnej, w pewnej mierze uwierzytelniającej królewską władzę. Nie miałam w starciu z nimi najmniejszej szansy. Tak więc, w milczeniu wysłuchałam wyroku. Pozostawała mi tylko uległość.

I w ten sposób następnego dnia pisałam taką historię jakiej sobie życzyli. Kobieta była wyprodukowana z żebra Adama. Kobieta usłuchała węża. Kobieta posmakowała owocu drzewa poznania dobra i zła. Krótko mówiąc: kobieta spieprzyła wszystko. No i potem szła ta historia o Kainie i Ablu, dwóch synach tej pary (dwóch synów: żadnej córki. Czyli nie mieli mieć szansy na reprodukcję, choćby i przez kazirodztwo). Abel pasterz (owiec, nie kóz), Kain rolnik; dwaj spierają się, zamiast zdecydować się na wspólne przedsięwzięcie rolniczo-hodowlane, co by było bardziej logiczne i dochodowe. Z jakichś przyczyn, które tylko on i starcy znają, Bóg odrzuca ofiarę Kaina. Zazdrość – i zbrodnia. Zaczynał się sezon przelewania krwi, ku satysfakcji starego obrzydliwca. Teraz tekst miał odzwierciedlać jego furię, jego niewyładowaną nienawiść.

I nie kończyły się tu moje udreki. Tego samego dnia, gdy spisywałam historię tej zbrodni dowiedziałam się od pałacowego sługi co się stało z pastuszkiem. Wyobrażałam sobie, że po oddaniu żołnierzom pergaminu chłopak odszedł w spokoju. Lecz nie, on nie tylko odmówił wręczenia mego posłania, ale gotowy do bronienia go nawet za cenę życia, próbował zareagować, wdając się w walkę z żołnierzami. Wtedy utracił rękę, odciętą ciosem miecza. I potem znikł.

Łatwo wyobrazić sobie, że ta historia strasznie mnie przygnębiła. Biedny chłopak, zapłacił wysoką cenę za chęć dopomożenia mi. Najgorszym była zupełna bezużyteczność jego poświęcenia i to mnie poniżyło i przygnębiło. Teraz już nie prosiłabym ojca o porwanie króla, by go zmusić do kochania

się ze mną. Prawdę mówiąc, nawet nie myślałam o tym. Teraz seks był na drugim czy trzecim, a może i czwartym planie.

Wróciłam do pracy, choć było to skrajnie trudne. Mając umocnione swe uprawnienia, starcy hasali z radości. Zmuszali mnie do wielokrotnego przerabiania tego, co pisałam. A to, co pisałam, jak epizod o Kainie i Ablu, przynosił mi tylko niesmak.

Spróbowałam zareagować. Chciałam, by przynajmniej zdali sobie sprawę ze sprzeczności zawartych w ponurej historii tego pierwszego zabójstwa. Wedle starców, gdy został należycie przeklęty, Kain narzekał przed Panem: „gdy mam być tułaczem i zbiegiem na ziemi, każdy, kto mnie spotka, będzie mógł mnie zabić!” Ale kto miał być tym potencjalnym zabójcą, skoro, zgodnie z opowieścią, do tej pory istnieli tylko Adam, Ewa i sam Kain, nie licząc zmarłego Abła? Zadałam to pytanie starcom, pełnym szacunku tonem, którego domagali się, ale w gruncie rzeczy ciesząc się przewidywanym zakłopotaniem, które pytanie mogło przynieść.

Ale nie zakłopotali się nawet na chwilę. Spojrzeli po sobie, jakby mówiąc, nie dość, że brzydka to jeszcze głupia, i jeden z nich sucho odpowiedział:

– Redaguj i nie pytaj.

Narracja szła do przodu, od katastrofy do katastrofy. Można to zrozumieć: zgodnie z ich niegodziwością, obrzydliwością –

najwyraźniej o niczym innym nie myśleli – były powszednie wśród potomków Adama i musiały one co jakiś czas być karane. Jak w przypadku Adama i Ewy, czy Kaina. Ale to były kary ograniczone, zindywidualizowane. Skrypt starców przewidywał karę wszechobejmującą, widowiskową, odmianę superprodukcji w temacie biczowania całej ludzkości. W następnym rozdziale, powiadomili mnie, będzie padało przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Rzecz jasna, dla mnie, pochodzącej z pustynnych terenów, było niewiarygodne. Przecież Bóg nigdy nie odpowiadał na nasze prośby o deszcz: jedynym, co otrzymywaliśmy za modły, były skąpe mżawki. Ale starcom nie chodziło o rolnictwo. Za pomocą opadów, potop miał pokryć powierzchnię Ziemi. Wszystkie stworzenia, triumfalnie ogłosili, miały zginąć.

Pogłębiało to znacznie moją depresję. Poszłam do mego pomieszczenia i płakałam, płakałam wiele godzin. Straciłam nadzieję na podbicie Salomona, straciłam chęć do pracy nad tekstem, straciłam wszystko; miałam zostać tylko z moją niepokieszoną i wieczną brzydotą. Nie widziałam już w życiu żadnego sensu.

Postanowiłam skończyć z tym wszystkim za jednym zamachem. W śmierci miałam znaleźć sposób na moje cierpienia. Najpierw napisałabym list do Salomona wyjaśniając moje motywy i zapewniając, że go kochałam na zawsze. Potem podejrnęłabym sobie gardło i moja krew oblałaby pergamin. Może

stałby się przez to nieczytelny, ale to już by nie miało znaczenia.

Przed śmiercią uratowało mnie moje bałaganiarstwo. W moim pomieszczeniu była mała kuchnia ze sztućcami, brakowało jednak noża. Pamiętałam, że poprzedniej nocy obierałam nim jabłko, ale gdzie go odłożyłam? Znikł, jak zaczarowany. Rozpoczęłam chaotyczne poszukiwania.

W tym momencie rozległo się stukanie do drzwi: ponownie, królewski strażnik. Salomon chciał mnie widzieć. Mogłam mu powiedzieć, teraz nie mogę, właśnie mam się zabić, powiadom swojego króla, że brzydula opuści ten świat; ale usłyszałam w tym wołaniu zew losu. Najważniejszy w tym był dowód mądrości i wrażliwości monarchy. Z pewnością zdał sobie sprawę z tego, w jakim byłam stanie (biedaczka może popełnić jakieś głupstwo, odeszła stąd tak zrozpaczona) i kazał mnie zawołać. Mimo tego wahałam się. Czy warto było wypełnić to polecenie? Cóż takiego mógł mi powiedzieć Salomon czego bym już sama nie wiedziała? Ale nie miałam nic do stracenia. Jak mawiali starcy z mojej wsi, zawsze jest czas, żeby się zabić. Ubrałam się i podążyłam za strażnikiem.

Król był sam i nie siedział na tronie, lecz na wygodnej ławie. Wydawało się, że już zapomniał o niedawnych wydarzeniach; miał wygląd przyjazny i uśmiechał się. Podniósł się, doszedł do mnie i ujmując mnie za rękę zachęcił, bym siadła przy nim. Pomimo wszystkiego, zapewniał, był bardzo zadowolony z mojej pracy – wyniki przekraczały znacznie jego oczekiwania. Objął mnie, pogłaskał mnie po twarzy. I gdy zaczęłam płakać,

powiedział: płacz, ukochana żono, wylej swe łzy, to ci pomoże.

I w istocie pomogło. Odeszłam stamtąd mając pewność, że nawet jeśli nie kochał mnie, to miał dla mnie uczucia, uczucia, które z czasem mogłyby przemienić się w miłość. Potrzebowałam wielkiej cierpliwości, wielkiej wytrwałości. Jak rolnicy z moich stron gdy starali się hodować delikatne roślinki na wypalanej słońcem ziemi. Pewnego dnia miał tam wypuścić pąk kwiat uczucia.

Poszłam do sali starców z innym nastawieniem. Nie byłam ożywiona, lecz pokrzepiona. I na szczęście narracja, którą miałam redagować, nie była taka zła. Owszem, potop likwidował ludzkość i wszelkie żywe twory (co za przewiny, w końcu, popełniły kalafiory?), ocaliły się, rzecz jasna, ryby, które w tej olbrzymiej masie wody miały co świętować. Ale na otarcie łez Bóg dał ludzkości szansę, pozwalając, by Noe ocalił się w Arce. Nieźle się ubawiłam wyobrażając sobie wsiadanie zwierząt do tej Arki i życie codzienne w niej... Przynajmniej były tu ciekawe rzeczy.

I nie tylko to. Było to objawieniem. Nagle ujrzałam siebie zamiast Noego, na pokładzie wielkiego i dziwnego okrętu, rozmyślającą o ogromie wód, tym rozległym oceanie bez wysp, bez plaż, ciekłej powierzchni odbijającej niezgłębioną twarz Boga. Tak jak Noe, byłam ocalona; ocalona z mego nieszczęścia. Nie miałam utonąć w oceanie własnych łez; praca była moją małą, skromną Arką. Wgnana z tekstu, którego nie mogłam już więcej rozpoznać, mogłam się ocalić nie w wierszach, lecz między wierszami. I tam miałam pozostawić mój

niemy i zakodowany przekaz, posłanie, które jak butelka ciśnięta do morza, mogło kiedyś dotrzeć do kogoś, w dalszej czy bliższej przyszłości. I miałam tam się zmieścić, świętując miłość Adama i Ewy, i wielu mężczyzn i kobiet, których imiona nie były zapisane w zapleśniałych notatkach starców, ale nie figurując tam nie tracili swego znaczenia jako istoty ludzkie. Ja też miałam być bezimienna, lecz ślady mej pasji utrwaliłyby się, w jakiś sposób, w manuskrypcie.

Tej nocy spojrzałam do lusterka. Znowu wydało mi się, że się zmieniałam: moje rysy utraciły nieco swą twardość, a wyraz oczu miał trochę słodczy. Byłam pewna, że znalazłam drogę – w życiu i w tekście. Będą potrzebne liczne pokolenia, w temacie, który opisywałam, bym dotarła do mego losu – ale byłam pewna, że zdołam to uczynić.

A kolejne pokolenia przesuwały się – w opowieści starców, która nie zajmowała się już ludzkością, a skoncentrowała się na Hebrajczykach, począwszy od patriarchów. A w tym terenie zrećznie się poruszali. Na patriarchacie bez wątpienia znali się i podkreślali, że był to doskonały model, ojciec wszystkich modeli. I pomyślałam, że być może była tam polityczna gierka: na początku patriarchowie, potem sędziowie, na końcu królowie, i chcieli tym zasugerować, że była ciągłość władzy poczęta w niepamiętnych czasach i sięgająca szczytu u ich władcy, Salomona. Tego ujęcia nie mogłam – ani też nie chciałam – kwestionować. Ich gruboskórnemu makiawelizmowi musiałam przeciwstawić inny, przyjazny makiawelizm, makiawelizm zamaskowanego uczucia. Odbiegałam, by później, jak gazela,

przeskoczyć ponad przeszkodami i biec przez łąki miłości.

Więc jedynie spisywałam historię owych patriarchów, którzy wydawali mi się aż za bardzo niezdecydowani, co wyjaśniało ich usiłowania, by zadowolić Pana. Jehowa każe, Abraham jest posłuszny, nawet gdy to posłuszeństwo oznacza poświęcenie własnego syna. Co najwyżej ośmiela się na mały targ, dzięki któremu otrzymuje od Pana progresywną redukcję kwoty sprawiedliwych dla uratowania Sodomy.

Trzeba oddać sprawiedliwość, pojawiały się i kobiety, miały pewną rangę i poważanie. Oczywiście, nie były im obce ludzkie słabości: Sara wyrządziła krzywdę biednej Hagar, z którą Abraham miał syna, ale wydaje się, że to było normą wśród władz plemiennych. Ale ten starzec, który próbował się dobrać do mnie, wyrządził mi krzywdę dużo gorszą. I tak nawiasem, odbierał sobie z procentami i podatkiem za rzekomą obrazę, której doznał. Kiedy mógł tylko, upokarzał mnie.

– Pisz tu: Rebeka, żona Izaaka, była bardzo piękna. Słyszysz? Była bardzo piękna. Izaak nie wybrałby na żonę niewiasty brzydkiej. Ani Jakub. Zakochał się w Racheli, bo była piękna. W świętym przekazie nie ma miejsca dla brzydoty. Brzydota to obrzydliwość.

Jeśli pominąć te afronty, to opisywanie patriarchów wywarło na mnie nieoczekiwany wpływ: pomogło mi zrozumieć mego ojca. On miał się, oczywiście, za potomka Abrahama, Izaaka i Jakuba. W tym świetle jego arogancja wydała mi się nawet zrozumiała. Oddalenie pomniejszało jego wady; z czasem bym

mu wybaczyła. A tu on sam pojawił się w pałacu.

Była to niespodzianka: zjawił się bez zapowiedzi. I nie dla mnie przybył. Oficjalną przyczyną jego podróży była okresowa wizyta w Świątyni w celu wypełnienia obowiązków religijnych. Ale naprawdę pojawił się, by wzmocnić swe polityczne więzy z Salomonem, i oczywiście przy okazji, by mnie zobaczyć: w końcu, byłam jego córką i to w dodatku wydaną za króla.

Sam Salomon przyprowadził go do mego pomieszczenia. Otworzył drzwi i z uśmiechem oznajmił:

– Mam dla ciebie niespodziankę. Odwiedziny.

Po czym wszedł mój ojciec, hałaśliwy i denerwujący, jak zawsze.

– No popatrzmy na moją córeczkę! Dziewczynka, którą nosiłem w ramionach – teraz jest królową!

Wyściskał mnie dobrodusznie; potem, obejrzał od głowy do stóp, nie ma gadania, dobrze cię tu traktują, jesteś bardzo elegancka. Oczywiście nie powiedział, że byłam ładna, ale kto by wymagał tak wiele. Salomon przyglądał się scenie z rozbarwieniem; potem powiedział, że ma wiele rzeczy do zrobienia i przeprosił, że musi się oddalić.

– Fajny facet, ten król – skomentował ojciec. Rozejrzał się wokół, aprobując to, co ujrzał. – Dobrze ci się tu mieszka. Ten

twój pokój jest większy niż cały nasz dom.

Zapytał jak się toczyło moje życie w pałacu, co robiłam całymi dniami. Zbywałam go wymijającymi odpowiedziami. Nagle, dostrzegł półki pełne pergaminów. Twarz mu się ściągnęła:

– A ty ciągle masz tę manię pisania? Myślałem, że już skończyłaś z tym gównem.

Teraz miałam dość pogrywek. Tak, piszę, powiedziałam, i tylko to robię przez cały dzień.

– To praca na prośbę króla – dodałam sucho.

– Praca? – widać było, jak to go ubodło; praca była zajęciem dla niewolników, nie dla królewskiej żony. – A to co za historia? Nie po to cię oddałem Salomonowi. Dałem cię jemu po to, żebyś zajęła honorowe miejsce w haremie. I zamiast tego ty tu siedzisz i piszesz! Co za sraczka!

Zamilkł, rozwścieczony. Ale wnet wrócił do ataku, tym razem szukając kozła ofiarnego. Kozy ofiarnej.

– To twoja wina. Kto ci kazał nauczyć się czytać i pisać? Wiedziałem, że ta historia źle się skończy. Mówiłem twojej matce: to nie jest zajęcie dla kobiety, zajęcie kobiety jest inne, w łóżku. Nawet ja, który jestem twoim szefem, nie umiem czytać i pisać. Na co potrzebowałaś wdać się w to cholerstwo? Nie wystarczała ci twoja brzydota, to musiałaś jeszcze odstawiać inteligentną? No i oto wyniki: reszta siedmiuset kobiet jest tam, w haremie, nic nie robią, jedzą smakołyki ile wejdzie,

kąpią się, perfumują się, a ty tutaj, marnujesz swoją dupę na krześle, pracując z tymi gównianymi pergaminami. Czy zdajesz sobie sprawę co to za wstyd dla mnie? I co ja mam powiedzieć jak pójdę do Świątyni i spotkam się z innymi szefami plemion? No, co mam powiedzieć? Że moja córka pracuje jak niewolnica? Nie potrafię zrozumieć co tu się dzieje. Za nic w świecie nie mogę tego zrozumieć.

Zaledwie wywalił to z siebie, coś mi przeszło przez głowę – i nagle jego twarz pociemniała.

– Chcę wiedzieć jedną rzecz – wyrzekł bardzo złowieszczym tonem. – Czy on cię już rozprawiczył?

A niech to szlag. Nie miałam odwagi stawić mu czoła. Nagle, znowu byłam wystraszonym dzieckiem, na które krzyczał i które czasami uderzył: bo wylałam kubek mleka kozy, bo nie zamiotłam domu – zawsze coś było nie tak w tym, co robiłam, poza tym, że urodziłam się brzydka, co też było moją winą i moją olbrzymią wadą. A może raczej pożałowałam tego człowieka, który koniec końców był zaledwie tępym wieśniakiem i którego wielkim osiągnięciem by było ujrzeć córkę jako ulubioną żonę króla. Więc uciekłam się do kłamstwa.

– Tak, ojczu. Już mnie rozprawiczył. Spełnił swój obowiązek.

– Przynajmniej tyle dobrego. – Był nadal rozeźlony, ale przyniosło mu to ulgę. W tym nieszczęściu coś zostało jednak uratowane: małżeństwo było skonsumowane, jego honor nie został splamiony. Szczęśliwy, że mógł zmienić temat, zaczął

opowiadać o Świątyni, gdzie był z rana, spełniając swe religijne powinności. Coś wspaniałego, ta Świątynia, z marmuru i cedru, wszystko pokryte złotem – luksus. W takiej Świątyni aż miło było składać ofiarę. Rozentuzjasmowany, przykazał zabić trzy owce, chociaż jedna jedyna by w pełni spłaciła jego należności wobec najwyższych sfer. Miał się za człowieka sprawiedliwego, choć jego wrogowie, a wielu ich było, myśleli inaczej i głosili wokół, że ...

Umilkł. Przez chwilę pozostał w milczeniu, z chmurnym wyrazem swej udrećzonej twarzy. I opanowanym głosem, w którym był cień zwątpienia, zapytał:

- Powiesz tam o mnie?
- Gdzie? – nie rozumiałam o co mu chodziło.
- Niby w tej księdze. Będiesz tam o mnie mówiła?

To pytanie zabrzmiało tak absurdalnie, że wybuchłam śmiechem. A gdy śmiałam się, on, zakłopotany i zirytowany, patrzył bez zrozumienia. Wreszcie opanowałam się.

– Nie – powiedziałam ocierając oczy. – Nie będę pisała o tobie.

– Ach, to dobrze. Nie chcę, żeby ktoś o mnie pisał. Jak zechcę opowiedzieć mój żywot, będzie to po mojemu. I napisze to mój zaufany skryba. Co do ciebie, to pisz sobie o królach i prorokach i o kim chcesz, ale nie o mnie. Nie potrzebuję tego.

Ale ta arogancja źle ukrywała rozczarowanie. W głębi duszy, może tylko przelotnie, żywił nadzieję, że w opowieści pojawi

się obok Salomona, potężnego króla, budowniczego Świątyni – szczególnie, że dał władcy swoją córkę za żonę.

Był tak zmieszany, że postanowiłam zmienić temat. Spytałam o matkę i o siostry. Wykonał niejasny gest, jakby mówiąc: po staremu, żadnych nowin. I wtedy pomyślałam, że może wie coś o pastuszku. Zebrałam się na odwagę i zapytałam o chłopca.

– Ten, co pieprzył kozy? – Zaśmiał się wzgardliwie. – Dostał za swoje. Gdy opuścił wioskę, znalazł się tu, w Jerozolimie, z pewnością planując jakieś draństwo. Ale źle się to dla niego skończyło: wdał się w bójkę z żołnierzami Salomona. Goście obcięli mu ramię. Uratował się przed śmiercią tylko dlatego, że wypalił kikuta wrzącym olejem. No i wrócił do wioski.

Zmarszczył czoło.

– Nawiasem, opowiadał jakąś bardzo dziwną historię. Mówił, że żołnierze go zaatakowali, bo nie chciał oddać im listu – listu, który ty miałaś napisać do mnie. Pisałaś do mnie jakiś list?

– List? – Nie sądziłam, że byłam zdolna do takiej hipokryzji, udałam w doskonały sposób zdumienie: bez wątpienia szybko uczyłam się kłamać. – Nie. Nie pisałam żadnego listu.

– Wiedziałem – powiedział triumfalnie. – Wiedziałem, że ten drań kłamał. Nie był nic wart, ten łachudra. Za dobry byłem dla niego. Powinienem był kazać ukamienować go na śmierć. Ale żał mi się go zrobiło, no i co z tego wyszło?

– I co stało się z gościem? – spytałam tak obojętnym jak przedtem tonem.

Wzruszył ramionami.

– Wysłałem go precz. Niech zatrzyma swoje historyjki dla innych klientów.

– I co, poszedł?

– Poszedł. I wiesz, co teraz robi? Wstąpił do bandy religijnych fanatyków kierowanej przez jakiegoś starego wariata. Mówią, że są obrońcami religii, ale to po prostu bandyci. Atakują żołnierzy Salomona. Szaleństwo. I bezwstyd. Kto to widział, podważać autorytet króla? Nigdy nie mieliśmy takiego monarchy jak Salomon, i nigdy nie będziemy mieli. Popatrz na Świątynię. Popatrz na pałac. I jaki wizerunek ma on w świecie – nigdy o królu Izraela nie miano za granicą lepszego zdania. Zresztą, sława w pełni zasłużona. Człowiek tak inteligentny, tak mądry...

Zaczął mi opowiadać historię o dwóch kobietach, które kłóciły się o oseska, ale już go nie słuchałam: myślałam o pastuszku, który się dla mnie poświęcił. Miałam obowiązek zrobić coś dla biedaka. Ale jak mu pomóc, jeśli jest uciekinierem i nie wiadomo gdzie przebywa? Teraz było za późno. Musiałam nosić w sobie tę winę.

Ojciec oznajmił, że udaje się do sali tronowej, gdzie Salomon ma go przyjąć. Spytał czy chcę, żebyśmy poszli razem. Nie, nie chciałam. Miał omawiać z królem istotne kwestie, które mnie nie dotyczyły. Audiencja miała trwać godzinę, a po niej

ojciec miał się udać w drogę powrotną: droga do wioski była długa. Więc od razu się pożegnaliśmy. Przykazał, bym dbała o siebie i dobrze się zastanawiała nad tym, co zamierzałam pisać w owej księdze. W nagłym odruchu, objął mnie; a potem, wpatrując się we mnie z wilgotnymi oczami wyznał, że jego wielkim marzeniem byli męscy wnukowie, którzy by przedłużyli jego ród, a najlepiej z dodatkiem królewskiej krwi, co tylko ja mogłam załatwić. Spytał kiedy będę miała syna. Odpowiedziałam, że nie wiem, że nie potrafię tego przewidzieć: w tej materii decyzja należała tylko do króla.

– Podsunę mu delikatną aluzję – powiedział z uśmiechem, który miał być kumpelski, ale wyszedł groteskowo.

Uścisnął mnie i poszedł. A następnego dnia byłam z powrotem przy stole, pisząc tekst.

Szybko weszliśmy w rutynę. Codziennie miałam odprawę ze starcami. Po długich dyskusjach z nimi, konsultując stosy pergaminów wybierałam to, co było istotne dla księgi. Stary obrzydliwiec, zawsze z miną bardzo sobą przejętego, odgrywał czasami rolę prelegenta. Do niego należało także formułowanie zastrzeżeń dotyczących mojej pracy, lecz te zastrzeżenia stawały się coraz radsze w miarę jak chwytalam, co dawało się zrobić. Przykazaniem było, by niczego nie wymyślać. Wdając się w tekst, miałam ominąć osobiste spojrzenie, szczególnie gdy miało coś kontestować. Bądź neutralna, bezosobowa. Nic

z komentarzy na uboczu. To ma zostać, mówili starcy, dla mędrców z przyszłych pokoleń. I byłam posłuszna. Jasne, że niektóre urywki dziwiły mnie. Dlaczego Józef nie przeleciał żony Potifara, z czego wszyscy by byli zadowoleni, łącznie z Potifarem? Chowałam dla siebie tę wątpliwość. Starcy byliby obrażeni gdybym o to zapytała. Tak czy inaczej, nie miałam więcej ochoty na pyskówki; po prostu przestały mnie podniecać. W chwilach najgorszej depresji myślałam o odejściu, o ucieczce z haremu, o pójściu gdzieś, gdzie nie trzeba było pisać, ani myśleć, ani dyskutować. Ale wtedy stawała przed moimi oczami postać Salomona i moja miłość do niego wywierała na mnie potężny wpływ. Odzyskiwałam jakoś energię i wracałam do pracy, jakby ona nie była okropna. Nie wiedziałam, że los chował dla mnie w zapasie inną gorzką próbę.

Zdarzyło się to pewnej nocy. Gdy już wpadłam w robotczy rytm, mój sen, dawniej niespokojny, stał się przyziemny i ciężki, sen bez snów. Żadnych chudych krów i tłustych krów, przy mnie Józef nie miałby nic do roboty. Ale owa noc była odmienna. W pewnej chwili obudziłam się przestraszona, słysząc śmieszki, szepty, jęki rozkoszy – co to było? Czy odchodziłam od zmysłów?

Nie, to działo się rzeczywiście, hałasy dochodziły z przyległych komnat. Była to jedna z sypialni Salomona – miał ich wiele, rozsianych po pałacu. Mawiano, że czasami chodził od jednej sypialni do drugiej, zajmując się czekającymi tam

kobietami, ale to mi wyglądało na reklamę jego seksualnych możliwości; prawdopodobniejsze było to, że szło o względy bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, słyszałam króla, od razu rozpoznałam jego głos, typowy dla niego śmiech – zajmującego się którąś z kobiet z haremu. Najwyraźniej świetnie się bawili. Z tego co słyszałam, niczego tam nie brakowało: teraz pociągnij, a teraz połóż się na brzuchu.

Że pieprzył, w porządku, to było jego przywilejem. Że przebiegał od początku do końca katalog zbroczeń, okej, okej. Ale dlaczego w tej sypialni? Czyżby nie wiedział, że byłam po drugiej stronie ściany, siedząc na łóżku, z szeroko otwartymi oczami, zaciśniętymi pięściami, słuchając, słuchając, słuchając?

Jasne, że wiedział. Wiedział wszystko. Czy nie był najmądrzejszym człowiekiem na świecie, człowiekiem, który rozmawiał z ptakami? Wiedział, na pewno wiedział. A jeśli wiedział, to były dwie możliwości: albo to lekceważył, albo tego nie lekceważył.

Jeśli to lekceważył, to powinnam raz na zawsze pozbyć się moich złudzeń: odrzuć wszelkie twoje nadzieje, ty brzydka i piśmienna, schowaj swoje grzechotki i idź śpiewać w innej gospodzie, zapomnij od razu Salomona, o którym śniłaś, a który w środku nocy cię obudził wyjaśniając swoimi jękami orgazmu zbędność twych miłosnych cierpień.

Okrutny wniosek; ale przynajmniej uświadamiał mi bezlitosną rzeczywistość. Musiałam zdecydować czy ciągnąć tę kome-

dię czy nie. Co mi przyjdzie z udawania, że jestem królewską żoną. Albo zgadzam się na to pisanie książki bez żadnych oczekiwań, albo odchodzę od razu, najchętniej w jakieś dalekie miejsce: na przykład na pustynię. Tam mogę zamieszkać w jaskini, sama z moim bólem i smutkiem. I z moim kamieniem.

Ale była i druga możliwość: kto wie czy nie pamiętał dobrze, że byłam w sąsiednim pokoju. A jeśli pamiętał, to po co były te rozpustne dźwięki? Sadyzm? To nie był jego styl. Rozgłaszał nawrót potencji? Ale po co, żeby mnie zdobyć? Mnie, która oddawała mu się bez skutku?

Była tylko jedna wyobrazalna odpowiedź. Salomonowi nie chodziło o seks, a o księgę. Seksu mu nie brakowało. W jego przypadku, w oczywisty sposób podaż przekraczała popyt, miał o wiele więcej kobiet niż był w stanie zaspokoić, nawet przy pomocy swoich legendarnych magicznych mocy. Przepuszczalnie pieprzenie się było dla niego poświęceniem, obowiązkiem etatowym. Inaczej było z księgą. Księga miała wypełnić jego potrzebę uznania, udokumentowania. On sam powiedział, że księga ma przynieść mu sławę. A wiedział, że księga to ja. Z każdym dniem stawało się to coraz bardziej oczywiste. Ale też było oczywiste, a on zbyt bystry, by tego nie dostrzec, że moja pracowitość miała swoje granice. A więc słał pewne sygnały, aluzjami składając obietnice. Dźwiękową ścieżką, że tak powiem: pisz swój tekst jak się należy, a będzie dla ciebie miejsce w moim łóżu; cała rozkosz, którą te jęki i szept i śmiechy sugerują, będzie cię oczekiwała. To jak inwestycja w banku przyjemności. Któregoś dnia będziesz mogła

odebrać wszystko razem z procentami, na które zasługujesz. I zobaczysz na co stać Salomona. Brzydka czy nie, przeżyjesz noce pełne orgii.

To jasne, że ta audycja rozpałała moje pożądanie. Co za żądza (i co za tęsknota za kamieniem. Ten przynajmniej nigdy mnie nie upokarzał, nie zostawiał mnie w przedsiionku). Więc musiałam przyznać, że gdy chodziło o przebiegłość, to ten król – potrafiący nawet rozmawiać z ptakami – umiał dopiąć swego. Wpadłam w jego pułapkę. W pewnym sensie, stawałam się niewolnicą jego przedsięwzięcia. Jak Hebrajczycy, przykładający się gorliwie do budowy piramid, każdego dnia dokładałam moje kamienie do jego literackiego pomnika. Owszem, byłam zależna od faraona dobrotliwego, który życzliwie mnie traktował. Ale i tak była to niewola i w tej niewoli nie było żadnego Mojżesza, by mnie uwolnić; wody morza (a w Jeruzolimie daleko mieliśmy do morza) nie miały się dla mnie otworzyć, bym kroczyła do Ziemi Obiecanej. Chyba że pastuszek, biedny pastuszek, przyszedłby ze swymi partyzantami, by mnie wyzwolić. Nieprawdopodobne. Zresztą, nic by z tego nie wyszło: żołnierze Salomona załatwiliby ich w trymiga.

Z czasem przyzwyczaiałam się do orgii w sąsiedniej sypialni, przyzwyczaiałam się do rutyny pracy. Nie było przecież wyboru. Nie wychodziłam z pałacu; co najwyżej pozwalano mi czasami odwiedzać harem. Teraz kobiety inaczej na mnie patrzyły, z podziwem i nawet z dozą szacunku. Nadal byłam

brzydka, ale brzydka szanowana, brzydka, której Salomon powierzył ważne zadanie. Zmieniło się także moje nastawienie do nich. Na miejsce pogardy, którą odczuwałam dla tego babinca, po nieudanym ruchu protestu, który usiłowałam zorganizować, weszła pełna rezygnacji tolerancja, zrozumienie, a nawet sympatia. Jak i ja, przybyły z odległych miejsc; jak i ja, były tu głównie, by przypieczętować sojusze; jak i ja, marzyły o łożu króla – i wiele z nich jak i ja, go kochały. Odmiennie ode mnie, w większości, były pięknymi kobietami; i odmiennie ode mnie, nie umiały ani czytać, ani pisać, nie miały nic do zrobienia w życiu, jeśli nie liczyć oczekiwania na wezwanie króla. W sumie, wszystkie byłyśmy kobietami i widząc je w haremie czy na podwórku przed haremem, gdy rozmawiały, lub bawiły się czy śpiewały, zadawałam sobie pytanie: czy nie byłoby wśród nich przyjaciółki, kogoś, kto by mógł odegrać w moim życiu rolę, którą starały się wziąć na siebie moje siostry, a które brutalnie odpychałam?

* * *

Gdy nawiedzały mnie takie wątpliwości, w rozwijającej się wtedy narracji ukazało się odgałęzienie, zaskakująca nawet mnie odmiana. Zostawiliśmy już za sobą Mojżesza, egipskie plagi, przejście przez Morze Czerwone, wędrówkę przez pustynię do góry Synaj; zburzenie murów Jerycha przez Jozuego, zdobycie Kanaanu po zacieklej walkach... Czyli, more of the

same: wiele bitew, wiele przelanej krwi.

I zniemacka pojawiły się Noemi i Rut. To był prawdziwy szok, coś, czego magiczna moc zdołała wyrwać mnie z codziennej apatii, przywołać wzruszenie. Historia przyjaźni dwóch kobiet, teściowej i synowej, Hebrajki i Moabitki, starej i młodej, wzruszyła mnie do łez. Spędziłam wiele godzin myśląc o nich, o ślubie wierności. Po czym siadłam do pisania i pracowałam, wkładając w to całe serce. Przygotowałam trzy wersje, aż nabrałam przekonania, że tekstu nie da się już ulepszyć. Gdy w końcu odczytałam go starcom, zaczęłam szlochać. Kiedy indziej zareagowaliby z irytacją – tak to się kończy, dopuścić kobietę do redakcji świętego tekstu, kobiety nie są obiektywne, nie umieją panować nad sobą – ale tym razem zachowali milczenie przepojone szacunkiem, a nawet, powiedziałabym, solidarne. Wiedzieli, że moje emocje zrodziły się z głębokiego utożsamienia się z tymi dwiema kobietami.

W następnych dniach wiele myślałam o historii Noemi i Rut. Było to przesłanie pisane nie dla Salomona, jak w przypadku Adama i Ewy, ale dla mnie samej. Naszła mnie myśl, że nie muszę być sama; owszem, mój królewski mąż mnie ignorował, rodzina była daleko (a gdyby nie była, niewiele by to dało), ale mogłabym szukać wsparcia w przyjaciółce. To słowo było dla mnie nowe; na przykład, w wiosce nigdy nie zawarłam z nikim przyjaźni: byłam brzydka, odsunięta. Ta sytuacja powtórzyła się w haremie; ale czułam, że wśród tych wszystkich kobiet musi istnieć choć jedna, która by dla mnie była bliźniaczą duszą. Towarzyszką, którą musiałam spotkać.

* * *

I spotkałam. Było to pewnej nocy, dusznej nocy tego gorącego lata. Przez wiele godzin usiłowałam pracować nad manuskryptem. Bez rezultatów; po historii Rut i Noemi, dalsza opowieść wydawała mi się nieciekawa, pozbawiona uczuć. Wyczerpana, poniechałam pisania i położyłam się. Ale i zasnąć nie udawało mi się, więc postanowiłam wyjść na małą przechadzkę. Szłam bez celu korytarzami pałacu, a strażnicy obserwowali mnie z zaciekawieniem i nieufnością. W końcu, doszłam do haremowego ogrodu.

Wielki księżyc oświetlał miejsce, które o tej porze – była prawie północ – było opustoszałe. Lecz nie, była tam jakaś siedząca kobieta. Znałam ją tylko z widzenia; wiedziałam, że nie była żoną, lecz konkubiną. Uśmiechnęła się widząc mnie.

– Widzę, że nie możesz zasnąć. – Po przerwie dodała: – Jak i ja. Od wielu lat cierpię na bezsenność. Przychodzę więc tu, by trochę pomyśleć o życiu, powspominać sobie.

– A warto? – spytałam.

Znowu uśmiechnęła się.

– Nie wiem. Ale w braku czegoś lepszego ... Chodź, usiądź tutaj.

Siadłam i zaczęłyśmy rozmawiać. Najpierw o banalnych rzeczach, potem o poważniejszych, mówiłyśmy, mówiłyśmy. Jak gdybyśmy były od zawsze przyjaciółkami.

Nosiła imię Mikol. Była nadal ładna, pociągająca, choć niezbyt młoda. W istocie, była jedną z pierwszych konkubin, które nabył Salomon, a było to w okresie gdy rynek kobiet był nasycony.

– Król kupił mnie tanio. Już przedtem byłam konkubina; mój pierwszy właściciel był chamem, każdej nocy bił mnie. Ale kiedy oznajmił, że odchodzę do królewskiego pałacu, że mnie sprzedał Salomonowi, bałam się. Czy nie zamieniałam tyrana na jeszcze gorszego? Lecz gdy ujrzałam naszego króla, naszego władcę, natychmiast zakochałam się. I muszę ci powiedzieć, że było to odwzajemnione uczucie. Wtedy był on jeszcze bardzo młody, więc i bardziej podniecony, ale też i niedoświadczony. Był smutnym człowiekiem. Mądrym, ale smutnym – cóż, mądrość nikogo nie czyni wesołym. Ponadto, problemy z jego ojcem pozostawiły w nim głęboki ślad. Bo to był ogier, ten król Dawid. Syn wiedział o tym i ta wiedza nie dawała mu spokoju. Nie umiał się pieprzyć, biedaczek. Pewnego dnia wyznał mi: właśnie dlatego kupił konkubinę, że nie umiał się kochać. Prosił mnie, żebym go wprowadziła w sztukę seksu, bo nie mógł tego oczekiwać od żon, tak jak on bez doświadczenia. Z przyjemnością podjęłam się tej misji. Od razu było jasne, że trzeba było iść bardzo powoli, prowadząc go krok po kroku. Nie było to łatwe, z powodu jego niepokoju, obawy przed plajtą. Czasami byliśmy w łóżku, leżał na mnie, i nagle zaczynał powtarzać: nie dam rady, nie dam rady. Wtedy go uspokojałam, zaczynałam podniecać od nowa, i wyzwał się w nim wulkan.

Zamilkła, przez chwilę patrząc zagubionym wzrokiem, przypominając sobie te chwile.

– Mieliśmy parę tygodni namiętności – mówiła dalej. – Potem zakupiono inne konkubiny. I nadciągały ciągle żony, w wielkiej liczbie. Więc Salomon miał ręce pełne roboty...

Zaśmiała się.

– I nie tylko ręce. Więc zeszałam na drugi plan, wiesz jak to jest? Ale nie martwiłam się tym, wiedziałam, że pewnego dnia to musiało nastąpić. Zostałam czymś w rodzaju konsultantki do spraw seksualnych. Wołał mnie: słuchaj, Mikol, ta żona, co przybyła z Północy, jest oziębła, co mam robić? Pouczałam go jak sobie z tym radzić. Mikol, ta brunetka jest strasznie zazdrosna, jak to rozwiązać? Podsuwałam mu sugestie. Gdy liczba kobiet bardzo wzrosła, znowu udał się do mnie. Jak to zorganizować, żeby obsłużyć wszystkie? Jego pierwszą myślą było zapraszać do łóżka kobietę w dniu jej urodzin; zwróciłam mu uwagę, że różne kobiety mogły mieć tego samego dnia urodziny i to by skomplikowało sprawę. Użyj swojego własnego kryterium, powiedziałam mu, i niech nikt się nie dowie jakie ono jest, miłość potrzebuje tajemniczości. Zadziwił się wtedy: powiedział, że byłam mądra, mądrzejsza od niego. I że nie zapominał też o mnie jako o kobiecie. Gdy miał ochotę na naprawdę ostry seks, właśnie mnie wzywał.

– A on, jaki on był w łóżku? – Ciekawe, że zadałam jej to pytanie. Gdyby jakakolwiek inna kobieta mi opowiadała o swoich przygodach z Salomonem, umarłabym z zazdrości, z zawiści.

Ale z Mikol od razu czułam, że mogłam rozmawiać na ten, tak trudny dla mnie, temat. Czy to była przyjaźń? Tak, pojęłam to oczarowana, to były narodziny przyjaźni. Nie wiem czy ona odczuwała to samo, ale odpowiedziała mi w naturalny sposób:

– Dobry. Nie był czymś wyjątkowym, ale był dobry. Zostawię skromność na boku i powiem, że dzięki moim naukom znacznie się poprawił. W skali od zera do dziesięciu, dałabym mu siedem. A może nawet osiem, zależnie od dnia. Czasami bywał wręcz natchniony, innymi razami nie potrafił się skoncentrować. Jak na zapracowanego króla, mającego na głowie mnóstwo kłopotów, był całkiem niezły. Czego mu brakowało w energii, nadrabiał obyciem. A potem przyjemnie się z nim gawędziło. Wspaniała głowa. Rozmawiał z ptakami... Wielka głowa. Znał wszystkie pozycje w łóżku, że nie powiem ci. Nauczył się od jakichś królów ze Wschodu.

Może dlatego, by nie zranić moich uczuć – choć ta ostrożność była zbędna – Mikol wyjaśniła, że to wszystko, co mi opowiadała, było przeszłością: w miłosnej historii Salomona była ona w dawno czytany rozdziale.

– Byłam ważna, ale już nie jestem. Wszystko w porządku, wystarczą mi wspomnienia. Zresztą potem był i kto inny.

Inny? Jak? W jaki sposób mogła spotkać się z innym mężczyzną? Mrugnęła:

– Kochana, mieszkam w haremie, ale nie jestem w nim uwięziona. Jasne, że niełatwo jest stąd wyjść, ale zawsze się znajdzie jakiś sposób. I tam, za murami, jest wielu przystojnych

mężczyzn. Nie tak dawno temu poznałam chłopaka, który był fantastyczny w łóżku. Nieco dziwny, ale...

Przerwała i przez chwilę milczała, zamyślona. Westchnęła:

– Moje przygody nie są ważne. Porozmawiajmy o tobie, to dużo ważniejsze.

Chciała wiedzieć skąd przybyłam, jak się toczyło moje życie, jak układały się moje stosunki z Salomonem. Opowiedziałam jej o królewskiej kłapie. Ku memu zaskoczeniu, rozbawiło ją to i powiedziała, że nie powinnam się przejmować: wcześniej czy później, nadejdzie moja godzina. I zdumiała mnie tym, że naprawdę zainteresowała się książką, którą opracowywałam. Nie, nie była zainteresowana, ale oczarowana.

– Spisać taką historię to chlubna rzecz, przyjaciółko, prawdziwa chwała. Ech, chciałabym znaleźć się w niej. Na przykład, u boku Salomona. Ale jest taki tłok. Siedemset żon, trzysta konkubin... Niemożliwe. Nie ma miejsca dla mnie. Chyba że w trzykropkach...

Ona nie umiała ani czytać, ani pisać, ale znała wszystkie znaki graficzne, kropkę, przecinek – który zawsze ją wprawiał w zadumę, a wykrzyknik i znak zapytania doprowadzały ją do śmiechu. I myślnik, znała też myślnik. Ale naprawdę lubiła trzykropek. Wiedziała, że tym wprawiało się osoby w zamyślenie, w rozważania o życiu, o świecie...

– Tak, w wielokropku może być dla mnie miejsce. Kto zobaczy te trzy kropki, powie: hm, czyli nie wszystko z tej historii Salomona dało się włożyć w słowa... Jest tam coś więcej. A gdy

się zastanowi co mogło być niedopowiedziane, może do spisu możliwości doda ruchanie się z pewną konkubiną... Wspaniałe ruchanie się...

Obiecałam jej, że w narracji o Salomonie wstawię trzykropkę. W rzeczywistości, szansa na to prawie nie istniała. Tak samo jak ona uwielbiała znaki graficzne, starcy ich nie cierpieli; po co znak zapytania czy wykrzyknik, jeśli Bóg nie pyta i nie zdumiewa się? Po co wielokropkę, skoro Bóg stawia wszystkie kropki nad i?

Wtedy jedyny raz okłamałam Mikol. W ciągu paru miesięcy naszej zażyłości – a spotykałyśmy się w ogrodzie prawie każdej nocy – nasze współżycie cechowała szczerłość. Szczerłość i przyjaźń. Kochałam ją. Mikol była dla mnie wszystkim: matką, która nie zbywała mnie obojętnie, ojcem, który nie był grubiański, siostrą, która nie kłamała, mężem, który nie odrzucał mnie. Przy niej czułam się szczęśliwa. Nie w pełni szczęśliwa; z powodu Salomona, to jasne. Starala się pocieszyć mnie. On cię przywoła, mówiła, to kwestia czasu. Ile tego czasu, chciałam wiedzieć, trochę czasu, dużo czasu? Tygodni, dni, lat? Pewnego dnia gdy niecierpliwie domagałam się od niej odpowiedzi, ona odpowiedziała z melancholią – jedyny raz w naszych kontaktach gdy się jej to wymknęło:

– Ty masz czas. To ja nie mam czasu.

Nie zrozumiałam jej. Czemu nie miałyby czasu? Nie była młodą kobietą, ale daleko jej było do starości. Czemu nie miałyby czasu?

Zamiast odpowiedzi, wzięła moją rękę i położyła ją na swoim brzuchu. Było w nim coś dużego i twardego, twardego jak kamień. Cięża, przyszło mi do głowy, i nagle opanował mnie przypływ zazdrości, tak gwałtowny jak absurdalny. Choć mi powiedziała, że nie miała już stosunków, wyobraziłam sobie, że nosiła dziecko – Salomona. I tym dzieckiem – synem króla – miała się zajmować, a nie mną.

Bez trudu odgadła co miałam na myśli. I uśmiechnęła się, choć ze smutkiem:

– Nie, nie jestem w ciąży. To by było trudne w moim wieku, nie sądzisz? Zresztą... Nie mogę przynieść dziecka na świat, nie jestem tego godna. Nie, to nie cięża. Mam wewnątrz guz, guz, który rośnie bez przerwy. To znaczy, że jestem bardzo ciężko chora. I że wkrótce umrę.

Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedziała, przede wszystkim z powodu jej zrezygnowanego spokoju. Miała guz? I miała umrzeć? Ale dlaczego? Czemu akceptowała to niesprawiedliwe, potworne przeznaczenie? Nagle poczułam się strasznie winna. Siedzę tu i skarżę się na moją brzydotę, jakby to była największa tragedia wszechświata, a biedna Mikol umiera. I ja, egoistka, nawet nie dostrzegłam jak poważny był jej stan. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie jak ona schudła i podupadła w ostatnich tygodniach. Była blada, osłabiona. Myślałam, że była na diecie, miała te manie, przez jakiś czas jadała tylko pomarańcze albo granaty. Ale teraz to nie była żadna dieta, to ja siebie oszukiwałam, to była choroba, choroba ciężka, śmiertelna.

– Ależ musimy coś z tym zrobić – powiedziałam, powstrzymując za wszelką cenę łzy. – Porozmawiam z pałacowym lekarzem, to dobry lekarz, on...

– Pałacowy lekarz powiedział, że to przegrana sprawa – prze-
rwała mi łagodnie.

Nie wytrzymałam więcej: wybuchłam płaczem. Płakałam za nią, płakałam za siebie. Poznałam przyjaciółkę, kogoś, komu mogłam ufać – i ta przyjaciółka miała teraz mnie opuścić. Chcę umrzeć, mówiłam, chcę umrzeć z tobą, bo gdzie ty pójdziesz, tam ja pójdę z tobą, a jeśli opuścisz ziemię, ja też ją opuszczę. Z uśmiechem (w którym nie brakło jednak dozy melancholijnego sceptycyzmu, bo bez wątpienia moje szloch-y wydawały się jej przesadą) starała się mnie pocieszyć: nigdy cię nie opuszczę, duchem zawsze będę przy tobie, takie słowa, które miłosierni umierający mówią synowi czy przyjacielowi.

Choroba rozwijała się szybko. Po paru dniach zostały z niej tylko skóra i kości. Guz rozrósł się straszliwie; a Mikoł była tak słaba, że już nie wstawała z łóżka. Siedząc przy niej patrzyłam przerażona na wyniszczone ciało, dodatek do złowrogiej masy, teraz całkiem widocznej, nieprzyzwoicie widocznej. W półotwartej nocnej koszuli widać było jej piersi, które podziwiałam jeszcze parę tygodni temu, tak były piękne. Te piersi, co z nimi się stało? Jedna z nich, lewa czy prawa, już nie pamiętam, jeszcze trzymała się nieco wzniesiona, jakby dzielnie

opierając się; ale druga, prawa czy lewa, była pomarszczona, zapadła, wyschnięta; ta pierś przestała już walczyć, ta pierś zaczęła już kroczyć po Dolinie Cienia Śmierci, z pozdrowieniami na prawo i na lewo, hej, Cieniu Śmierci, przybywam, co na to poradzić, hej, Cieniu Śmierci, chętnie bym uniknęła tej przechadzki, a przynajmniej poczekałabym tak, jak druga pierś, moja towarzyszka, ale co mogę zrobić, Cieniu Śmierci, zawsze byłam szybsza, zawsze chciałam szybko załatwić sprawy, gdy Salomon nas ssał ja zawsze pierwsza wznosiłam się i mnie twardniała sutka, a teraz jestem tu, jak zasuszony rodzynek, gorsza niż zasuszony rodzynek, bo on przynajmniej jest słodki i pożywny, a ja niczym takim nie jestem, jestem tylko wspomnieniem, gorzkim wspomnieniem. To właśnie mówiła mi jej pierś prawa albo lewa.

To mi mówiło jej zniszczone ciało. Z powodu zgniłego zapachu, który wydzielala, wyciągnęli ją z pawilonu konkubin i umieścili w odizolowanym pomieszczeniu, gdzie odwiedzałam ją codziennie. Kosztowało mnie to częste awantury ze starcami. Narzekali, że dzieło ma opóźnienie i domagali się coraz to większego wkładu pracy. Nie miałam najmniejszej ochoty pisać, ale sama Mikol mnie nakłaniała, bym to czyniła, więc siadałam przy stole i pracowałam, pracowałam. Opowieść przybliżała się do naszych czasów: dotarliśmy do księgi Samuela. Saul został już namaszczony królem i królestwo miało dojść do szczytu w Salomonie. Lecz nie interesowała mnie ta historia walk i intryg. Myślałam tylko o Mikol, o Mikol umierającej w małym pokoiku. Często oddawałam pergamin

z pismem rozmazanym moimi łzami.

Pewnego wieczoru jeden ze starców przyszedł do mnie na rozmowę; chciał się dowiedzieć co się działo. Moja niechęć do nich nie pomniejszała się i mogłabym odburknąć po prostacku, nie twoja sprawa, rób, co do ciebie należy a ja sama dbam o moje sprawy. Ale coś mi kazało opowiedzieć mu, że przyjaciółka umierała i nie mogłam opiekować się nią, bo musiałam spisywać opowieść, która dla mnie nic nie znaczyła, była zaledwie świadectwem próżności króla. To mu się nie spodobało: nie mów tak, powiedział, ta historia jest ważna, historia ludu, który realizuje boski plan. Ale to jeszcze bardziej mnie wzburzyło.

– Boski plan? Co to za gówniany boski plan, przez który umiera biedna kobieta, taka, która nigdy nikogo nie skrzywdziła? Ten wasz Bóg chce tylko ofiar i niczego poza tym. Ale żeby coś załatwić, to już nie jego sprawa. Popatrz choćby co zrobił z tym biedakiem Hiobem. Z powodu zakładu z szatanem pokrył go robactwem i strupami. Boski plan! I to jest ten twój boski plan?

Starzec mógł wściec się na mnie. Mógł krzyknąć: to wstrętne, wstrętne, albo coś podobnego. Mógł donieść na mnie Salomonowi. Ale nic nie zrobił. Czemu? Z litości nad moim cierpieniem? Czy dlatego, że potrzebował mnie? Nie wiem. Wiem tylko, że postanowił pocieszyć mnie. Powiedział, że w istocie Mikol ponosiła boską karę; wszyscy wiedzieli o jej występkach; zdradzała Salomona z wieloma mężczyznami, z dworzanami, strażnikami, a nawet z tym koślawym pastuszkiem, który jakiś

czas temu kręcił się wokół pałacu i grał na flecie. Salomon jej wybaczył, lecz nie mógł wybawić jej od boskiego gniewu.

Te niespodziewane wiadomości przygnębiły mnie. Owszem, wiedziałam o przygodach Mikol. Ale z pastuszkim? To dlatego krążył wokół pałacu? Ale w każdym razie, nie uczyniła niczego złego. Jeśli Salomon mógł mieć tysiąc kobiet, czemu Mikol nie mogła mieć paru afer? Tak czy inaczej, jego wyjaśnienie zatkało mnie. Powiedziałam starcowi, że wrócę do pracy i uczyniłam to. Aż do ranka pisałam, pisałam bez przerwy.

Następnego dnia stan zastałam Mikol w znacznie gorszym stanie. Zarządzająca harem, która była przy niej, pokręciła głową. To była kwestia dni, a może godzin. Mikol ją poprosiła, by wyszła, bo chciała porozmawiać tylko ze mną. Kobieta wyszła i nachyliłam się nad łóżkiem.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziała prawie niedosłyszalnym głosem. – Moją ostatnią prośbę.

Chciała przed śmiercią ujrzeć Salomona. Chciała kochać się z nim, ostatni raz; dopiero wtedy, i nie wcześniej, odeszłaby w pokoju. Uchwyciła moją rękę między swoje słabe, suche pazurki.

– Proszę cię, pomóż. Jeśli ty poprosisz, on cię usłucha. On mnie już nie potrzebuje, ale bardzo potrzebuje ciebie.

Co mogłam zrobić? Od dawna go nawet nie widywałam, nie wiedziałam czy zechce mnie przyjąć. Ale dla Mikol zrobiłabym wszystko.

Wyszłam i skierowałam się do dworzanina odpowiedzialnego za audiencje.

– Muszę porozmawiać z królem. To pilne.

Popatrzył na mnie nieufnie. Widać było, że nie lubił mnie. Skonsultował pergamin zawierający królewską agendę.

– Nie da się. Dziś i jutro cały czas jest zajęty. Różne zagraniczne delegacje... Nie ma jak.

Nalegałam: przy pisaniu książki znalazłam się w impasie, nie byłam w stanie iść dalej, praca zatrzymała się, i sam Salomon mi przykazał, że gdyby w jakiejś chwili pojawiły się trudności, miałam się z nim skontaktować. Dworzanin westchnął, i jeszcze raz przeglądął agendę.

– Chyba cię zaprowadzę teraz do niego. Ale masz tylko kwadrans, rozumiesz? Tylko kwadrans. Więc spiesz się.

Weszliśmy do sali tronowej. Salomon siedział tam na swoim tronie, przyjmował jakichś dygnitarzy z zagranicy. Bezceremonialnie wdrapałam się po stopniach gdy lwy zakreśliły z naganą głowami wyrzeźbionymi w drewnie, i szepnęłam mu do ucha:

– Salomonie, musisz odwiedzić Mikol. Biedaczka umiera. To jest jej ostatnie życzenie.

Zmarszczył brwi.

– Mikol? Wiem kto to, ale nie pamiętam dokładnie...

Zanim przywołał skrybę, by przyniósł rejestr, co by zajęło mnóstwo czasu, wyjaśniłam mu szybko, że była to jedna

z pierwszych w jego haremie konkubin, ta co...

Ach, tak, przypomniał sobie. Ale nie było to dobre wspomnienie: to ta kobieta, co mi przyprawiła rogi, powiedział ponuro, ta, co mnie wykołowała z kim tylko mogła.

– Ona umiera – nastawałam oschle i stanowczo. – To nie jest właściwa chwila na porachunki, Salomonie.

Powiedział, że teraz nie może, ale że wyśle swego lekarza, by jej doglądał.

– Nie – krzyknęłam, ku przerażeniu jego gości, którzy nie rozumieli co się działo. – Ona nie chce lekarza. Chce ciebie.

Opierał się nadal: nie mógł opuścić w tej chwili sali tronowej, zebrane tu osoby były bardzo ważne: tego samego dnia miała być podpisana umowa, traktat dotyczący długów zewnętrznych kraju, delikatna sprawa.

Było to dla mnie oburzające. Biedna Mikol była w agonii, a facet, któremu oddała swoje życie przejmował się audiencjami i ceremoniami. Jak opętana, oznajmiłam krótko:

– Nic z tego. Musisz tam pójść.

– Jutro – szepnął. – Obiecuję, że pójdę jutro.

– Dzisiaj. Jeśli nie pójdziesz dziś, przysięgam ci, że ciepnę tę pieprzoną książkę i pójdę sobie. I nigdy więcej mnie nie ujrzysz.

Westchnął.

– Dobrze. Pójdę dziś wieczorem.

– Nie, teraz.

– Nie da się. No to po południu. W pierwszej wolnej chwili po południu.

Pojawił się w pokoju Mikol prawie o północy. Ona już go nie ujrzała: była nieprzytomna. Umarła po tygodniu.

Śmierć Mikol nie zostawiła żadnego śladu na życiu dworu. Na jej pogrzebie pojawiło się sześć kobiet, wliczając jedną z jej sióstr i mnie. Salomon nie raczył się pojawić. Był w owych dniach bardzo zajęty. Oczekiwał ważnej wizyty. W jego agendzie nie brakowało ważnych wizyt, ale ta była tak wyjątkowa, że po korytarzach pałacowych nie rozmawiano o niczym innym. Nawet poważni zazwyczaj starcy wymieniali na ten temat komentarze. Wiesz kto przybywa? – pytali mnie z błyszczącymi oczami.

Nie wiedziałam i nie chciałam wiedzieć. Zanurzona w moim bólu nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Nieobecność Mikol była dla mnie nie do wytrzymania, a pogarszało mój stan to, że nie miałam z kim dzielić tej straty. Nie była ona zbyt znana wśród kobiet z haremu; starszki z Ustronia, przypominały ją sobie (o ile w ogóle ją przypominały) z zawiścią: była ulubienicą Salomona i na nas nie zwracała uwagi. Tak wielki był mój smutek, że myślałam o powrocie do wioski, by szukać schronienia wśród rodziny. Ale przypuszczalnie nie zrozumie liby mnie. Umarła jakaś konkubina? I co z tego? To zostało

jeszcze dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć. A poza tym, co mi było do tego? Byłam żoną, należałam do innej kategorii. Jeżeli przypadkiem miałam jakieś kontakty ze zmarłą, powinnam zapomnieć o tym; źle by to wyglądało i mogło nawet wzbudzić podejrzenia o jakieś niegodziwości.

Jedyną osobą, którą zajmowała choroba Mikol była inna konkubina, ale z całkiem praktycznych przyczyn: chciała jej łoża. To moje, wyjaśniała, dobija mój kręgosłup. I gdy tylko pogrzebano Mikol, zajęła jej miejsce z zadowoleniem zdobywcy zatykającego swoją flagę na podbitym obszarze.

Nie mając z kim rozmawiać o moim cierpieniu, oddawałam się pracy. Lecz dostrzegałam niecodzienne poruszenie, które ogarnęło pałac: ludzie sprzątający, naprawiający coś, przynoszący meble, dywany, zakładający oświetlenie. Domyśliłam się, że to było związane z oczekiwaną wizytą i spytałam zarządzającą haremem kto taki miał pojawić się. Popatrzyła na mnie zdumiona, jakbym przybyła z innej planety:

– To ty nie wiesz? To gdzie ty masz głowę? Dziewczyno, to królowa Saby, ona sama nas odwiedzi!

– A kim jest królowa Saby – spytałam, w istocie niezbyt tym zainteresowana; królowie i królowe pojawiali się tu codziennie, nie byłam w stanie zapamiętać nazw dziwnych krajów, z których przybywali. Ona ponownie popatrzyła na mnie jakby moja ignorancja ją zamurowała. Więc ja, kobieta wykształcona, wybrana przez Salomona do napisania ważnej książki, nie wiedziałam kim była królowa Saby? Nie, nie wiedziałam; czy

mogłaby mi wyjaśnić? Ależ oczywiście, powiedziała, uradowana okazją, która mogła zaowocować wzmianką o niej w owej książce: „Szczegóły o przybyciu królowej Saby zostały uprzednio oznajmione przez zarządzającą harem, dobrze poinformowaną panią...”

Chodziło o władczynię legendarnego kraju, którego dokładnej lokalizacji nikt nie znał: jedni mówili, że leżał w Arabii, a drudzy – że w Afryce. Kobieta ta była sławna tak dzięki swej piękności jak i odwadze oraz bogactwu. Od dawna chciała poznać Salomona, bowiem aż tam dotarła sława jego mądrości. Jej wyprawa miała ten jedyny cel: przybywała, by spotkać króla i zapewne te odwiedziny miały potrwać dłuższy czas. Nie było więc niczego dziwnego w tym, że kobiety w haremie ujawniały swoje niezadowolenie słysząc o tym. Dysputa o miejsce w łożu Salomona już i tak była zażarta; przybycie zagranicznej królowej mogło tylko skomplikować sprawy. Z pozorów, przybywała, by podobnie jak i inni władcy, szukać jego mądrych rad; ale czy ten ujawniany cel nie maskował skrytych intencji, jakiegoś aliansu polityczno-seksualnego? Jak by nie było, król musiał stosownie potraktować swego gościa i choćby tylko to musiało sprawić, że jeszcze mniej uwagi odda kobietom z haremu, pobudzając wśród nich rywalizację, która i tak przekraczała już granice wytrzymałości.

Co do mnie, nie podzielałam tych trosk. W żałobie po śmierci Mikol, nie chciałam nawet słyszeć o pałacowych plotkach. Ponadto, bezustannie przynaglana przez starców, musiałam oddać swoją energię tekstowi. W owej chwili opracowywa-

liśmy trudną i udręczoną postać Saula, pierwszego króla Izraela. Stał on przed klasycznym dylematem władzy i wojny – wojny okrutnej, która na przykład w kwestii Amalekitów przyniosła masakrę mężczyzn, kobiet i dzieci. Wcześniej okrucieństwa też nie były rzadkie – nagromadzone na moim stole pergaminy były go pełne; nowością w tej historii był władca cierpiący na depresję. To czyniło go w moich oczach bardziej ludzkim. Było to czymś, czego teraz sama pożałowałam: stać się bardziej człowiekiem, przetworzyć urazy zrodzone z mojej brzydoty i ból wywołany utratą Mikol w spokojną rezygnację, w mądrość. Mądrość inną od tej, z której słynął Salomon, bo ta wydawała mi się bardziej podobna do sprytu niż do cokolwiek innego. Szukałam prawdziwej, głębokiej mądrości, która może narodzić się jedynie ze zrozumianego i wysublimowanego cierpienia. Wzruszało mnie też to, że Saul szukał pociechy w muzyce. Ja też, w chwilach największego smutku, nuciłam pieśni zasłyszane w dzieciństwie u matki i u kobiet z naszej wsi. Gdy zaczęłam pisać o nim uważałam, że Saul kroczył drogą ku świętości.

Ale świętość nie miała się pojawić. Nie było jej z powodu jego tragicznych, chorych stosunków z Dawidem. Ci mężczyźni, myślałam sobie, mogli byli nauczyć się czegoś od Rut i Naomi. Choć może przyjaźń była rzeczą zbyt prostą dla ludzi tak skomplikowanych. Saul jednocześnie kochał i nienawidził Dawida; usiłował zabić go, ale oddał mu córkę za żonę. A że szukał pomocy wróżki z Endor, by za jej pośrednictwem usłyszeć głos swego mentora Samuela, było dla mnie dowodem jego

uczuciowego opuszczenia. Tego człowieka, a nie samowystarczalnego Salomona, mogłabym pocieszać i oczarowywać moimi historiami. Niestety, pojawiłam się o dwóch królów za późno.

Przy Dawidzie, następcy Saula, byliśmy wreszcie w nieodległej przeszłości, w dziejach, o których starcy mogli nawet dać swoje osobiste świadectwo. Już nie musieli konsultować pergaminów; po prostu pozwolili płynąć ich własnym i pełnym szacunku wspomnieniom. Te wspomnienia mówiły o człowieku wyjątkowo pięknym, muzyku, poecie, wojowniku, kochanku kobiet. Opowiadali o jego pamiętnej walce z gigantem Goliatem, o bitwie z Filistynami. Mówili o Jerozolimie, którą zbudował i do której sprowadził Arkę Przymierza. Opowiadali o jego zwycięstwach nad Filistynami, Moabitami, Ammonitami, Kananajczykami, zwycięstwach, których rezultatem było znaczne powiększenie królestwa.

Ale nie zdołali sprzątnąć mniej chwalebnych epizodów, jak tragicznego buntu jego syna Absaloma, który nawiasem mówiąc, zginął walcząc przeciw ojcu; i bardzo niepokojącej historii z Betszebą, którą opowiadali zmieszani, nie patrząc na siebie i nie patrząc na mnie. Mieli ku temu powody. Sposób, w jaki Dawid uwolnił się od Uriasza, męża Betszeby, a w której zakochał się, był po prostu obrzydliwy: posłał żołnierza na front walk, gdzie zgodnie z oczekiwaniami, człowiek miał umrzeć. Wszechwidzący Bóg pokarał tę nikczemność: pierwszy syn tej pary zmarł. Ale drugi przeżył i stał się królem. Królem Salomonem.

Dzięki tej historii wszystko nagle stało się dla mnie jasne.

Teraz rozumiałam Salomona, jego pożądanie kobiet, szczególnie pięknych kobiet. I dostrzegłam szczelinę w solidnej budowlu jego emocjonalnej równowagi. Czyż nie czuł się prześladowany przez cień swego brata, przez ten cień czatujący w schowkach pałacu, za zasłonami Świątyni, w półmroku alkowy, gdzie dosięgła go nieoczekiwanie impotencja? Cienie są wszechobecne, chowają się gdziekolwiek, w czymkolwiek, w roślinie mięsożernej czy też nie, w ssaku, w ptaku: kruk, co prześmiewczo krakał w ogrodzie, czy gołąb, który nigdy nie podnosił lotu a wpatrywał się we wszystkich oczkiem czarnym i twardym jak ziarenko, i kruk i gołąb miały wszelkie warunki, by być nośnikami duszy potępionej. Może dlatego uczył się języka ptaków, by móc wypytać każdego kruka, każdego gołębia, o bracie, czego chcesz ode mnie, to nie moja wina, że skrzywdziła cię ręka Boga, to nie moja wina, że ty zostałeś wybrany dla odkupienia grzechów naszego ojca i naszej matki. Ale, i tu było sedno sprawy, były powody, by Salomon czuł się winny. Brat po to umarł, by on mógł żyć – żyć w splendorze, otoczony luksusem i bogactwem, z siedmiuset żonami i trzystu konkubinami. Gdy Salomon prosił Boga, by mu dał mądrość, nie chodziło mu jedynie o zrozumienie ludzi. Chciał zrozumieć siebie samego. A nawet więcej, chciał zrozumieć przeszłość – złożone zadanie, gigantyczny projekt, do którego właśnie zostałam zaangażowana. Księga nie miała być zaledwie rzekomym kulturalnym pomnikiem, miała być latarnią w czasie, odpowiedzią na zagadkę. Salomon musiał odnaleźć sens historycznej trajektorii, której sam był częścią. Gdyby zdołał dowieść, że w nim była kulminacja długiego procesu rozpoczętego pierwszym mężczy-

zną i pierwszą kobietą, gdyby potrafił pokazać, że w jego osobie skupiały się nędza i wielkość przeszłości, cnota i grzech, triumf i niepowodzenie, gdyby mógł przedstawić siebie jako wiązkę sprzeczności – ale także jako ludzką postać walczącą, by stać się sprawiedliwym, umiejącym dobrze osądzać innych i siebie samego, potrafiącym oddać oseska prawdziwej matce, może wtedy dusza jego brata pozostawiłaby go w spokoju i odeszłaby w poszukiwaniu zasłużonego odpoczynku w Dolinie Cienia Śmierci. Tak więc, to był prawdziwy cel tekstu, nad którym pracowałam: Historia jako egzorcyzm. I nie wiedział Salomon, że próbowałam przeniknąć do narracji, że między liniami chciałam zastąpić widmo jego niepokodzonego brata widmem mojego niezaspokojonego seksu. Wiele zjawisk ukrytych między liniami, nieprawda? Wiele zjawisk.

Upiory są zaborcze. Po opisanu martwego brata, zaczęłam odczuwać, w samym pałacu, obecność tej duszy, tak udęczonej jak i moja własna. Śledziła mnie ona tak jak Salomona: mogła wychynąć zza sterty pergaminów, spod stołu, przy którym pracowałam. Tyle tylko, że ta niewidoczna obecność nie przynosiła mi strachu. Wręcz odwrotnie, fascynowała mnie: mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Ja też błędziłam poprzez życie w poszukiwaniu mego miejsca. Ja też czułam się odrzucona, pominięta. Tego łagodnego ducha, który tak wcześniej opuścił ciało, tę duszę chciałam dla siebie. Gdybym mogła ją przyciągnąć, a potem wchłonąć we mnie, gdybym ją mogła wcielić... Byłby podwójny zysk. Po pierwsze zdradzenie Salomona; nie chodziło o cielesną przyjemność, rzeczywistą, taką,

którą delectowała się Mikol, razem z pastuszkiem, a szczególnie z nim (co teraz z nim się dzieje?), lecz o przyjemność wirtualną, być może bardziej wyrafinowaną. Poza tym, posiadałabym szczególną władzę nad Salomonem. Nie widziałby we mnie żony numer siedemset jeden, nie brzydką skrybę, ale – dosłownie – bratnią duszę. Z początku przybliżyłby się płochliwie, obawiając się fatalnego zauroczenia; lecz ja, z mocami, którymi bym była teraz namaszczone, w charakterze nosicielki duszy jego martwego brata, uniewinniłabym go i na dowód tego przyzwoliła, by kochał się ze mną.

Wcielenie duszy potępionej nie byłoby łatwym przedsięwzięciem. Po pierwsze, do tego potrzebowałabym nawiązać kontakt ze światem pozagrobowym (może Mikol, która była tam nowicjuską, by mi pomogła: halo, halo, Mikol, odzyskaj mi tam zmarłego brata Salomona, chcę mu zaoferować moje ciało jako ziemskie schronienie; powiedz mu, że nie jest to oferta do pogardzenia, możesz poświadczyć, że z twarzy jestem brzydka, ale ciało mam niezłe, byłby zupełnie dobrze obsłużony); potem musiałabym przyciągnąć tego nieuchwytnego ducha, uwięzić go w moim wnętrzu. Jak to zrobić? Biegając nago po korytarzach w nadziei, że uchwycę błędzącą ektoplazmę ustami, nosem, pochwą? Co najmniej trudne. Będąc żoną miałam pewne prawa, ale nie do spacerów nago. Ach, gdybym przynajmniej miała pomoc wróżki z Endor. Ale wróżka już dawno temu umarła i o ile wiedziałam, nie zostawiła ani następców, ani dydaktycznych skryptów, nic a nic. Jedynym posiadaczem całej mądrości, włącznie z wiedzą tajemną, był obecnie wła-

śnie Salomon, a w tym dziele nie dopomógłby mi. Więc postanowiłam odłożyć na później projekt pojmania widma. Tym bardziej, że w tej chwili król nie wydawał się zbyt przejęty wspomnieniem zmarłego brata. Cały pałac był w świątecznym nastroju. Przybywała królowa Saby; Jerozolima, cała udekorowana, przygotowywała się na jej przyjęcie. W sypialni Salomona, sąsiadującej z moim pomieszczeniem, stało nowe łoże z luksusowymi zasłonami z jedwabiu, złowieszczą zapowiedź wielkiej rozpusty.

Pewnego ranka byłam przy pracy gdy nagle rozległy się dźwięki trąb, tuzinów trąb. Pobiełam do okna. Do pałacu zbliżała się karawana. I to jaka! Ponad 200 wielbłądów, bogato przystrojonych. Pierwszy z nich, gigantyczne zwierzę, niósł namiot, podobny do tego, w którym mnie przywieziono, ale znacznie większy i o wiele bardziej udekorowany – namiot królowej Saby. Wielbłąd przykląkł, rozchyłono zasłony i pojawiła się władczyni.

O mój Boże, co za śliczna kobieta. Jaka ona piękna. Wysoka i zgrabna, czarna, z twarzą o przepięknych rysach, wielkich oczach, z zaokrąglonymi ustami, zmysłowa – prześliczna. Przy niej siedemset żon i trzysta konkubin to były smutne próbki (a o mnie już nie warto było mówić). Zazdrosne spojrzenia, które dostrzegałam, świadczyły o tym zenującym kontraście. Te świdrujące spojrzenia czegoś szukały, jakiejś skazy na twarzy czy ciele; ale nie mogły niczego znaleźć, staliśmy bowiem

w obliczu absolutnej doskonałości. Jej kolor, oczywiście, zwracał uwagę; my wszystkie miałyśmy śniadą cerę, ale żadna z nas nie była czarna. I co z tego? Królowa mogłaby wyniośle powiedzieć: sch'hora ani ve nava, baot Ierushalaim, czarna jestem, lecz piękna, córki jerozolimskie. A córki Jerozolimy, jak i córki wszelkich innych miejsc, musiałyby zamilknąć.

Promieniujący król pospieszył ku niej. Wygłosił krótkie przemówienie mówiąc, że jest to historyczny dzień, ta wizyta królowej dodana do błogosławieństw, którym Bóg okrył jego królestwo:

– Nasza sława roznosi się po całym znanym świecie. Nasza Świątynia przyciąga gości ze wszystkich stron. A wkrótce...

Dramatyczna pauza.

– Wkrótce wszystko to zostanie ukoronowane dziełem o największym znaczeniu, dziełem nie materialnym lecz intelektualnym, które zostawi trwałą ślad w Historii ludzkości. I uszczęśliwia mnie to, że inauguracja tego dzieła zbiega się z wizytą królowej Saby, która z tak daleka przybyła, by nas uczyć.

Ta rewelacja była zaskoczeniem: o czym mówił król? Jakie intelektualne dzieło miał na myśli? Wszyscy byli zaintrygowani, a ja najbardziej. Czyżby mówił o książce, nad którą pracowałam? Czy zamierzał złożyć hołd nieznannej kobiecie, jakkolwiek ważna ona była, używając owocu moich starań (i starań innych osób)? A może było to tylko zagranie pod publikę, mające zwrócić uwagę na inaugurację pracy? Jakby nie było, nikt tego ze mną nie konsultował i tym facet mnie wkurwił.

Postanowiłam, że przy najbliższej okazji pogadam z nim o tym, żeby się dowiedzieć co znaczyła ta historia.

Po zakończeniu ceremonii, Salomon zaprosił królową, by weszła i odpoczęła w przygotowanych dla niej pomieszczeniach. Szli razem pałacowymi korytarzami, a wszyscy cisnący się, żeby ją ujrzeć, zachwycali się jej dumną posturą, jej wdziękiem, jej pięknem. Nie wytrzymałam już tego i poszłam do mego pokoju. Tam czekały na mnie manuskrypty. Cóż ja, brzydka, sobie wyobrażałam? Dla mnie nie było chwały i uśmiechów. Dla mnie była tylko praca. Praca, którą, jak wydawało się, Salomon miał wykorzystać do powiększenia swego międzynarodowego prestiżu.

Tego wieczoru wyprawiono bankiet, taki bankiet, który miał zostać w annałach królestwa; niekończące się delikatesy, przygotowane przez kucharzy sprowadzonych z dalekich stron, tysiąc gatunków win, egzotyczne owoce... Czyli przepych, który oglądałam zza drzwi, bo spośród żon zaproszono tylko sto najstarszych – wyjaśniano, że dla wszystkich zabrakłoby miejsca. Kłamstwo. Przyczyna była odmienna: te najstarsze były najmniej zazdrosne.

Królowa przygotowała się, by odwzajemnić te uprzejmości: na jej znak weszło do sali z pół setki niewolników uginających się pod ciężarem prezentów.

I to jakich prezentów. Boże, co za dary. Rzadkie, cenne per-

fumy. Szlachetne kamienie. Złoto – cztery tysiące kilo złota, jak później dowiedzieliśmy się. W ten sposób został rozwiązany problem zewnętrznego zadłużenia. Salomon miał teraz dosyć forsy, by wykończyć ostatnie szczegóły w Świątyni, by lepiej uzbroić wojsko, by kupować konkubiny. Ceny złota na rynku międzynarodowym były wysokie i z tą jego ilością w schowku Salomon nie musiał już go szukać w kopalniach tajemniczego Ofiru, którego nikt nie potrafił umiejscowić: jedni mówili, że to w Afryce, a drudzy utrzymywali, że w tropikalnych ziemiach amazonek. No, ale to wszystko w zamian za parę rad? Czy może zawierał on z królową nową unię, obejmującą Bliski Wschód i Afrykę, która uchodziła za nową i obiecującą granicę?

Tak czy inaczej, w owym momencie ta władczyni wygrywała dziesięć do zera z każdą kobietą z haremu. Wszystkie razem nie przyniosły królowi, w trybutach czy innych korzyściach, połowy tego co ona przyniosła. I to samo było z urodą: wszystkie razem nie sięgały stóp tej fascynującej kobiety.

Konsekwencje pojawiły się szybko. Salomon zaczął po prostu ignorować żony i konkubiny – musiały odbywać kwarantannę do końca tych odwiedzin.

Ale przywołał mnie. Po to, by oznajmić, że jak ogłosił witając przybywających, zamierzał obdarować królową kopią historii, którą spisywałam. Wielu skrybów zajmowało się już

przepisywaniem mojego tekstu, ale było konieczne także, bym zamknęła opis królowania Dawida i dotarła do samego Salomona. Miał tam figurować także opis wizyty królowej, ze wspomnieniem czterech tysięcy kilo złota i całej reszty. To by był końcowy rozdział księgi, złota kłamra (w przenośnym sensie, rzecz jasna; prawdziwe złoto już leżało w królewskim skarbcu) tej narracji. Więc żebym przyspieszyła rytm mojej pracy.

Nic nie odpowiedziałam. Co mogłam odpowiedzieć? Zatrudniono mnie do wykonania zadania, musiałam je wykonać. Co do przyjemności, te były zarezerwowane dla królowej Saby. Która była śliczna. Która podarowała królowi cztery tysiące kilo złota. Nie miałam na co narzekać. Więc wróciłam do manuskryptu.

Wracałam do pracy gdy zastukano do drzwi. Była to niewolnica. Przynosiła przesłanie od kobiet: chciały, bym pojawiła się w haremie na rozmowę z nimi. Nie wiedziała o czym. Ale chodziło o coś pilnego.

Nie musiałam długo myśleć, by dojść do wniosku, że ta prośba była związana z wizytą królowej. Co więcej, musiało to być coś poważnego; jakiś kryzys szedł ku przesileniu. Choć walczyłam z czasem – historia Dawida okazała się skomplikowana – znalazłam chwilę i poszłam tam.

Jak przypuszczałam, znalazłam je w nastroju wojennym, buntujące się przeciw temu, co nazywały wzdrgadą Salomona.

Od przyjazdu tej czarnej, powiedziała jedna z nich, my już nie istniejemy. A inna dodała: gdzie ta mądrość króla, jeśli byle cudzoziemka może go otumanić. Któraś nawet mówiła o czarach, praktykowanych powszechnie w Afryce: dodali jakiegoś lubczyku do wina Salomona i gotowe, już idiota się ślinił z zauroczenia.

Po dłuższej dyskusji zdecydowały wszcząć ruch protestu i chciały, bym przejęła jego kierownictwo; w końcu, miałam u króla pewien autorytet (a tak to przynajmniej sobie wyobrażały) i mogłam mu przedstawić postulaty haremu.

Przed paru miesiącami może przyjąłabym tę misję, i to z pewną satysfakcją, Ale teraz wszystko się zmieniło, już nie byłam ta sama. Nie czułam najmniejszej ochoty, by wdać się w potyczki. Zmęczenie? Rezygnacja? Nie wiem. Było tylko jasne, że brakło mi do tego animuszu. Ale też nie mogłam opuścić ich; przecież to były moje towarzyszki i jeśli były w złej fazie, było moim obowiązkiem dopomożenie im.

Spytałam jakie miały pomysły i, naturalnie, myślały o strajku seksualnym; umowa, wedle której żadna z nich nie zgodziłaby się iść do łóżka z Salomonem.

– Ale on właśnie tego chce – powiedziałam.

Popatrzyły na mnie osłupiałe. Co? Strajk kobiet nie zaniepokoiłby króla? Powiedziałam, że nie, że jeśli o seks chodzi, ta wizyta przypuszczalnie przyniosła Salomonowi pełne zadowolenie. Więc było nieuniknione, że jakiś czas spędzi pieprząc się z nią. Prawdziwy problem był inny: czy zamierzał przedłużyć

ten związek? Czy chodziło mu po głowie przekształcenie unii politycznej w prawdziwe małżeństwo? A gdyby to się zdarzyło, jaka rola by była zarezerwowana dla jego żon i konkubin?

Niemile pytania, które wprawiły je w zakłopotanie, a niestety i ja sama nie miałam tu odpowiedzi.

– Czy to znaczy, że nic nie możemy zrobić? – spytała któraś.

– Tego nie powiedziałam – odrzekłam. – Powiedziałam, że musicie działać z głową. A na początek trzeba odkryć jakie są plany Salomona wobec tej kobiety.

Tak, to brzmiało logicznie; ale nie wiedziały jak działać. Znowu prosiły – nie, nie prosiły, a błagały – bym pomogła. A mogłam to zrobić. Prosta przyczyna: królowa zamieszkiwała w pomieszczeniach sąsiadujących z moim pokojem. Każdej nocy Salomon tam się pojawiał. Może pretekstem były konsultacje w sprawie pozyskiwania finansów zagranicznych, ale wynik był inny: znana symfonia jęków, westchnień, a nawet krzyków – to była hałaśliwa para (a czemu by mieli pieprzyć się w ciszy, jeśli nic nikomu nie byli winni?) W pierwszych dniach robiłam co mogłam, by niczego nie słyszeć, zatykałam uszy bawełną i starałam się koncentrować na pracy – byłam teraz zajęta opisem Świątyni, z wszystkimi szczegółami, wymaganymi przez króla, a wiele ich było. Lecz na prośbę kobiet, zaczęłam przystawiać ucho do ściany i słuchać z uwagą. Praca mogła poczekać. Chciałam wiedzieć co mówili, król i królowa.

Ku memu zaskoczeniu, mówili wiele. Przed ruchaniem, w czasie ruchania, po ruchaniu. Nie było to zwyczajowe roz-

wiązłe gadki zakochanych, kobieta krzycząca, wsadź głębiej, mężczyzna mówiący, jak z tobą dobrze, kochanie, jak z tobą dobrze. Nie. Ich dialog wprowadził mnie w zdumienie i wzbudził głęboką zazdrość, bo był wyrafinowany – i wierszowany. „Niech twoje usta pokryją mnie pocałunkami” mówiła ona, po hebrajsku, którego nauczyła się specjalnie przed podróżą, i dodawała: „słodsze od wina są twoje pieszczoty i bardziej wonne od perfum twoje imię, dlatego miłują cię dziewczęta.”

(A potem siedzą w haremie wściekłe na niego, dodałabym tu).

A Salomon rewanżował się porównaniami, które nawiązywały do potęgi i bogactwa: „Do zaprzęgu wozu faraona cię przyrównam, moja ukochana. Wdzięczna jest twoja twarz, wdzięczna jest twoja szyja. Sprawimy dla ciebie wisiorki ze złota, z filigranami ze srebra.”

(Złoto, które ona dała. Srebro, które ona dała. Co za krety).

Czasami zostawiali na boku tę manię wielkości i wdawali się w bardziej, że tak powiem, ekologiczne porównania. Ona była „lilią wśród cierni”, a on gazelą (gazelą!), która „skacze po górach”. On schodził do szczegółów anatomicznych: „Włosy twe są jak stado kóz” (kozy, he. Czyżby chwyciła moda pastuszka, z pewnymi preferencjami seksualnymi?) „Zęby twe są jak stado owiec.”

Do poetyckiej licencji czasami wplatał bezwstydną kłamstwa. Kiedyś powiedział jej: „Sześćdziesiąt jest królowych /

i osiemdziesiąt konkubin / i liczne dziewczeczki. / Lecz jedna jest tylko moją gołąbką...”

Czyli siedemset żon zredukował do sześćdziesięciu, upust ponad dziewięćdziesięciu procent. Za to konkubiny ucierpiały znacznie mniejszy ubytek, z trzystu do osiemdziesięciu. A to było jeszcze większym brakiem szacunku dla żon. Czy to możliwe, że ta durnowata królowa Saby nie zdawała sobie z tego sprawy? Wszyscy wiedzieli, że oszołomiła ją mądrość Salomona, ale czy to powód, żeby kompletnie stracić zdolność rozumowania? Każdy mógł dostrzec, że liczba kobiet w haremie była dużo wyższa niż wspomniana przez Salomona w tym dziwacznym spisie posiadłości matrymonialnych – jak to możliwe, że ona tego nie dostrzegała? Może dlatego, że nie zostawiał jej czasu i dodawał: „Twe łono jest niczym czara / Niech wina w niej nie zabraknie...” A potem szły śmieszki, i jęki, i zberezeństwa, i zberezeństwa.

Takie rzeczy słyszałam, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo czasami mówili po cichutku i musiałam w praktyce domyślać się dialogu. I rejestrowałam wszystko, zapełniając pergamin za pergaminem. Nikła pociecha, zamiast jebania, pisanie – ale przydałoby się do moich celów, bo zamierzałam, w stosownej chwili, użyć tego wszystkiego jako dowodów w akcie oskarżenia: „Czy zaprzeczasz, że w nocy z piętnastego na szesnasty, leżąc z tą kobietą, porównałeś jej łono do czary, w jawnej zachęcie do nieprzyzwoitości, a także, co jest niemniej ważne, do nadmiernego spożycia napojów alkoholowych?”

Ale na razie nie przejęliby się ewentualnymi oskarżeniami.

Królowa Saby czuła się sensacją podwórka. Nie tylko zainstalowała się na dobre w pałacu, lecz sprowadziła także tu cały swój dwór, nawet i niewolników; ta cała gromada spędzała dni po korytarzach pałacowych, śmiejąc się, głośno rozmawiając, śpiewając. Egzotyczni ludzie, ale wcale nie antypatyczni.

Był wśród nich jeden typ, który wydawał mi się bardzo dziwny, a nawet złowrogi. Ukrywał się on pod obszerną pelearną, która zakrywała jego twarz i zostawiała widoczne jedynie oczy – a co to były za oczy. Był w nich dziki blask, prawie szalony, od którego przebiegały po mnie dreszcze. Najgorsze było to, że się zawsze we mnie wpatrywał. Zbieg okoliczności czy też nie, ale wciąż go spotykałam w pałacowych korytarzach, w pobliżu mojego pokoju. Wypytyjąc tu i tam odkryłam, że ów człowiek nie był poddanym królowej; był to Żyd, który przybliżył się do prowadzących karawanę na pustyni Południa. Ostrzegał przed niebezpieczeństwami zdradliwych przejść, pełnych bandytów i zaproponował, że poprowadzi ich do Jerozolimy; propozycja została chętnie przyjęta; planowano, że także poprowadzi ich z powrotem. To wszystko brzmiało sensownie, ale dlaczego gość tak intensywnie wpatrywał się we mnie? Nawet starcom rzuciło się to w oczy; ów lubieżnik, który odznaczył się zdumiewającą erekcją powtarzał (z cieniem zazdrości): zobaczysz, że się okaże, że ten typ zakochał się w tobie.

Musiałam wyjaśnić tę sprawę. Pewnego wieczoru, gdy już zmierzchało, napotkałam go samego na korytarzu, jak zwykle

zakutanego po uszy. Teraz!, pomyślałam. Zebrałam odwagę i przybliżyłam się do niego. Nie oddalił się, wręcz odwrotnie, wydawało się, że tego oczekiwał. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a on miał to nieruchome, hipnotyczne spojrzenie. Wreszcie nie wytrzymałam.

– Słuchaj, człowieku, czego chcesz ode mnie?

Nie odpowiedział od razu. A gdy przemówił, miał głos zachrypnięty, prawie niedosłyszalny.

– Wiesz kim jestem.

Pastuszek. O Boże, to był pastuszek. Odczułam wielką radość; a więc żyjesz, doskonale, nic o tobie nie wiedziałam, tak mnie to nękało, ale szczęśliwie uciekłeś, jak to dobrze.

Ale on nie okazywał żadnego entuzjazmu, żadnego ożywienia. Myślałam, że mnie wyściska, a przynajmniej pozdrowi z entuzjazmem. Ale nie, nadal nieruchomo wpatrywał się we mnie. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Co oznaczało to milczenie, ten wbity we mnie wzrok? Wyraźnie zmienił się. Chłopak, który biegał po górskich ścieżkach, chłopak, który wypasał kozy (i dobierał się do nich), chłopak, który zniknął z moją siostrą w jaskini, chłopak, który podjął się dostarczenia listu mojemu ojcu – nie był mężczyzną, który stał przede mną. To była dziwna, odmienna postać, która budziła we mnie niekontrolowany strach. Czemu? Co go tak odmieniło? Owszem, miał ciężkie przejścia, ukamienowanie, wygnanie, walka z żołnierzami, utrata ramienia – to wyjaśniało używanie peleryny, nie chciał pokazać kalectwa. Ale to wszystko nie wyjaśniało

tego chłodu, tego oddalenia; a przede wszystkim, nie wyjaśniało blasku prawie obłądnego, który widziałam w jego spojrzeniu i który mnie onieśmielał. Jak gdybym to ja była winna jego cierpienie. Odważyłam się: co się z tobą stało, zapytałam. Zawahał się i obejrzał się wokół.

– Tu nie da się rozmawiać. Czy możemy pójść w jakieś bardziej odosobnione miejsce?

Powiedziałam, że owszem, że możemy porozmawiać w moim pomieszczeniu. Więc masz swoje pomieszczenie w pałacu, zauważył ironicznie, miejsce wyłącznie dla ciebie.

– Dobrze. Pójdźmy tam.

Poszliśmy. Na korytarzu mineliśmy jednego ze starców, który spojrzał na nas podejrzliwie. Mógł sobie patrzeć podejrzliwie, miałam to w dupie. Musiałam porozmawiać z pastuszką, musiałam dowiedzieć się co tu się działo. Bo że coś się działo, nie miałam teraz najmniejszych wątpliwości.

Weszliśmy, zamknęłam drzwi. Z dużą trudnością, wspomagając się jak mógł kikutem, uwolnił się z ciężkiej szaty.

Przede mną stał przystojny mężczyzna, nie chłopiec, którego znałam w przeszłości. Ale wyraz jego twarzy był gorzki, nawet dziki, tym bardziej, że poznaczona była bliznami od kamieni ciskanych w niego. Nigdy nie widziałam takiej goryczy. Ale nie był jednym z tych, co się taplą w własnych urazach. Rozejrzał się, upewniając się, że byliśmy sami i nikt nie mógł nas usłyszeć i przybliżywszy się do mnie powiedział poufnym tonem:

– Jestem tu, bowiem mam misję. Nie chodziło tylko o przeprowadzenie karawany królowej. To był pretekst, by móc dostać się do pałacu. Misja jest inna. Moja misja ma związek z zemstą. Ze świętą zemstą.

Dopiero wtedy zauważyłam sztylety, które miał zatknięte za pasem. Zadrżałam: dwa sztylety, przy każdym boku, sztylety zakrzywione, sztylety mordercy. Ten człowiek mówił poważnie. Wyglądało na to, że ktoś miał zapłacić za jego utracone ramię. On odgadł mój tok myśli i gorzko uśmiechnął się.

– Zapewne myślisz, że to zemsta prywatna, że chcę zemścić się na żołnierzach króla. Mylisz się. Jeśli cię to ciekawi, to utrata ramienia była dla mnie błogosławieństwem. To było boskie przesłanie, które zmusiło mnie, bym przemyślał mój żywot i mój los. Kim byłem przedtem? Sama wiesz to dobrze: byłem grzesznikiem, zboczeńcem. Przecież nawet z kozami miałem stosunki seksualne, wyobraź sobie.

Nastąpiła pauza pełna skrępowanego milczenia, ale skoro zaczął, zamierzał iść aż do końca.

– Byłem w tym mistrzem. Zbliżałem się z tyłu, cicho nucąc melodię, o której wiedziałem, że je odurzała i wtedy łaps, dobieierałem się do nich; jedna, dwie, trzy, nie było granic dla mych wstrętnych postępów. Biedne kozy, biedne stworzenia, płaciły tę cenę za moje podniecenie. A z twoją siostrą było to samo, perwersja jedna za drugą. Ale wtedy to ona chciała, a nie że ja zmuszałem. Przykro mi to powiedzieć ci, ale ona jest tak wielką grzeszniczką jak i ja. Myślałem, że mnie kochała,

ale nie, ona czego innego chciała, szukała rozpusty, podłości. I ja za to zapłaciłem.

Słuchałam go. Przerażona? Nie, nie przerażona. Zafascynowana? Nie, także nie zafascynowana. Po prostu słuchałam go. I nie wiedziałam co myśleć o tym zdumiewającym wyznaniu.

– Twój ojciec kazał mnie ukamienować i wygnał mnie – kontynuował – ale kara niczego nie zmieniła. Nie tej nauki potrzebowałem. Bowiem on po prostu mścił się, rozumiesz? Nie działał w imieniu Dobra, działał we własnym imieniu, karząc mnie, by chronić swoją reputację. I wcale się nie zmieniłem. Opuściłem naszą ziemię, przybyłem do Jerozolimy, i nadal podążałem ścieżką grzechu. Gdy raz się zacznie, wiesz, trudno się zatrzymać. I chwyciłem się nie tylko za biedaczki z ulicy, o nie. Nawet tu, w pałacu, miałem kochankę, starą konkubinę... Ujrzała mnie kiedyś przez okno i zakochała się we mnie. Uciekała z haremu, żeby się ze mną spotkać. Myślisz, że byłem wdzięczny tej kobiecie? Ani trochę. Wykorzystywałem ją jak tylko umiałem. Zgarnąłem jej klejnoty, wziąłem jej pieniądze...

Biedna Mikol. Biedna, biedna Mikol.

– I wtedy spotkałem ciebie. Już od wielu dni nie widziałem tej kobiety, a było to dla mnie katastrofą: bez jej pomocy cierpiełem nawet z głodu, musiałem zebrać. Przyszło mi do głowy, by stanąć pod murem pałacu i grać na flecie – ona wiedziała, że umiałem grać. Ale nie ona pojawiła się, a ty; i wtedy prosiłaś mnie, bym dostarczył twój list twojemu ojcowi. I podjąłem

się tego, wiesz dlaczego? Bo wzruszyło mnie spotkanie ciebie. I wzruszyło mnie to, bo...

Przerwał i przez chwilę wpatrywał się we mnie w dziwny sposób. Miał mi coś do powiedzenia, coś bardzo ważnego, ale coś go płoszyło – i mnie też. Zmienacka wracało wszystko, co czułam dla niego; i wydawało mi się, że tym razem było to odwzajemnione. Stąd mogło być jego wzruszenie. Ale mu się nie poddał. Westchnął głęboko:

– Mniejsza o to. Może pewnego dnia wrócimy do tego. Teraz chcę ci opowiedzieć co się zdarzyło. Jak ci mówiłem, żołnierze mnie zaskoczyli w tamtym momencie. I zdarzyło się to, o czym wiesz. Chcieli, żebym im przekazał list, ten list, który mi powierzyłaś. Powiedziałem im, że mowy nie ma, że bronilibym za cenę życia tego pergaminu, gdyby było trzeba. Natarli na mnie, broniłem się jak mogłem, ale to była nierówna walka, miecz przeciwko sztyletowi. Utraciłem ramię, ich szef mi je obciął. Prawie umarłem, na szczęście pewna litościwa dusza mnie uratowała. Zostawszy kaleką, znowu tułałem się po drogach, prosząc o jałmużnę, głodując. Ale nawet wtedy, choć możesz to uważać za niewiarygodne, niczego się nie nauczyłem. Tak, byłem pełen nienawiści, ale nienawiści ślepej, bezcelowej. W końcu, po długich wędrówkach, dotarłem – i nie był to przypadek, to był boski zamysł – do owej góry, do naszej góry. A tam, w owej jaskini niegodziwości, w jaskini, w której twój ojciec cudzołożył, i gdzie ja zniewalałem kozy a potem miałem twoją siostrę, spotkałem Mistrza Prawości i jego uczniów.

Popatrzył na mnie.

– Mistrz Prawości. Nigdy nie słyszałaś tego imienia, prawda? Ale będziesz je słyszeć. Począwszy od teraz, będziesz je słyszeć. Mistrz Prawości był podobny do twego ojca: bogaty patriarcha, potężny, lecz rozpustny. Ruchał bez umiaru, krzywdził ludzi ze swego plemienia. I jak ja, został ukarany. Salomon go ukarał: ponieważ nie mógł spłacić danin, uwięziono go. Spędził trzy lata w więzieniu, tutaj w Jerozolimie. I wtedy to się zdarzyło: pewnej nocy pojawił się w jego śnie brat Salomona, chłopczyk o bardzo wielkich i bardzo smutnych oczach. Powiedział, że choć zmarł, nie miał spoczynku, z powodu grzechów i arogancji króla. Powierzam ci misję, powiedział, przypadnie tobie oczyścić naszą ziemię z grzechu, z deprawacji. Mistrz Prawości wędrował więc po kraju, nauczając, a w ślad za nim szli jego uczniowie – niewielka grupa, bo jak wiesz nieliczni są wybrani. I stałem się, dzięki boskiej łasce, częścią tej grupy od kiedy pierwszy raz usłyszałem nauki Mistrza, mądre słowa, które zmieniły moje życie.

A co on mówił, spytałam.

– On rzekł – oczy jego błyszczały, twarz promieniała – on rzekł, że zbliża się koniec. Już widać sygnały, są przed nami. I ty sama możesz je dostrzec: Salomon, nasz król, nie szanuje już słowa Pana. Jego harem jest pełen obcych kobiet, Moabitek, Ammonitek, Edomitek, Hetytek, nie mówiąc już o tej królowej Saby, tej czarnej, z którą dzieli teraz łożę każdej nocy. Salomon kroczy za Astarte, Wielką Boginią pogan, która dla naszego ludu jest Wielką Prostytutką, przed której boskością

kłaniają się siły niższych światów. Salomon zbudował świątynię dla bóstw Ammonitów. A dla spłacenia tej całej niegodności, nasz lud jęczy pod ciężarem podatków. Odpowiedz mi: czy to jest mądrość królów?

Nie czekając na moją odpowiedź, kontynuował coraz bardziej zagorzały.

– Ale my, Szermierze Dobra, już się przygotowujemy, pod dowództwem Mistrza Prawości. Chwilowo, jak ci mówiłem, jesteśmy nieliczni. Ale wkrótce przyłączą się do nas tłumy. I wtedy stoczymy końcową batalię. Gdy to nastąpi, popłyną tą ziemią rzeki krwi, a z nią spłynie grzech i wszeteczność.

Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, i zatrwożyło. Nie było wątpliwości, ten chłopak był gotów zabijać i umrzeć. Dlatego nie dawało mi spokoju pytanie: co robił w pałacu? Dlaczego towarzyszył królowej Saby? Powiedział, że chodziło o misję, ale jaką misję? Spytałam go o to, ale odmówił odpowiedzi. Z bladym uśmiechem i odrzucając moją pomoc nałożył pełerynę.

– Co miałem do powiedzenia, to powiedziałem. Resztę zobaczysz, gdy przyjdzie na to czas. A czas ten, mogę ci zaręczyć, jest bliski.

Teraz miał wygląd rozluźniony, odprężony – zdumiewająco kontrastujący z jego poprzednim ożywieniem – i zaczął spacerować po moim pokoju. Popatrzył na manuskrypty na półkach, chciał wiedzieć czego to dotyczy. Wyjaśniłam, że pisałam dla Salomona książkę.

– Książka – westchnął. – Tak, wyobrażałem sobie, że pewnego dnia napiszesz książkę. Zawsze byłaś bardzo inteligentna. Dużo inteligentniejsza od twojej siostry – i dużo przyzwoitsza od niej. Jak się dobrze zastanowić, to ja...

Znowu przerwał sobie. Zaczął oglądać manuskrypt. I tonem, któremu z trudem starał się nadać pozór obojętności, lecz przez który niedwuznacznie przebijał niepokój, powiedział:

– Wyobrażam sobie, że ta książka jest bardzo ważna dla niego.

– Tak. Jest bardzo ważna. Powiedział, że jest tak ważna, jak Świątynia. Zamierza nawet dać jej kopię królowej Saby.

Odłożył manuskrypt na półkę i ironicznie uśmiechnął się:

– To dlatego cię tutaj uwięził. Po to, żebyś mu pisała książkę przeznaczoną dla królowej Saby. Jeszcze jedna z tych jego niegodziwości. Ale zaręczam ci, że to się skończy. Dużo szybciej, niż się wydaje.

I znowu zagadka. Co on chciał przez to powiedzieć? Ale nim zdążyłam go zapytać, oznajmił, że musi już iść, bo jego nieobecność może wzbudzić podejrzenia. Ujął moją rękę – teraz jego gest był przyjazny, przyjazny i czuły – i poprosił, bym nikomu nie opowiadała o naszej rozmowie. Z uśmiechem, który miał coś złowrogiego, ale w którym zachował się jakiś dawny ślad nieśmiałości pastuszka, otworzył drzwi i znikł w mrokach korytarza.

Osunęłam się na łóżko. Byłam tak zbita z tropu i przestraszona, że nie wiedziałam od czego zacząć, ale wiedziałam, że musiałam odkryć, i to jak najszybciej, co przyniosło pastuszka do pałacu. Mówił o misji. Ale jaką misję mógł sam jeden wypełnić tu ten chłopak? Czy na przykład zamierzał w stylu tradycyjnych proroków wygłosić jakieś kazanie krzycząc: koniec się zbliża, koniec się zbliża? Nie. Wygłaszanie przemówień nie było w jego stylu. On inaczej działał. Planował coś innego. Ale co?

Przyszło mi nagle do głowy: zamach. Jasne. Czemu od razu o tym nie pomyślałam? Zamach. I jak się wydawało, starannie zaplanowany. Natknięcie się na karawanę królowej, a z pewnością nie było przypadkowe, umożliwiło mu dostanie się do pałacu w roli przewodnika. I był teraz tutaj, uzbrojony i gotowy do działania.

Ale jeśli zamach, na kogo? Na jedną z tych kobiet, o których mówił z taką wściekłością – Moabitka, Ammonitka, Edomitka, Hetytka? I co by dało zabicie jednej z kobiet, skoro tyle ich było w haremie? A może chodziło o kogoś z dworu, na przykład szefa straży, który mu obciął ramię? To też nie pasowało, bo z nim mógł już wyrównać rachunki. Zresztą, nie wydawało się, by miał tak wiele gniewu na żołnierzy, którzy go zaatakowali i którzy przecież wypełniali swe obowiązki.

Nie, cel z pewnością był inny.

Salomon. Chciał dotrzeć do króla. Gdy to zrozumiałam, przebiegły mi po plecach zimne dreszcze. Salomon? Król?

Nie do wiary, ale to wydawało się sensowne. Sensowne w jego logice. Przecież król był największym grzesznikiem – i najnikczemniejszym zdrajcą: człowiek, który użył mądrości danej mu przez Boga dla wywyższenia siebie samego, dla życia w bogactwie, w blasku, w rozpuście. Z pewnością nie miała znaczenia budowa Świątyni. Świątynia było obszarem najwyższych kapłanów, związanych z królem wspólnymi interesami. Nie, Świątynia nie miała tej wagi co przekroczenie boskiego prawa. Na mocy decyzji owego Mistrza Prawości Salomon miał być ukarany. A dawny pastuszek miał stać się instrumentem tej kary.

Ale jedno mnie intrygowało: czemu mnie o tym wszystkim opowiedział? Czemu mnie uczynił swoją powierniczką? Było tylko jedno wyjaśnienie: miał mnie za swoją sojuszniczkę. Zapewne z jego punktu widzenia byłam, tak jak i on, ofiarą: ofiarą ojca, ofiarą Salomona. Zamknięta w tym pokoju, pisząca książkę – byłam niewolnicą króla, pożądaną wolności.

Czyżbym była niewolnicą? W tym momencie zadałam sobie to pytanie. Pytanie zasadnicze; zależnie od odpowiedzi, której ja sama miałam udzielić, musiałabym wybrać ten czy inny sposób działania. Czy byłam niewolnicą? Czy byłam podporządkowana woli Salomona?

Nie. Nie byłam niewolnicą. I nie pożałowałam wolności. Jeśli żyłam w więzieniu, przywykłam do niego; i nie tylko, bo zamysł Salomona stał się moim zamysłem. Czy trudne było życie, które wiodłam? Może tak. Wycierpiałam wiele upokorzeń od pojawienia się w pałacu. I miałabym rację gdybym oskarżyła

Salomona o nie.

Ale nie uczyniłabym tego, bowiem istniał tekst, historia, którą pisałam. To ten tekst mnie pocieszał, wspierał mnie, nadawał sens memu istnieniu. Za jego pomocą mogłam się komunikować z Salomonem. I nie przesłałabym mu słów nienawiści. Wiedziałam, że w swej głębi był istotą ludzką, osobą jak którąkolwiek inna. Od nikogo nie był lepszy – ani też gorszy. I dlatego nie zasługiwał na przygotowywaną dla niego karę. Która niczego by nie rozwiązała, a może i nie doczekałaby się realizacji. Nie wiedziałam dokładnie co planował pastuszek, ale wiedziałam, że musiało to skończyć się katastrofą, przypuszczalnie dla niego. Tylko jego fanatyzm pozwalał mu wyobrazić sobie, że mógłby wejść do pałacu i zabić króla. Nawet szansa na zranienie Salomona była minimalna; nim zamachowiec spróbowałby coś zrobić, strażnicy by go pokroili na kawałki. No, ale jednak było ryzyko – dla pastuszka, ale też, choć bardzo odległe, dla monarchy.

Był tylko jeden sposób na uniknięcie tragedii. Musiałam ostrzec Salomona. Było to w tych dniach problematyczne: nikt nie miał pewności gdzie przebywał, towarzysząc królowej. Pobiełam do sali tronowej, w nadziei, że będzie tam, zajęty rozsądzaniem. Nie, nie było go. Obeszłam wiele sal: nigdzie go nie było.

Pozostawało jeszcze jedno miejsce: pomieszczenia gościnne

królowej Saby. Pobiegłam tam. Tak, Salomon tu jest, powie-
dzieli stojący u drzwi strażnicy, zagroziwszy mi natychmiast
drogę, ale nie chce, by ktokolwiek go kłopotał. Wyjaśniłam,
zdenerwowana, że chodziło o coś pilnego, kwestię bezpieczeń-
stwa. Argumentowałam, błagałam – nadaremnie. Nikt nie
może kłopotać króla, powtarzali, takie mamy rozkazy.

Doprowadziło mnie to do furii – król tam się ruchał niczym
się nie przejmując, nawet ryzykiem dla swego bezpieczeństwa –
ale nie poddawałam się. Przypomniałam sobie o ścianie, przez
którą słyszałam rozmowy tej pary. Jeśli ja ich słyszałam, to
z pewnością byłabym słyszana przez nich. Wróciłam do mego
pokoju i przytknęłam ucho do ściany. Tak, byli tam i odby-
wała się ta sesja śmiechów i jęków i wierszowanej rozpusty:
niech twoje usta pokryją mnie pocałunkami, twe łono jest ni-
czym czara, cała ta śpiewka, którą już znałam na pamięć wte
i wewte.

– Salomonie – krzyknęłam do ściany. – Salomonie, otwórz
mi drzwi, mam ci coś do powiedzenia, coś bardzo pilnego!

Żadnej odpowiedzi.

– Salomonie! Twój tron jest w niebezpieczeństwie!

Tron w niebezpieczeństwie? Wydawało się, że nie przestałby
się pieprzyć z powodu takiego szczegółu. Do diabła z tronem,
lepiej jest ruchanie.

– Salomonie, twoje życie jest zagrożone!

Nic. Traciłam cierpliwość.

– Salomonie! Niech to szlag trafi, Salomonie, czy nie możesz przerwać pieprzenia i posłuchać o czymś ważnym? Gdzie ta twoja mądrość, bałwanie?

Teraz z drugiej strony ściany cisza była absolutna. Mogłam sobie wyobrazić jak Salomon szepcze do ucha królowej: nie przejmuj się, to tamta brzydula, baba, co umie tylko mnie irytować, dlatego, że nie chciałem się kochać z nią, no i teraz mi zatruwa życie. Rozwścieczona, wzięłam kandelabr, ciężki kandelabr z brązu i zaczęłam tłuc nim o ścianę, aż huczało w pokoju. I nic. Wybuchłam płaczem, rozpuściłam się we łzach. Ten Salomon był tak głupi, że mógł zapłacić życiem za swoją niekontrolowaną żądzę. I nic nie mogłam na to poradzić.

Przygnębiona, siadłam przy stole i znieruchomiałam, nie wiedząc ani co czynić, ani co myśleć. Przede mną piętrzyły się manuskrypty, pergaminy. Nieoczekiwanie, automatycznym gestem, chwyciłam za patyk i zaczęłam pisać. Tylko to mi zostało: pisać, opowiedzieć, co się zdarzyło, dać moje świadectwo tym trwożnym momentom. Przesłanie dla samego Salomona – gdyby przeżył. Ale było to też przesłanie bez wyraźnego odbiorcy, wiadomość we fłaszce ciśnięta na morze czasu. A posłanie to mówiłoby: nawet najmądrzejszy z ludzi staje się idiotą gdy mu seks zawróci w głowie. Przekazanie tego było moją misją, podobną do tej, którą został obarczony pastuszek. Czy misją, w której spełnianie wierzył król budując Świątynię. Więc zaczęłam pisać: „Salomon miał wiele kobiet z obcych ziem”.

Zatrzymałam się. Czy to było przesłaniem? Przecież to

bardziej wyglądało na plotkę niż na proklamację. Co gorsza, nie mówiłam niczego, o czym by nie było wiadomo, o rozpuście przez ścianę przenikało lepsze świadectwo niż to, które notowałam. O co mi chodziło, o skargę do dyrektora? A kto był tym dyrektorem? Nie, musiałam zrobić coś innego. Zostawić za sobą przeszłość i zająć się przyszłością. Chciałam prorokować. Co nie było, jak teraz zdałam sobie sprawę, takie trudne. Bo cóż robili prorocy? Zaledwie odnajdywali w terażniejszości ziarna tego, co miało nastąpić. Było to podobne do ciągu liczbowego, w którym trzy musiało nieuchronnie przyjść po tym gdy zjawilo się cztery. Chodziło o rozpoczęcie tekstu który, napędzany swą wewnętrzną logiką, miał się potem sam pisać. Gdy prorok oznajmił Dawidowi, że przyjdzie boska kara, niczego nie odgadywał: ciąg dalszy był jak na dłoni. Było jasne, że z miłości króla i Batszeby miało się urodzić dziecko. I było jasne, że to dziecko stanowiłoby świadectwo grzesznych namiętności. I jasne, że za to miał zostać ofiarą, tak jak zwierzęta składano w ofierze na ołtarzu Świątyni.

Jak prorocy, widziałam w jasnym świetle co miało w przyszłości nastąpić, nie w kolejnych miesiącach czy latach, ale w następnych wiekach; opowieść, która mogła rozrosnąć się do wielu ksiąg (a nawet przewidywałam nazwę tych ksiąg, grecką nazwę, bo greka miała się stać ważnym językiem: Biblia). Ożywiona tajemniczą siłą, moja ręka pisała, pisała gorączkowo. W przypadku króla: jak mogła rozwiązać się sprawa rozwiązłego głupka, spędzającego czas w łóżku z nieznaną, pieprząc się i recytując Pieśń nad Pieśniami, gdy szykowano

zamach na jego życie? Jeśli uratuje się od sztyletów, będzie nadal budował świątynie, jedną po drugiej, a sekta po sekcie będzie wyrastała jak grzyby na gnoju, na nieczystościach, w jakich tarzał się z kobietami, którym ulegał przez słabość i próżność. Kara musiała nastąpić; a karę tę, by dostosować się do tonu tekstu, nazwałam boską. „Wtedy” pisałam, „Pan rozgniewał się na Salomona za to, że jego serce odwróciło się od Boga Izraela, który zabronił mu iść za obcymi bogami. I rzekł mu «Skoroś wiedział o tym lecz nie uszanował przymierza i postanowień, które na ciebie nałożyłem, odbiorę ci królestwo i wręcę je jednemu ze sług twoich. Jednakże, z uwagi na twego ojca Dawida, nie uczynię tego za twego żywota. Wyrwę je dopiero z ręki twojego syna».” Z kolei opowiedziałam jak bunt z okresu królowania Roboama, syna Salomona, podzielił królestwo na dwoje. Opisałam te królestwa rozszarpane konfliktami; mówiłam o rozpaczach proroków, którzy jak ja starali się ostrzec rządzących przed niebezpieczeństwem bezbożności. Przewidziałam zajęcie całych krain przez wielkie potęgi, z których ostatnia stanowiła rozległe imperium, a także cierpienie ludu gnębionego przez nasłanych pełnomocników, obojętne kapłanom ze Świątyni i lokalnym dostojnikom, żyjącym w dostatku. I popychać to musiało do rewolty, takiej jak u pastuszka, ale także do narodzin nowej religii. W niej, Jehowa niedocieczony i despotyczny miał być zastąpiony przez Boga-Ojca, owszem, wszechmogącego ale i miłosiernego. I miał tam być Syn, z którym ludzie mogli się utożsamiać w swoich strapieniach; ten Syn, w ludzkiej formie, nauczałby o miłości i sprawiedliwości, dokonywałby cudów, leczył chorych – myślałam o mojej

przyjaciółce Mikol, chorej i nie mającej nikogo, do kogo by mogła się uciec. Oczywiście, zostałyby oddane na ofiarę przez przedstawicieli Imperium i ich miejscowych wspólników, powstałyby z martwych i wzniósłby się do nieba. Ach, tak, ten Syn miałby Matkę, postać kobiecą bardzo odmienną od Ewy, czy od wielkich figur z matriarchatu (a także od mojej nie-dbałej rodzicielki), Matkę, która by była symbolem dobroci, postacią kobiecą, u której wierni mogliby szukać pośrednictwa przy apelach kierowanych do Ojca i do Syna. Uzupełniona miała być Trójca Duchem Świętym, symbolizowanym przez ptaka – nie jednego z tych kruków, z którymi Salomon często lubił rozmawiać, ale przez czystego i niewinnego gołębia, odmiennego od gołębi pałacowych, wśród których nie brakowało nosicieli dusz potępionych. Zamiast centralnej Świątyni z jej kosztownymi ofiarami pojawiłyby się tysiące świątyń, dużych i małych, bogatych i biednych, w których każdy by mógł zjawić się bez trudności, nie składając ofiar; kapłani wysłuchiwaliby ludzi i odpuszczali im grzechy, uwalniając ich od naszej odwiecznej winy. Zakończyłoby się gadanie o Narodzie Wybranym, nowa religia starałaby się znaleźć adeptów wśród wszystkich ludów, odrzucając nawet to odróżnianie się od innych przez obrzezanie. I przy rozmachu tej nowej religii chwała Salomona by przygasła.

Nastawał nowy dzień gdy kończyłam pisać. Oglądając pergaminy, było ich ponad dziesięć. Co z nimi robić? Pokazać starcom? W żadnym przypadku. Łatwo było wyobrazić sobie ich reakcję: krzycząc podłość, podłość, zanieśliby ma-

teriał do Salomona domagając się, bym została przykładnie ukarana. Szczególnie, że nie potrzebowali już mnie, bo dzieło było zakończone.

Nie, nie mogłam pokazać tego nikomu. Musiałam zrobić coś innego: zachować manuskrypty w jakimś naczyniu, jak w dobrze zalakowanym dzbanie, i ukryć go w głębi jaskini pewnej góry. Tam manuskrypty by przetrwały przez długi czas, może przez wieki. Aż pewnego dnia ktoś – może jakiś pastuszek szukający swojej ulubionej, a zaginionej kózki – odnalazłby tam sygnał wysłany z przeszłości. I powiedzieliby wówczas z podziwem: jak mądra była ta kobieta. Szukaliby usilnie mych kości, by pokazywać je zainteresowanym, ale nadaremnie, niczego by nie odnaleziono. Zostałoby ze mnie to, co było zawarte w tekście, w słonych śladach łez, które tu przelewałam. Ale jak dotrzeć do jaskini? Gdy rozmyślałam nad tym, zastukano do drzwi. To była zarządzająca haremem. I oznajmiła:

– Wzywa się wszystkich, by pojawili się w wielkiej sali pałacowej. Jest to pilne.

Poczułam zawroty głowy. Pilne? Więc to nastąpiło? To, co przewidywałam, zdarzyło się? Histerycznie uchwyciłam jej szaty: co się stało, powiedz mi, co się stało z królem. Ona spojrzała na mnie ze zdumieniem – i z rozdrażnieniem:

– Co z tobą się dzieje, kobieto? – krzyknęła, uwalniając się ode mnie. – Zwariowałaś? Kompletnie zwariowałaś? Król ma się dobrze, to jest oczywiste. Czemu miałoby coś być nie w porządku, co? To on sam nas zwołuje. Wszyscy mają się

tam pojawić, żony, konkubiny, dworzanie, wszyscy. Szybciej, pospiesz się, już pora iść.

Salomon miał się dobrze. Och, Boże, Salomon miał się dobrze. Dziękuję, Boże, Bożeńku, dziękuję za zachowanie go przy życiu. Dziękuję, Boże.

Uspokojona, zapytałam co było przyczyną tego wezwania. Ta pokiwała głową, śmiejąc się z ironią:

– Ależ ty naprawdę żyjesz w księżycowym świetle. Nie wiesz? Królowa Saby odjeżdża, wszyscy mamy złożyć jej cześć. Cztery tysiące kilo złota, to nie żarty, dziewczyno. Teraz znacznie się dobre życie dla nas wszystkich.

Przyjrzała się mi z zaskoczeniem.

– Ale ty wcale nie wyglądasz dobrze. Co za straszna gęba. Co się stało?

Powiedziałam jej coś na odczepnego: nie czułam się dobrze w nocy, silne bóle.

– Wiesz, kolka przed miesiączką.

– Wiem. Ale to cię nie usprawiedliwi jeśli nie pojawisz się, tego król ci nie wybaczy. Oporządź się trochę i idziemy. Ale nie guzdraj się. Pożegnanie będzie szybkie i zaraz się zacnie.

Pożegnanie. Powinnam być zadowolona: uwodzicielka odjeżdżała. Koniec ze śmieszkami, jękami, wierszowymi nieprzy-
stojnościami, twoje usta pokrywają mnie pocałunkami, zakoń-
czone; twe łono jest niczym czara, zakończone.

I raptem – choć pijana z braku snu, i ze zwolnionym biegiem myśli – zdałam sobie sprawę z czegoś, co mnie całą zamroziło ze strachu. To była chwila pożegnania – i to była chwila gdy pastuszek miał wykonać swój plan, chwila, w której jego sztylet miał rozpruć ciało króla. Musiałam pilnie powiadomić Salomona. Jak to uczynić? Jak? Nic mi nie przychodziło do głowy. Ale jedno było pewne: nie mogłam utracić spokoju. Musiałam zachować zimną krew. Nic by nie pomogło gdybym wypadła biegnąc i krzycząc, alarm, alarm, zbrodnia będzie popełniona. Miałam już opinię wariatki, najprawdopodobniej złapałoby mnie i zamknęli w pokoju, żebym nie zepsuła uroczystości. Nie, musiałam to zrobić inaczej. Ale jak? Nie wiedziałam jeszcze tego; ale gdy trzeba będzie, podejmę decyzję.

Ubrałam się szybko i podążyłam za kobietą. Pałacowe korytarze były pełne, wszyscy pospiesznie kierowali się do sali. Żony i konkubiny nie ukrywały radości: w samą porę, mówiły o królowej Saby. Dworzanie, odsunięci na bok w ciągu tych dni, dzielili z nimi ten radosny nastrój.

Ku mojej rozpacz, gdy tam weszłam, olbrzymia sala była już pełna. Nie było możliwe zbliżyć się do miejsc zarezerwowanych dla Salomona i królowej Saby. Próbowałam podejść mówiąc, że jestem bardzo niska i nic nie widzę, ale nikt nie ruszał się z miejsca: myślisz, że kim jesteś, że skoro napisałaś ową książkę to masz jakieś specjalne prawa? Pogodziłam się

z tym, że muszę stać tam, blisko drzwi i starałam się dojrzeć co się dzieje.

W pewnej chwili dojrzałam pastuszka. Z pewną ulgą zobaczyłam, że też był przy drzwiach, po przeciwnej stronie; musiałby precyzyjnie się obok wielu osób, by dotrzeć do króla. Lecz nie wątpiłam, że zamierzał to zrobić. Domyślałam się, że jego ręka, ukryta pod peleryną, trzymała rękojeść sztyletu.

Usiłowałam uchwycić jego spojrzenie. Nie czyni tego, chciałam mu przekazać niemy komunikat, nie zdołasz zrobić tego, co zamierzasz, wiem, że nie zdołasz, już opisałam to, że Salomon będzie żył i nie na darmo to pisałam, to przecucie mną owładnęło, zasłona przyszłości otworzyła się przed moimi oczami, nie rób tego, Salomon zapłaci za swoje błędy, Bóg zadba o to, nie ma potrzeby, byś poświęcił swoje życie w tym szalonym przedsięwzięciu.

Tuż przy mnie stanął uzbrojony człowiek, z mieczem u pasa. Natychmiast go rozpoznałam: to był dowódca straży, ten, który obciął ramię pastuszka. Na to właśnie czekałam, na boską pomoc, przyslaną mi w końcu. Bez wahania odciągnęłam go na bok:

– To pilna sprawa – wyszeptałam mu do ucha. – To pewna informacja: nastąpi zamach na króla. I to wkrótce.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem: zamach? Na króla? Zamach na króla, w pałacu pełnym ludzi – pełnym żołnierzy, strażników? Niemożliwe.

– To prawda – nalegałam. – Przewodnik, który prowadził

karawanę, on chce zabić Salomona. To nie jest zwykły przewodnik. To człowiek, któremu odciąłeś ramię, a teraz należy do grupy fanatyków. Przybył tu po to, żeby zabić króla.

Nadal nie dowierzał: przewodnik karawany był spokojnym młodzieńcem, nie wyglądał na bandytę. Już płacząc, prosiłam go, by przynajmniej zrewidował chłopaka, znajdzie za jego pasem dwa sztylety.

– Dobrze – wymamrotał w końcu. – Zrobię to, ale tylko dlatego, że o to prosisz. Gdzie jest ten facet?

– Tam – wskazałam na drugą stronę sali. Ale ku memu zdumieniu i przerażeniu, nie było już tam postaci okrytej peleryną.

W jednej chwili dowódca uznał, że mówiłam serio: skoro chłopca już tam nie było, to kto wie czy nie zamierzał zaatakować króla przed wejściem do sali. Zawołał dwóch żołnierzy i wybiegli przez drzwi. Ale wtedy właśnie odetchnęłam z ulgą: w tej samej chwili, przy dźwięku fanfar, wchodził Salomon z królową Saby; on we wspaniałym królewskim płaszczu, ona tak olśniewająca jak nigdy. Wszyscy ich należycie oklaskali. Uśmiechnięci, zajęli miejsce na krzesłach, wokół których stali strażnicy. Choć nie wiedział o tym, król uratował się. Tam pastuszek nie zdołałby go zaatakować.

Odetchnęłam spokojniej. To był okropny skurwysyn, ten Salomon, ale co mogłam na to poradzić, że miałam dla niego tyle uczuć, że radowałam się tym, że uratował się? Nieważne, że mnie zdradził, że dał królowej Saby miejsce, o którym tyle

śniłam: był żywy i tylko to było ważne. Z drugiej strony, modliłam się, by pastuszek, uświadomiwszy sobie fiasko misji, znikł po cichu. Skoro niebezpieczeństwo zostało oddalone, nie było potrzeby, by go ujęto; gdyby to nastąpiło, z pewnością zostałby stracony za zdradę. A tego nie chciałam... Nie, z pewnością nie chciałam. Chciałam, by żył, biedny pastuszek, nieszczęśliwy pastuszek, pastuszek, który, jak ja, nie odnajdywał swego miejsca na świecie. Ale gdzie on był? Czy wrócił do sali? Stawałam na palcach, by go dojrzeć, lecz bez sukcesu.

W tym momencie z korytarza dotarł krzyk: pożar, pożar! Natychmiast silny zapach spalenizny wypełnił salę. Wszyscy opuściliśmy ją w panice, kobiety krzyczały jak szalone.

Korytarz był pełen dymu. Oszołomiona, przeszłam parę kroków – i zatrzymała mnie zarządzająca haremem.

– To w twoim pokoju – krzyknęła. Tam się pali.

Pobiegliśmy tam. Tak, cały pokój stał w ogniu. Wszystko: meble, ubiory. Moje manuskrypty. Cała historia, którą spisałam i wszystkie moje przecucia. Jehowa. Adam i Ewa. Kain i Abel. Abraham, Izaak i Jakub. Mojżesz. Saul i Dawid. Salomon i Świątynia. Królowa Saby. Ojciec, Syn, Duch Święty. Matka. Cudy i przekleństwa, nagrody i kary, śmiechy i płacze, przykazania, sny, wizje, proroctwa. Wszystko obracało się w proch. Wszystko znikało, nawet niedawno sprawdzana kopia dla królowej. Pochyliłam się, ujęłam kawałek spalonego per-

gaminu. „Zapytali wtedy”, przeczytałam. Kto zapytał? O co pytał? Kogo pytał? Jaka była odpowiedź? Nie wiedziałam już czego to dotyczyło. I nie miałam się dowiedzieć. Niech ktoś inny odtwarza tekst. Moje dzieło było skończone.

W zadymionym pomieszczeniu dojrzałam pastuszka; dwaj żołnierze trzymali go, jeden za ramię, drugi za kikut ramienia. Był bez peleryny, półnagi i poraniony. Leczył z uniesioną głową a wyraz twarzy miał triumfalny; rozpaczliwy był to triumf, ale był triumfem. Przy żołnierzach był dowódca, którego uprzedziłam o możliwości zamachu.

– To on! – krzyknął. – Podpalił pergaminy. Chciał wprowadzić zamieszanie, żeby przybliżyć się do króla.

Nie. Nie o to chodziło. To nie króla chciał ugodzić pastuszek, teraz zdałam sobie z tego sprawę. Może to był jego cel, misja przekazana przez Mistrza Prawości – ale było to celem do poprzedniej nocy. Po wizycie w moim pokoju nastąpiła odmiana. Nie chodziło już o króla, a o królewski manuskrypt. Nie, chodziło o mnie. Zrozumiałam to gdy prowadzony przez żołnierzy minął mnie i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Zrobiłem to z myślą o tobie, mówiło mi to czule, smutne spojrzenie, zrobiłem to, by cię uwolnić. Biedny pastuszek, kochany pastuszek.

Król nadchodzi, ktoś powiedział, i rzeczywiście zbliżał się Salomon, a królowa Saby mu towarzyszyła. Spojrzał od drzwi na resztki pokoju, w którym już ugaszono ogień. Ujrzał manuskrypty – dzieło, które miało mu przynieść sławę – spalone, ale

nic nie powiedział, nie ujawnił jakiegokolwiek emocji. Cóż, był królem, a król musi panować nad sobą w obecności poddanych, szczególnie król, który ma się za mądrego i potężnego.

Król popatrzył na mnie. Tak, w jego wzroku był smutek; widać było, że bolał nad utraconymi pismami, ale też, byłam tego pewna, bolał nade mną. Byłaś w tym tekście, mówił mi jego wzrok, twój wysiłek, twoje emocje; szkoda ciebie, szkoda mnie, szkoda dzieła.

Ten Salomon był jednak dobrym człowiekiem. Ale był też królem – i w tej chwili musiał wypełnić swoje królewskie powinności. Co mamy zrobić z tym elementem, spytał dowódca straży, wskazując ujarzmionego pastuszka. Salomon zastanawiał się przez chwilę.

– Osądzimy go. Natychmiast.

Obrócił się ku królowej Saby:

– Chciałaś ujrzeć sąd? To teraz go zobaczysz. – Uśmiechnął się. – Zastąpi księgę, którą ci obiecałem.

I oznajmił silnym, dźwięcznym głosem:

– Chodźmy do sali tronowej. Wszyscy.

I poszliśmy. Na czele orszaku dowódca straży ze strażnikami prowadzącymi pastuszka. Potem Salomon i królowa Saby. Potem żony, konkubiny, dworzanie, wszyscy wypełniali pomieszczenie. Król podszedł powoli po schodach do tronu, ale nie usiadł. Z wysokości popatrzył na pastuszka.

– Oskarżony jesteś – powiedział opanowanym, niespiesznym

głosem – o podłożenie ognia w pałacowych pomieszczeniach, co stanowiło część intrygi przeciw królowi. To ciężka zbrodnia. Ponadto, przyniosła zniszczenie dokumentu o wielkiej wartości, który wymagał olbrzymiej pracy, wielkiego wysiłku.

Przerwa. Milczenie było całkowite.

– Czy to oskarżenie wyraża prawdę?– spytał król.

Więzień nie odpowiedział; patrzył na króla w napięciu.

– Twoje milczenie – podjął Salomon – równe jest wyznaniu winy.

Znów przerwa. Wszyscy oczekiwali wyroku z niepokojem. Lecz nastąpiło coś nieoczekiwanego:

– Nie będę cię karał – powiedział monarcha. Szum zaskoczenia rozległ się w sali, szum, który wyciszył podniesieniem ręki. I mówił dalej:

– Niczego mi nie uczyniłeś. Jesteś zaledwie ofiarą twego własnego jadu.

I znowu przerwa (widać było, że przerwy były istotne, by wyrokowi dodać wagi, a co najmniej dramatyczności), i kontynuował:

– Uwolniłbym cię, lecz nie mogę tego uczynić. Zniszczyłeś także pracę pewnej osoby, i ta osoba ma prawo domagać się, byś został ukarany.

Wskazał mnie dłonią:

– Ty. To ty go osądzisz.

Ja? Sądzić pastuszka? Ja, brzydula, odepchnięta żona? Ja? Nie. Nie byłabym w stanie tego zrobić. To był zaszczyt i wszyscy patrzyli na mnie z podziwem i z zawiścią – lecz nie, kim ja byłam, by móc sądzić. Domine, non sum digna. Ale on nastawał, i tym razem był to nakaz:

– Tak, ty. Przyjdź tu i zajmij moje miejsce.

Wszedł, zbliżył się do mnie i wskazał tronowe schody:

– Do dzieła. Idź tam.

Nie było wyjścia. Powoli zaczęła wspinać się po schodach, patrząc na lwy. Mimo groźnego wyglądu i wyszczerzonych zębów, były nieruchome. Obawiałam się nie tylko, że z dezaprobatą zaczną kręcić głowami – no niemożliwe, to kobieta zbliża się do tronu, i to w dodatku brzydka – ale, że będzie gorzej, że zeskoczą ze swoich piedestałów i zagrodzą mi drogę, no pasarás, no pasarás. Lecz nie, bestie nadal trwały w bezruchu. A były w bezruchu, bo ktoś – nie król, lecz maszynista tego urzędu – kazał im zastygnąć. Czy wypełniał rozkaz Salomona? A może podjął decyzję opierając się na własnym osądzie? Mówiła legenda, że mądrość monarchy brała się z pewnych ksiąg leżących pod jego tronem; było to tak, jakby owa mądrość wydobywając się z pergaminów przenikała fluidami do mózgu władcy. Ale może była ona przekazywana monarsze – jakimś mechanizmem telepatycznym – przez maszynistę lwów? Może Salomon był zaledwie czymś w rodzaju zwierzchnika skromnego pracownika, który nigdy nie oglądał dziennego światła? Były to pytania, na które z pewnością nie

miałam dostać odpowiedzi. Przynajmniej nie teraz. Dotarłam do tronu.

Po chwili wahania, siadłam. Siedzenie było zimne, wrogo zimne. Tron był wysoki, dużo wyższy niż to sobie wyobrażałam. Tu u góry czułam się osamotniona. Nie było to osamotnienie, jakiego doświadczałam wspinając się w górach i tam, z wysoka, podziwiając pustynię; nie, tu chodziło o odosobnienie biorące się z władzy. Odosobnienie, i władza, na które nie byłam przygotowana. Wszyscy ci ludzie, setki osób, wpatrujący się we mnie, oczekujący moich słów, to naprawdę mnie przerażało. Ale nie mogłam poddać się panice, nie teraz. Więc głęboko westchnęłam i przygotowałam się do sądenia. Dobrze, moi mili, gdzie jest to dziecko do przecięcia na pół, zaczynamy.

– Przybliź się – powiedziałam pastuszkowi. Podeszedł do tronu. Patrzył na mnie z takim przestachem, z taką bojaźnią, że miałam olbrzymią ochotę śmiać się: co to za historia, kolego, podpalasz manuskrypty a potem robisz pod siebie ze strachu, co jest z tobą?

– Czy prawdą jest – spytałam – że spaliłeś manuskrypt, o którym mówił nasz król, Salomon?

(Zbędne pytanie, ale nic innego nie przychodziło mi do głowy. Ale przynajmniej zyskiwałam na czasie).

– Tak – wybełkotał. – Spaliłem. Rzeczywiście spaliłem. Spaliłem ten manuskrypt.

– Hm. Spaliłeś manuskrypt... Tak więc, spaliłeś go.

Tak jak król – jakże świetnie przyswoiłam sobie tę lekcję – zrobiłam dramatyczną przerwę. I wtedy ogłosiłam wyrok; wyrok, który nawet mnie zdumiał, bo słyszałam siebie mówiącą, ale to było tak, jakby ten głos nie był mój, jakby ktoś mówił moimi ustami – ale kto? Z pewnością nie żona Salomona; może dziewczyna, która biegała górskimi ścieżkami, ta dziewczyna, co choć była nieszczęśliwa, nie bała się niczego:

– Niech ten człowiek zostanie uwolniony. Niech prowadzi on z powrotem królową Saby.

Moje słowa wywołały prawdziwą burzę: mieszały się gwizdy i brawa. Zdumiało mnie – a było to miłe zdumienie – że kobiety szalały z radości; natomiast dworzanie, wręcz odwrotnie, byli maksymalnie wkurzeni, kto to widział, co za bezwstyd, wypuścić takiego bandytę. Nie miało to dla mnie znaczenia: wywiązałam się z mojej misji – ratując pastuszka, który ze łzami w oczach patrzył na mnie z wdzięcznością. Zeszłam po schodach, a tym razem lwy kiwały głowami na znak nieukrywanej aprobaty. Zbliżyłam się do Salomona, który ograniczył się do puszczenia mi królewskiego oczka. Bezradny dowódca straży zapytał co ma zrobić z więźniem.

– Czyś nie słyszał wyroku? – spytał król. – Ten człowiek jest wolny. Wypuść go.

Strażnicy zdjęli łańcuchy, które krępowały stopy pastuszka i jego rękę. Ktoś dotknął mego ramienia. Obróciłam się: to była królowa Saby, chcąc mi pogratulować rozstrzygnięcia. Wyznała, że choć nie wszystko zrozumiała, to wraca do swojej krainy bardzo poruszona.

Skoro sąd się zakończył, wszyscy skierowaliśmy się ku pałacowemu wjazdowi, gdzie karawana już czekała, gotowa do drogi. Salomon i królowa pożegnali się w bardzo formalny sposób, jak przystało rządzącym; żadnych uśmiezków i jęknięć, żadnych wierszowanych aluzji; niech twoje usta pokryją mnie pocałunkami, o tym nie było mowy. Salomon lekko skłonił się i to był koniec. Ona poszła, wdzięcznie jak zawsze, ku wielbładowi, który klęczał na dziedzińcu i czekał żując. Weszła do namiotu, zaciągnięto zasłony. Pastuszek zajął miejsce przewodnika. Przeszedł blisko mnie, chciał coś powiedzieć, nie zdołał; ale spojrzenie, które rzucił, powiedziało mi wszystko. Karawana, oklaskiwana przez tłum zebrany przed pałacem, ruszyła i wkrótce znikła za wzgórzem.

Nie miałam co robić w zniszczonym pokoju; wróciłam do haremu. Jak sądziłam, moje dawne łóżko było zajęte; w owych dniach, mimo całego zamieszania, Salomon pojął jeszcze dwie żony i kupił od jakiegoś zubożałego króla trzy konkubiny. Na szczęście było i inne łoże, pewnej niedawno zmarłej Edomitki. Nie było dobrej jakości, bo z jakichś przyczyn ostatnio nie ceniono zbyt wiele Edomitów, ale nie było we mnie zapału do sporów. Gdy zapadła noc, wyczerpana, położyłam się.

Z głębokiego snu, snu bez snów, wyrwała mnie zarządzająca haremem.

– Salomon cię wzywa – wyszeptała, a jej oczy błyszczały w mroku.

Nie rozumiałam w pierwszej chwili. Salomon mnie wołał? Po co? Ale kobieta nalegała i na wpół śpiąca podniosłam się. Kobieta chciała mnie przygotować, nałożyć jakiś makijaż, ale odmówiłam. I poszłam tak jak stałam, rozczochrana, w nieładzie – dużo brzydsza niż zazwyczaj.

Salomon oczekiwał mnie, na wpół oparty, w szerokim łóżku. Był dla mnie niesłychanie miły; zaprosił, bym położyła się obok niego, pieścił mnie, spytał czego oczekuję. Po prawdzie, chciałam, żeby mi pozwolił zasnąć, ale w żaden sposób nie wyraziłabym tak dziwacznej prośby. Więc:

– Niech twoje usta pokryją mnie pocałunkami – powiedziałam, lecz z pewnym lękiem: czy magiczne zaklęcie będzie działało? Czy nie ryzykowałam kolejnego rozczarowania?

Magiczne zaklęcie działało. O Boże, działało, i to jak. Facet był dobry w łóżku, a ja, choć początkująca, nie wypadłam źle. Moje łono było jak czara, i pił z tej czary, do woli, wino namiętności. Nie była to prozaiczna noc poślubna, której oczekiwałam; to była uroczystość, prawdziwy bankiet seksu, z wykorzystaniem wszystkich pozycji, wszystkich wariacji. W skali od zera do dziesięciu, stopień osiem, z upustem przyznanym przez moją skromność.

Wstałam z rana. On jeszcze spał, śniąc – o czym, tego nigdy nie miałam się dowiedzieć, ani też nie chciałam: wolałam tajemnicę. Pocałowałam go ostatni raz i wyszłam. Szłam bez

celu korytarzami, aż doszłam do ogrodu. Ze swoich kryjówek przypatrywały mi się gołębie.

Bez trudu przeskoczyłam przez pałacowy mur. Biegłam ulicami śpiącego miasta, w stronę południa, ku pustyni. Szłam śladami pewnego pastuszka. Gdybym przyspieszyła kroku, mogłabym spotkać go za dwa czy trzy dni. W pobliżu pewnej góry. I jej tajemniczych, lecz obiecujących jaskiń.